

P. 9786 chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/283

1971



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

AL. SOŁŻENICYN : **PROCESJA WIELKANOCNA**

J. DREWNOWSKI - B. MIECZKOWSKI :

DYSKUSJA O POLSKIEJ GOSPODARCE

AL. MATEJKO :

DIALOG O POLSCE

J. GIDYŃSKI :

**ARESZTOWANIE CUDZOZIEMCA
WEDŁUG PRAWA PRL**

SPIS RZECZY

Nicola Chiaromonte i Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dialog o Sołżenicynie</i>	3
Aleksander Sołżenicyn:	<i>Procesja Wielkanocna</i>	11
Alicja Iwańska:	<i>Cocktail etnografów</i>	15
W I E R S Z E		
Stanisław Wygodzki:	<i>Boże Narodzenie 1970</i>	18
Zdzisław Marek:	<i>Na pogrzebie Wierzyńskiego</i>	19
DYSKUSJA O POLSKIEJ GOSPODARCE		
Jan Drewnowski:	<i>O polskiej gospodarce</i>	21
Bogdan Mieczkowski:	<i>Nowoczesny kapitalizm a przyszła Polska</i>	35
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Jolanta Dworzecka:	<i>Spokojny człowiek z Maine</i>	54
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	58
S Ą S I E D Z I		
Józef Lewandowski:	<i>Słowacja w XX wieku</i>	68
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	78
—	<i>Gen. Sikorski w sowieckiej prasie</i>	85
K R A J		
Józef Gidyński:	<i>Aresztowanie cudzoziemca według prawa PRL</i>	86
Aleksander Matejko:	<i>Dialog o Polsce</i>	96
Józef Lewandowski:	<i>List do Jerzego Topolskiego</i>	106
STRATY KULTURY POLSKIEJ		
Andrzej Korboński i Leon Smoliński:	<i>Jerzy Karcz (1921-1970)</i>	109
Olga Scherer:	<i>Pamięci Kazimierza Bulasa</i>	117
KRONIKA KULTURALNA		
Mieczysław Lurczyński:	<i>Awantura w Hanowerze</i>	120
	<i>Komunikaty:</i>	
	a) <i>Drugi Kongres Naukowców w Nowym Jorku</i>	127
	b) <i>Światowy Kongres Muzyczny</i>	128
	c) <i>Stypendia „Polonia Technica”</i>	129
K S I Ą Ż K I		
Paweł Zdziechowski:	<i>Wizja Andrzeja Bobkowskiego</i>	131
Adam Kruczek:	<i>Rewolucjoniści, policja, represja</i>	135
K. A. Jeleński:	<i>Dział wód</i>	137
Jerzy R. Krzyżanowski:	<i>Polonica Americana (III)</i>	140
Florian Śmieja:	<i>Epopeja Beskidu Śląskiego</i>	142
Maria Danilewiczowa:	<i>Krajowe Nowości Wydawnicze</i>	143
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	148
♦		
Zofia Hertz:	<i>Humor Krajowy</i>	149
♦		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	150
Danuta Jagoszewska, Józef Wittlin:	<i>Listy do Redakcji</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień-Avril

1971

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Edward Baumiller, Daytona Beach, Fla. (USA), po raz ósmy ..	F. 82,00
Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz jedenasty	F. 110,00
Alicja Iwańska, Albany N.Y. (USA), po raz trzeci	F. 70,00
Feliks Jabłoński, Thunder Bay, Ont. (Kanada), po raz trzeci ..	F. 27,50
Marian Kaczor, Clifton, N.J. (USA)	F. 27,50
Mieczysław Kawka, Wallsend, N.S.W. (Australia), po raz drugi	F. 15,00
Gabriel Krężlewicz, Waszyngton, D.C., po raz trzeci	F. 27,50
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz dziesiąty	F. 100,00
Władysław Łuszczak, Thunder Bay, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 27,50
Hans Sokołowski, Stockholm	F. 35,00
Jan Strycharz, Thunder Bay, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 27,50
Władysław Sudyło, Irvington, N.J. (USA), po raz szósty	F. 40,00
Towarzystwo Przyjaciół Paryskiej Kultury w Toronto, Ont. (Ka- nada) zebrane ze składek członkowskich oraz dochodowych imprez	F.2200,00
Dr Marian Turski, Ste Anne de Bellevue, Que. (Kanada), po raz dwudziesty trzeci	F. 157,00
Józef Wittlin, New York, po raz piąty	F. 55,00
Bezimiennie z New Yorku, po raz trzeci	F. 22,00

DZIĘKUJEMY!

SPROSTOWANIA

W styczniowej Kulturze odnotowując bezimienną wpłatę z Buffalo, N.Y. USA — zamiast kwiatów na grób Pawła Jasienicy podaliśmy kwotę F. 50,00 zamiast otrzymanej sumy F. 110,00.

W marcowej Kulturze zamiast nazwiska ofiarodawcy prof. Janusza K. Zawodnego z Philadelphii mylnie podano „prof. Janusz K. Zadrożny”.

Za te pomyłki bardzo serdecznie ofiarodawców przepraszamy.

OD REDAKCJI

Zawiadamiamy naszych Czytelników, że z powodu choroby Juliusza Mieroszewskiego, który oczekuje na operację katarakty oczu, w ciągu najbliższych miesięcy nie znajdą na łamach „Kultury” jego artykułów i „Kroniki angielskiej”.

Życząc pomyślnego przebiegu tej ciężkiej operacji — specjalnie przykrej jeśli idzie o pisarza i publicystę — Redakcja „Kultury” wyraża niewątpliwie nie tylko własne przyjacielskie uczucia w stosunku do swojego najbliższego współpracownika od przeszło 20-tu lat, ale na pewno reprezentuje również życzenia większości naszych Czytelników.

Prosimy tych wszystkich, którzy normalnie zwracali się do Juliusza Mieroszewskiego, jako londyńskiego korespondenta pisma, w sprawach redakcyjnych i administracyjnych, aby w tym okresie kierowali wszystkie sprawy bezpośrednio do Redakcji.

Imprimé en France.



P. 9786 chr. Arch.

Dialog o Sołżenicynie

Nicola Chiaromonte: — Losy pisarstwa Sołżenicyna poza granicami Rosji wydają mi się równie niezwykle jak symptomatyczne dla obecnej sytuacji kulturalnej i moralnej w Europie. Z jednej strony mamy literatów, krytyków, publiczność tak zwaną kulturalną (co dziś oznacza po prostu oblataną w najświeższych modach). Ludzie tego pokroju uważają w przytłaczającej większości Sołżenicyna za pisarza „dokumentarnego”; za autora o silnej i szlachetnej naturze, lecz o skromnych możliwościach artystycznych; za herolda „socjalizmu ludzkiego”, czyli moralistycznego a nie politycznego, tym samym więc mało przekonywującego; za śmiałego obrońcę „destalinizacji”, i owszem, któż jednak na Zachodzie nie jest zwolennikiem „destalinizacji”, odkąd Chruszczow zainicjował tę niezbyt jasną i trudną do zdefiniowania operację? Krótko mówiąc, Sołżenicyn występuje tu jako piękna postać pisarza i człowiek z charakterem, ale jeśli chodzi o sztukę literacką plasuje go się daleko w tyle za naszymi zawrotnymi subtelnosciami.

Z drugiej strony ktokolwiek ma okazję rozmawiać z osobami prostymi, wrażliwymi i uważnymi, które przeczytały *Dzień Iwana Denisowicza*, *Pierwszy krąg*, *Oddział chorych na raka*, nie może nie dostrzec głębokiego wrażenia jakie zrobiły na nich te książki. Czy to będą Włosi czy Francuzi, Anglicy czy Amerykanie, w Sołżenicynie znajdują oni typ pisarza od którego zdążyli już dawno odwyknąć we własnych krajach, pisarza przemawiającego równocześnie do serc i umysłów. Pisarza poważnego; dajmy spokój przymiotnikowi „wielki”, który w tych sprawach niewiele znaczy. Niezależnie od wieku, ci ludzie odkrywają na kartach powieści Sołżenicyna obraz świata społecznego i wszechświata moralnego. Światem społecznym jest dzisiejsze społeczeństwo sowieckie, opi-

sane od dołu do góry: od łagrów, więzień i szpitala dla chorych na raka, poprzez nędzną klasę średnią biurokratów, aż po wyższych i najwyższych reprezentantów reżymu. Ale temu solidnemu i drobiazgowemu opisowi, i jakby przez niego pobudzana, towarzyszy zrównoważona i surowa wizja egzystencji ludzkiej. W niej młodzi i starsi czytelnicy znajdują nie odpowiedź na pytania abstrakcyjne, lecz potwierdzenie elementarnego faktu, dziś straszliwie zaciemnionego: że godność człowieka — droga prawdziwego wyzwolenia — tkwi zgodnie z antyczną formułą w zdolności „cierpienia i rozumienia”, a nie delektowania się własnym rozdętym do skrajności Ja. Tym czytelnikom więzień Gerasimowicz z *Pierwszego kręgu* przypomina, że to co zwykliśmy nazywać „nieśmiertelną duszą” nie jest przez nas posiadane, ale zdobywane; i że tylko wydziedziczeni, ci którzy w drodze gwałtu lub z własnego wyboru przebywają poza światem „chciwych i głupkowatych użytkowników wyznaczonej racji wolności”, są zdolni ubiegać się o taką zdobycz. „Żaden los nie mógł być gorszy od ich losu. A przecież w ich duszach panował spokój. Była w nich nieustraszonność ludzi którzy stracili wszystko, nieustraszonność trudna do osiągnięcia, lecz trwała gdy się ją osiąga”. Tak brzmi, pod koniec *Pierwszego kręgu*, komentarz autora do wysyłki grupy więźniów zamku mawrińskiego znowu za druty łagrów. Dla czytelników o których mówię podobne słowa stanowią wstrząs nie same przez się, ale dlatego że rodzi je oszczędny i bezspornie wiarygodny opis rzeczywistości. W pewnym sensie wolno powiedzieć, że Sołżenicyn nie tyle „przedstawia”, nie tyle „puszcza wodze wyobraźni”, co zaszczerpia w sumieniu czytelnika istnienie rzeczywistości która jest przedmiotem jego opowiadania. W jego książkach widać więc odpowiedź, a raczej jasny zarys odpowiedzi, na piekielną udrekę która, nawet jeśli nie jest narzucona przez system autokratyczny, gnębi dziś każdą świadomą jednostkę ludzką; udrekę pędzenia z dnia na dzień życia pozbawionego sensu, życia w którym człowiek czuje że gubi z dnia na dzień własną duszę.

Gustaw Herling-Grudziński: — Duszę... Rzadko używa się obecnie w „środowisku kulturalnym” tego słowa, uchodzi ono za domenę albo staroświeckich księży, albo wariatów. Witkiewicz, w wydanym niedawno także we Włoszech *Nienasyceniu*, powiada że o duszy „wiedzą dziś naprawdę cokolwiek tylko wariaci”. Genialny Witkiewicz! Oto jak w roku 1927 prorokował likwidację duszy za pomocą Nowej Wiary i pigułek Murti Binga: „Wiara i pigułki, dając wiele doraźnie, na każdą chwilę z osobna dostarczając środków do walki z osobowością (a cóż jest zło, jak nie trochę zanadto wybudzała osobowość?), zabijały w wyznaw-

cach i zjadaczach wszelką intuicję przyszłości, wszelką możliwość całkowania chwil w konstrukcję życia na dalszy dystans. Następowołało zupełne rozproszkowanie jaźni na szeregi bezzwiązkowych momentów; na tle możliwości poddania się każdej, najgłupszej nawet mechanicznej dyscyplinie”.

Czytam teraz *Wspomnienia* wdowy po Mandelsztamie, Nadzieydy. Wspomina ona o „psychicznej ślepotie sowieckich ludzi”, działającej „rozkładowo na ich strukturę duchową”. Dodaje, że „pokolenie dobrowolnych ślepców” schodzi już naturalną koleją rzeczy ze sceny w miarę starzenia się. Co — pyta siedemdziesięcioletnia towarzyszka życia zamęzonego poety — przekazało ono w spadku swoim następcom? Czy wśród tych co posiadają dziś wzrok dużo jest takich, którzy nie tylko patrzą ale i widzą? Widzącym a nie tylko patrzącym jest niewątpliwie Sołżenicyn. Jego widzenie sięga poza specyficzną problematykę rosyjską, można co najwyżej wskazać jak dalece jest sycone przez obraz Rosji. Prosty, wrażliwych i uważnych czytelników książek Sołżenicyna na Zachodzie wzrusza i zastanawia najbardziej to, że przywracają one znaczenie i jakby czysty dźwięk zdewaluowanym zdawałoby się i bezpowrotnie zużyтым pojęciom: dusza, osobowość człowieka, dobro i zło, sprawiedliwość, prawość, miłość, prawda, głód nieśmiertelności. Innymi słowy, podziw dla Sołżenicyna wyraża ukryty a często i ledwie uświadomiony bunt przeciw światu, który „zabija w ludziach wszelką intuicję przyszłości, wszelką możliwość całkowania chwil w konstrukcję życia na dalszy dystans”; który „jaźń ludzką rozproszkowuje na szereg nie powiązanych ze sobą momentów, by ją tym łatwiej poddać mechanicznej dyscyplinie”. Gdyby twórczość Sołżenicyna ograniczała się do *Dnia Iwana Denisowicza*, moglibyśmy mówić jedynie o *carmen horrendum* ustroju sowieckiego, jak Herzen mówił o *carmen horrendum* caratu w związku z *Martwym domem* Dostojewskiego. Ale w *Zagrodzie Matrony*, w *Oddziale chorych na raka*, a nawet w *Pierwszym kręgu*, Sołżenicyn wznosi się ponad rzeczywistość sowiecką i wkracza w rejony uniwersalne. Sprawiedliwy, bez którego nie ostoi się żadna wieś, ani żadne miasto; czym żyje i jak umiera człowiek; wolność wewnętrzna, rzucająca zwycięskie wyzwania sile i przemocy. Aż dziw że znalazł się jeszcze na świecie pisarz, który ma odwagę tak myśleć i w taki sposób opowiadać. Literatów na Zachodzie, z nielicznymi wyjątkami, ni grzeją ni ziębią „pocziwe banały” w tym stylu. Tutejsze literackie „subtelności”, jak je nazywasz, są sztuką udawania przed sobą i innymi że się żyje i pisze, wyrafinowaną i jałową zarazem grą pozorów.

Nicola Chiaromonte: — Tak, literatom na Zachodzie opowieści Sołżenicyna wydają się szlachetnie dokumentarne i basta. No cóż,

wiadomo że współcześni literaci nie żywią szczególnego szacunku ani dla moralności ani dla prawdy. Nie jest kwestią przypadku, że to literat włoski wymyślił formułę „literatury jako kłamstwa”. Formułę znacznie bardziej tradycyjną we Włoszech, niż to na pierwszy rzut oka wygląda; i dającą się zastosować do wszystkiego niemal, co się dziś na Zachodzie pisze. Nie czytaliśmy może ostatnio że wybitny intelektualista francuski Michel Foucault, powołany do *Collège de France*, wygłosił w surowych murach tej instytucji mowę, w której „woła prawdy” została uznana za formę represyjną wolności słowa?

Odnoszę wrażenie że w tym miejscu dochodzimy do prawdziwej „żelaznej kurtyny”, która oddziela obecnie inteligencję w Europie Zachodniej od inteligencji w Europie Wschodniej. Carlo Bo, jeden z bardzo niewielu krytyków włoskich którzy sprawiedliwie ocenili twórczość Sołżenicyna, pisze właśnie: „To pewne że o wolność artystyczną walczy się dziś znacznie bardziej na serio w kraju Sołżenicyna, niż gdzie indziej; powiedzmy otwarcie: niż u nas; wyjaśnia to również dlaczego ich literatura jest autentyczniejsza, szlachetniejsza, prawdziwsza, niż wszystkie nasze dwuznaczne smaczki i chwytły”. Dodałbym od siebie, że w tym kontraście chodzi o znacznie więcej, niż o zwykłą wolność sztuki czy nawet wolność polityczną. Chodzi o wartość egzystencji ludzkiej, którą tu usiłuje się dziwnie upodlić i unicestwić, podczas gdy tam odkrywa się na nowo za cenę cierpienia jej fundamenty. Otóż według mnie nie ma rzeczy ważniejszej, dla kogoś kto pracuje intelektualnie i rości sobie prawa do wolności intelektualnej, niż odnaleźć nieodzowną jedność między tym co prawdziwe, tym co sprawiedliwe i tym co rozbudza w człowieku dążenie do prawdy i sprawiedliwości. Musimy słowem wiedzieć, czy tragedia którą na Zachodzie i na Wschodzie narody Europy przeżywały i przeżywają od przeszło pięćdziesięciu lat, z towarzyszącym jej trzęsieniem ziemi w sumieniach ludzkich, jest faktem który trzeba brać poważnie, czy też czymś w rodzaju toru ślizgawkowego dla biegleń w piruetach łyżwiarskich.

Gustaw Herling-Grudziński: — Zgadza się z Bo, wiedząc że ma na myśli literaturę mniej lub więcej zakazaną. Zjawisko dotyczy zresztą nie samej tylko Rosji. Ilekroć „stamtąd” przychodzi książka rzeczywiście ważna, przewyższa swoim ciężarem gatunkowym „nowalijki” obcmokiwane na zachodnich giełdach literackich. Powstaje naturalnie pytanie: dlaczego? Słyszymy w odpowiedzi: „za cenę cierpienia”. Tak, ten nurt jest w literaturze rosyjskiej stary i głęboki. Znajduję w pamiętniku Nadieжды Mandelsztam charakterystyczny epizod. Żona poety proponuje mu wspólne samobójstwo, żeby „położyć wreszcie kres cierpieniu”.

Osip Emiliewicz wybucha: „Czemuś sobie wbiła w głowę, że musisz być koniecznie szczęśliwa?”. Nadieжда Jakowlewna przypomina sobie natychmiast słynny fragment z protopopa Awwakuma. „I oto moja żona, biedna dusza, zaczęła się skarżyć mówiąc: Jak długo, Awwakum Pietrowicz, będą trwać te cierpienia? Odrzekłem: Aż do naszej śmierci, Anastasja Markowna”.

Brzmi to jak apologia cierpienia. I w pewien sposób jest nią naprawdę. Nie należy jednak wpadać w skrajność. Cierpienie przede wszystkim poniża. O wyłącznie poniżającej roli cierpienia mowa w pierwszej książce Sołżenicyna. Gdy Iwan Denisowicz Szuchow podsumowuje wieczorem w myślach na obozowej przyczynie swój „niczym nie zmącony i prawie szczęśliwy dzień”, oglądamy przy pracy maszynę państwa totalitarnego wyciskającą z niewolnika resztki jego instynktu wolności. Ale cierpienie i poniża i może także oczyszczać. W pozostałych książkach Sołżenicyna działa dalej — wprost czy na drugim planie — dokładnie ten sam poniżający człowieka sowiecki „wszechświat koncentracyjny”, a przecież spotykamy się w nich równocześnie z zupełnie nowym elementem. Ludzie, którym odebrano zdawałoby się wszystko, odkrywają w sobie rezerwy duchowe nieporównanie bogatsze niż ci, którzy zdawałoby się wszystko posiadają. W gruncie rzeczy jedynym tematem najlepszych utworów Sołżenicyna jest ostateczna, graniczna próba człowieczeństwa. Na chwilę przed zgonem Szuubin z *Oddziału chorych na raka* czuje, że „to co jest w nim, to nie jest tylko on”, że tkwi w nim „coś absolutnie niezniszczalnego i wzniosłego, jakiś odłamek Ducha Uniwersalnego”. Czym jest ten „odłamek”? Co jest w nas niezniszczalne i wzniosłe? Takie pytania, nadające walor i życiu i literaturze, coraz rzadziej stawia sobie współczesny człowiek w warunkach normalnych. Są to pytania religijne, nawet jeśli się nie wierzy w Boga. Stąd zdarza się słyszeć o Sołżenicynie jako pisarzu reprezentacyjnym dla „zastrzyku religijnego”, jakim w okresie 1956-57 był dla ZSSR masowy powrót, po latach cierpień, katorżników z więzień, obozów i miejsc zesłania. Nie lekceważyłbym tego twierdzenia. Mniejsza o to czy i w jakim stopniu Sołżenicyn jest pisarzem świadomie religijnym, istotne wydaje mi się jego poczucie *pietas* bez której nie ostoi się ludzki świat. W małym arcydziełku *Procesja Wielkanocna* uderza, bardziej może od obrazu chuligaństwa młodzieży nasłanej do Pieriedefkina, widok jasnych i czystych twarzy w święto Męki i Zmartwychwstania. Oczywiście kilka takich stroniczek mógł napisać tylko artysta dużej miary.

Nicola Chiaromonte: — W sprawie która dotyczy treści nie mniej niż formy, czyli w sprawie jakości sztuki Sołżenicyna niech powie za mnie parę słów włoska znawczyni literatury rosyjskiej Lia

Wainstein: „Wychodząc z zasady Czechowa, że w utworze literackim nic nie powinno być przypadkowe czy zbędne, i stosując ją systematycznie, Sołżenicyn zdołał osiągnąć całkowity stop formy i treści, tematu i stylu. Iwan Denisowicz przemawia własnym językiem, podobnie jak Nerżin, Matriona, Kostogłotow czy Niemow. Każde słowo spełnia swoją określoną i niezastąpioną funkcję, którą rzadko jest w stanie oddać tłumaczenie. By ocenić Sołżenicyna, trzeba go czytać w oryginale”.

Od moich znajomych czytających po rosyjsku słyszę to samo. Stworzenie nowego języka przez pisarza wymaga jednak, jak sądzę, czegoś więcej niż zwykłego mistrzostwa stylistycznego: wymaga ucha wrażliwego na żywy język, na głos własnego narodu i własnej epoki; albo, jeśli kto woli, na kształtującą się rzeczywistość moralną i społeczną. Trudno mi się tu wypowiadać, skoro nie czytałem Sołżenicyna w oryginale i nigdy nie byłem w Rosji. Ale może ty, który znasz „inny świat” obozów sowieckich i „zeków”, potrafisz wyjaśnić na czym polega i co oznacza nowość języka Sołżenicyna w życiu narodu rosyjskiego. Włoskie wersje Sołżenicyna — szczególnie dwóch jego wielkich powieści, *Pierwszego kręgu* i *Oddziału chorych na raka* — są tak mierne w porównaniu na przykład z angielskimi, że częściowo przynajmniej usprawiedliwiają nieuwagę krytyków i literatów.

Gustaw Herling-Grudziński: — Przypomnijmy najpierw Pasternaka: „Sztuka nie wydawała mi się nigdy przedmiotem czy aspektem formy, ale raczej tajemniczym składnikiem ukrytym w treści. Dzieła sztuki przemawiają na wiele sposobów: tematem, tezami, sytuacjami, postaciami. Lecz przede wszystkim przemawiają obecnością sztuki. Obecność sztuki w *Zbrodni i karze* jest bardziej wstrząsająca od zbrodni Raskolnikowa”.

Zasada Czechowa, naturalnie słuszna, niewiele wyjaśnia: każdy poważny pisarz stara się pisać tak, żeby w jego utworach nie było rzeczy przypadkowych i zbędnych, żeby słowo spełniało w nich swoją określoną i niezastąpioną funkcję. Czemuż by tej funkcji słowa miał nie oddać dobry tłumacz, dopóki znajdujemy się w sferze czysto komunikatywnych cech języka? Wymyka się przekładowi cała reszta, którą Pasternak nazwał sztuką jako tajemniczym składnikiem ukrytym w treści. Pół biedy, gdy chodzi tylko o temat, tezy, sytuacje i postacie: ostatecznie nie brak świetnych przekładów Dostojewskiego, i czytelnik nie rosyjski odczuwa obecność sztuki w *Zbrodni i karze* równie ostro jak czytelnik rosyjski. Ale czasem, właśnie jak w wypadku Sołżenicyna, do sposobów sztuki wymienionych przez Pasternaka przyłącza się jeszcze język wyrosły na glebie i karmiony echami bardzo specyficznych i wyjątkowych przeżyć. Ten jest najtrudniejszy

do przekazania. W ciągu mojego pobytu w Rosji nauczyłem się dwukrotnie rosyjskiego. Z początku, dla potrzeb śledztwa i porozumiewania się w codziennych sprawach z towarzyszami więzennymi i obozowymi. Potem, dla rozumienia w tym co o sobie opowiadali wszystkich aluzji, pauz milczenia, specjalnych wyrażań, zdań znacząco modulowanych lub urywanych. Otóż wspominając tamte czasy i czytając w oryginale Sołżenicyna miałem wciąż takie uczucie, jakby pełnym i donośnym głosem odezwał się nagle ktoś przez długie lata przywykły do szeptu. Szczególny, dramatyczny ton dwurejestrowej prozy Sołżenicyna odnalazłem, wśród znanych mi przekładów, jedynie w polskim tłumaczeniu *Pierwszego kręgu* pióra Michała Kaniowskiego. Kto wie, może działa tu jakieś prawo wspólnego obszaru doświadczeń narodowych i politycznych? Bo w końcu Sołżenicyn jest także rosyjskim powieściopisarzem politycznym.

Nicola Chiaromonte: — Choć w prostej formie obrony i afirmacji „praw człowieka i obywatela”, Sołżenicyn i jego prześladowani towarzysze (Siniawskij, Daniel, Amalrik) poruszają ważny problem polityczny. Mówiąc o Sołżenicynie, nie można więc nie mówić o polityce.

Ci Rosjanie piszą prawie wyłącznie o Rosji, z myślą o Rosji. Ale w rzeczywistości, właśnie dzięki temu upartemu naciskowi z jakim domagają się swoich praw jako pisarze i Rosjanie, zmuszają i nas do zastanowienia się nad sprawą wolności i sprawiedliwości wszędzie: w warunkach współczesnego społeczeństwa przemysłowego i technologicznego, pod ciężarem aparatury państwowych wyposażonych jak nigdy dotąd w instrumenty represji. Wolno chyba powiedzieć, że Sołżenicyn nie jest tu ani pesymistą ani optymistą; postanowił po prostu nie milczeć. Pesymizm natomiast, jeśli chodzi o Rosję, wyczuwa się u Amalrika. Pamiętam jego słowa: „Ideologią masową tego kraju był zawsze kult własnej siły i rozległości, a tematem fundamentalnym jego kulturalnej mniejszości opis własnej słabości i izolacji; przykładem literatury rosyjska”.

Gdy rozważam sytuację w Europie Zachodniej, z wyjątkiem może Anglii, gdzie historia stosunków między intelektualistami a społeczeństwem jest zupełnie inna niż w krajach kontynentu, wydaje mi się trudna do uniknięcia konkluzja o analogicznym wydźwięku pesymistycznym. Z drugiej strony sądzę, że najgorszym dziś wrogiem ludzkości jest optymizm, w jakiegokolwiek formie występuje. Oznacza bowiem odmowę myślenia z obawy przed ewentualnymi wnioskami. Sądzę też że pierwszym pytaniem jakie należy sobie dziś stawiać nie jest „Co robić?”, lecz „Co myśleć?”. Stąd ogromna odpowiedzialność intelektualistów. Intelektualiści

są mniejszością; w tej mniejszości ludzie gotowi wziąć na siebie taką odpowiedzialność, czyli nie myśleć wyłącznie jako specjaliści, są wszędzie nieliczni. Trzeba uznać się otwarcie za mniejszość, ale wcale nie bezsilną. Przeciwnie — tym silniejszą, im wyżej od obowiązku działania stawia obowiązek myślenia i wyrażania swych myśli za wszelką cenę. Co, dodam dla jasności, jest niemożliwe gdy się trwa w izolacji; musimy się czuć związani paktem, który nie uznaje żadnych granic politycznych i ideologicznych.

Gustaw Herling-Grudziński: — W Rosji takie rozróżnienie między myśleniem i działaniem są dość akademickie. Bezkompromisowe, odważne myślenie i wypowiedzanie za wszelką cenę tego co się myśli jest tam równoznaczne z działaniem. We wrześniu 1967 roku, podczas „osądu” *Oddziału chorych na raka* na posiedzeniu sekretariatu Związku Pisarzy Sowieckich, Surkow zwrócił się w pewnej chwili do Sołżenicyna: „Musicie powiedzieć czy odcinacie się od roli przywódcy opozycji politycznej, którą przypisują wam na Zachodzie”. Na co Sołżenicyn, nie bez odcienia ironii: „Aleksiej Aleksandrowicz, nie wierzę własnym uszom. Artysta słowa i przywódca opozycji politycznej? Jak pogodzić te dwie rzeczy?”. Prawda polega na tym że w Rosji, i dzięki tradycji i zwłaszcza w obecnych okolicznościach, można a nawet trzeba je pogodzić. Należy tylko zwrot „przywódca polityczny” brać mniej dosłownie. Pamiętamy z *Pierwszego kręgu* zdanie o pisarzu (oczywiście wybitnym), który w swoim kraju (oczywiście zniewolonym) staje się „drugim rządem”. Z zebranych i uporządkowanych przez Sołżenicyna, po ukazaniu się *Dnia Iwana Denisowicza*, listów od czytelników warto przytoczyć jeden na zakończenie naszego dialogu: „W Rosji pisarze zajmowali zawsze szczególne miejsce. Jakkolwiek szły sprawy, życie wydawało nam się zawsze znośniejsze kiedyśmy mieli Turgieniewa, Tołstoja, Czechowa. Nie wystarczał nam pisarz dobry, albo nawet wielki. Potrzebny nam był pisarz, którego można kochać... Była w Rosji Jasna Polana Tołstoja, było Mielichowo Czechowa, teraz jest Riazan Sołżenicyna”.

Nicola CHIAROMONTE
Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Nicola CHIAROMONTE jest jednym z najwybitniejszych włoskich krytyków literackich i teatralnych, stałym współpracownikiem tygodnika *L'Espresso* i dziennika *La Stampa*, autorem książki *La situazione drammatica* i wydanego niedawno w Londynie tomu esejów *The Paradox of History*. W *La Stampa* z 21 stycznia br. ukazał się jego artykuł o amerykańskiej antologii *Kultury zatytułowany I polacchi di Parigi*.

Procesja Wielkanocna

Powiadają nam znawcy, że na olejnym malowidle nie wszystko powinno być dokładnie jak w życiu. Że na to jest kolorowa fotografia. Że za pomocą krętych linii oraz trójkątów i kwadratów należy oddać raczej sens danej rzeczy, niż jej wygląd. A ja zachodzę w głowę, jaka to kolorowa fotografia potrafi jak należy wyłuskać z tłumy odpowiednie osoby i jednym ujęciem ogarnąć całość wielkanocnej procesji w patriarszej cerkwi we wsi Pieriedielkino, pół wieku po rewolucji? Sama już tylko ta dzisiejsza procesja mogłaby nam niejedno wyjaśnić, choćby tam odmalowana była w sposób najbardziej staromodny, nawet bez trójkątów.

Pół godziny przed dzwonami na rezurekcję, cmentarz dookoła patriarszej cerkwi Przemienienia Pańskiego wygląda jak deptak przed tanc-budą w zatraconej, hultajskiej osadzie fabrycznej. Dziewuchy w kolorowych chusteczkach i sportowych spodniach (owszem, są też w spódnicach) chodzą rozkrzyczane po trzy, po pięć; to wejdą do cerkwi — ale w nawie tłoczno, już zeszłego wieczoru staruchy miejsca pozajmowały, więc dziewczuchy tylko pojąją się z nimi chwilę i znowu na dwór; to znowu krążą po dziedzińcu cerkiewnym, krzyczą bez ceremonii, nawołują się wzajem z daleka i gapią się na zielone, różowe i białe płomyczki zapalone pod cerkiewnymi oknami oraz na grobach archijerejów i protoprezbiterów. A chłopaki — drągale, czy pokurcze, bez różnicy — wszyscy z minami zwycięzców (jakież te tryumfy odnieśli w ciągu tych swoich piętnastu-dwudziestu lat życia? — chyba wałąc kamieniami w szyby), wszyscy prawie w czapkach (a jak który zdjął, to nie tu, tylko wcześniej) co czwarty wstawiony, co dziesiąty pijany, co drugi pali, a jak wstąpienie pali, z papierosem przyklejonym do dolnej wargi. I jeszcze zanim zatli się kadzidło, zamiast kadzidlanego dymu — siwy kopeć tytoniowy już

kłębi się w elektrycznym świetle bijąc z cerkiewnego podworca aż w niebo wielkanocne, całe w burych, znieruchomiałych obłokach.

Plują na asfalt, rozpychają się dla zabawy, głośno gwizdzą, niektórzy klną, paru ma odbiorniki tranzystorowe: już różne tańeczna muzyka, już ten i ów obejmuje swoją facetkę na środku drogi, już sobie nawzajem dziewczyny wyrywają, już się puszą po koguciemu i tylko patrzeć, jak który sięgnie po nóż: nasamprzód z nożem na kolegę, a potem to i na wiernych. Bo na starszych patrzy ta młodzież nie jak młodzi na dorosłych, nie jak goście na gospodarzy, tylko jak gospodarze na uprzykrzone mu chy. Mimo wszystko — nie dochodzi do noży: trzech-czterech milicjantów kręci się tu, jak na pokaz. Więc wyzwiska też nie dudnią nad dziedzińcem, tylko po prostu przewijają się mimochodem w serdecznej, głośnej, rosyjskiej rozmowie. Milicja zatem żadnego tu wykroczenia nie widzi i życzliwie się uśmiecha do przedstawicieli podrastającego pokolenia. Nie może przecież milicja wyrywać papierosów z zębów, ani czapek z głów zbijać: toż jesteśmy na ulicy, a konstytucja każdemu gwarantuje prawo do niewierzenia w Boga.

Zepchnięci pod mur cementarny i pod cerkiewne ściany, wierni ani myślą tu sprzeciwić się komukolwiek, tylko pilnują się, żeby nie dostać przy okazji nożem, albo żeby im kto nie kazał zdjąć z ręki zegarka, tego zegarka, na który zerkają raz po raz licząc minuty brakujące do Rezurekcji. Na zewnątrz świątyni tych wiernych też o wiele jest mniej niż hultajstwa, co tu się mrowi i drwi. Wierni są nastraszeni gorzej, niż za Tatarów. Tatarzy chyba tak nie dybali na Jutrznę wielkanocną.

Niby daleko tu do przestępstwa, a przecież to rozbój bezkrwawy; jest przecież obelga najdotkliwsza — w knajackim grymasie tych warg, w bezczelności tych rozmów, w tym chichocie, w umizgach, w podmacywaniu, w paleniu i pluciu o dwa kroki od Męki Pańskiej. W tej zwycięskiej, pogardliwej pozie z jaką smarkacze przyszli patrzeć, jak ich dziadkowie powtarzają pradziadowskie obrzędy.

Wśród parafian mignie czasem jedna czy druga miękka, żydowska twarz. Może to chrzczeni, może i postronni. Rozglądają się ostrożnie i też czekają na procesję. Wciąż na Żydów pomstujemy, wciąż nam tylko Żydzi przeszkadzają, a przecież na dobrą sprawę — popatrzmy tylko: jaki to gatunek Rosjan przez ten czas udało nam się wyhodować? Rozejrzy się człowiek — i struchleje.

A toć to już nie szturmowcy z lat trzydziestych, nie ci, co święcone wyrywali ludziom z rąk i gonili ich precz z wielkim pohukiwaniem i piekielnym gwizdem — nie! Ci, to jakby tylko gapie: sezon hokejowy w telewizji już się skończył, piłkarski

jeszcze się nie zaczął, nuda — więc też pchają się do okienka, gdzie można dostać świece, rozpychają wiernych jak worki ze słomą, psioczą na „cerkiewne geszefty” i kupują świece, nie wiadomo po co.

Jedno tylko dziwi: wszyscy są zamiejscowi — a znają się co do jednego i mówią sobie po imieniu. Czemu to tak — wszyscy na raz? Czy aby nie z jednej fabryki? A może na tę imprezę razem poszli, jak szli razem do ormowskiej drużyny?

Rozległo się nad głowami bicie dzwonu, gromkie, ale jakby sztuczne: blaszane jakieś dźwięki, zamiast pełnych, głębokich. Dzwon bije na początek procesji.

I nawet teraz! — nie parafianie, nie, znów ta rozwrzeszczona młodzież. Zwalilo ich się teraz na dziedziniec dwa, trzy razy tyle, cisną się w pośpiechu, sami nie wiedząc czego tu szukają, dokąd iść mają, z której strony zacznie się procesja. Zapalają czerwone, wielkanocne świece i od tych świeczek, a tak, przypalają papierosy. Tłoczą się, jakby czekali, że za chwilę zagrają fokstrotą: brakuje tylko kiosku z piwem, żeby te czubate, rozrośnięte chłopaki — ruskie plemię nie karleje, chwalić Boga! — zdmuchiwali tu białą pianę na mogiły.

A z kruchty ruszyło już czoło procesji i właśnie skręca w tę stronę przy drobnym biciu sygnaturki. Przodem kroczą dwaj zaferowani i proszą młodych towarzyszy, żeby rozstąpili się chociaż trochę; trzy kroki za nimi posuwa się niemłody jegomość, jakby starosta cerkiewny i dźwiga na drągu ciężką, graniastą, oszkloną latarnię z płonąca wewnątrz gromnicą. Łękliwie zerka w górę, czy aby latarnia nie traci równowagi — i tak samo lękliwie spoziera na stojących z boku. Od tego właśnie rozpoczyna się obraz, który tak bym chciał namalować, gdybym potrafił: czy cerkiewny służka nie tego czasem się boi, że budownicowie nowego społeczeństwa za chwilę rzucą się na idących i zaczną ich bić?... Ten lęk udziela się również obserwatorowi.

Dziewczyny w portkach, ze świecami i chłopcy z papierosami w zębach, w czapkach na głowie, w rozpiętych płaszczach (a twarze nierozgarnięte, miniaste, w każdej buty za rubla, a zrozumienia za piąta; ale są też twarze pocziwe, łatwowieczne: wiele takich twarzy powinno być na obrazie) skupili się ciasno i gapią się na bezpłatne widowisko. Za latarnikiem idzie dwóch z feretronami, ale nie oddzielnie, tylko jeden obok drugiego, jakby też z bojaźni.

A za nimi — pięcioma rzędami, po dwie, kroczy dziesięć starych kobiet z grubymi, zapalonymi gromnicami w ręku. One wszystkie powinny być na obrazie! Kobiety są stare, twarze mają twarde, zacięte, są gotowe choćby życie oddać, jeżeli kto tu na nie tygrysy wypuści. Dwie z tej dziesiątki — to dziewczęta, dziewczę-

ta w tym samym wieku, co ich rówieśnice cisnące się po bokach razem z chłopakami — ale te ile czystości mają w twarzach, ile w nich światła! Dziesięć kobiet śpiewa idąc zwartym szeregiem. Tyle w nich solenności, jakby dookoła wszyscy zegnali się, modlili, żalowali za grzechy i bili pokłony. Te kobiety nie zioną tytoniowym dymem, ich uszu nie imają się wyzwiska, ich stopy nie czują, że cerkiewny cmentarz zamienił się w klepisko do tańca.

Tak zaczyna się prawdziwa droga krzyżowa! Coś jednak tknęło nawet tych dzikusów po obu stronach, trochę przycichli.

Za kobietami idą w jasnych ornatach kapłani i diakoni, będzie ich jakichś ośmiu. Ale jak ciasno idą, jak się garną do siebie, przeszkadzając sobie nawzajem, kadzielnicą prawie że nie machną, końca stuły z krzyżem nie podniosą. A przecież tutaj mógł przyjść i odprawić nabożeństwo patriarchy wszechrosyjski — gdyby mu tego ktoś nie wyperswadował.

Przechodzą tedy śpiesznie, zbitą gromadką. A dalej — dalej nie ma już żadnej procesji. Nikt już więcej nie idzie! Nikt z wiernych do procesji nie dołączył, bo mógłby później nie dopchać się do cerkwi.

Nie ma więc w procesji wiernych, ale tu właśnie rusza, tu rusza nasza wiara! Jak przez wyważone drzwi sklepu, żeby porwać swój łup, żeby rozkraść cudze kęsy, żeby precyzyjnie się ze zdobyczą przez kamienne wierzeje i zniknąć wśród wirów ludzkiego potoku — tłoczą się, przepychają, cisną się chłopaki i dziewczuchy — a po co? Bo to wiedzą? Pogapić się, jak popy będą pajacować? Albo po prostu — żeby postać w cizbie — po to właśnie przyszli? Procesja bez wiernych! Droga krzyżowa bez jednego znaku krzyża! Procesja w czapkach, z papierosami, z tranzystorami na piersi: te pierwsze rzędy publiczności, to przepychanie się we wrotach — oto, co koniecznie trzeba jeszcze wpisać w obraz! I wtedy dopiero malowidło będzie zakończone! Starucha zegna się gdzieś z boczków i mówi do drugiej babiny: „W tym roku to jeszcze dobrze, żadnego fuligaństwa. Tyle milicji...”. Więc to tak! Więc to jeszcze dobry rok?...

Co wyrośnie z tych urodzonych i wyhodowanych u nas najważniejszych naszych milionów? Na co się zdały światłe wysiłki i różane prorocтва tyłu główaczy? Co dobrego nam przyniesie może ta nasza przyszłość?

Zaprawdę: obróca się któregoś dnia i stratuja nas wszystkich! I tych, co ich tu naszczuli — tak samo stratuja!

Aleksander SOŁŻENICYN

(Tłumaczył z rosyjskiego Michał Kaniowski)

Cocktail etnografów

Te świecące są nowe, ale mniej wartościowe bo mniej noszone... Nie, chilijscy Indianie, tutejsi Mapuche, a w każdym razie ci z Temuco, nigdy nie robią ich specjalnie dla turystów, ale czasem zmuszeni są sprzedawać nawet te odświętne kolie...

Kolie Indian Mapuche: płaskie, gładkie krążki z bladego srebra, nawleczone na skórzane tasiemki. Do krążków przywiązane kwadraciki z takiego samego srebra i do kwadracików znowu krążki a między krążkami szare korale, bardzo szeroko drażone, korale z kości a może z lekkiego kamienia... gładkie.

Nowsze kolie w gablotce bez szkła. Tamte, dłużej noszone: za szkłem. Mniej świecące, czasem jakby zamszone. W jednej z najdroższych koli skórzana tasiemka nadsztukowana złotym sznurkiem...

Ta kolia jest bardzo stara... przechowywali ją od pokoleń... kilka razy przynosili w komis a potem odbierali... kosztuje 120 dolarów, o ile mogą państwo zapłacić dolarami... jeśli nie, cena jest wyższa o 20 procent, bo rozumieją państwo... *escudo* się dewaluuje a nie wiadomo co będzie jutro...

Brakuje trójkącika po lewej stronie? Przez to kolia jest jeszcze cenniejsza... A ta plamka na krążku? Może rdza a może krew. Nigdy ich nie czystymy, bo rozumieją państwo: wyczyszczone tracą wartość...

Ten wykruszony koral? Proszę spojrzeć tu niżej: aż trzy inne są wykruszone... Czy można ją nosić? Ależ naturalnie! Jeszcze jak noszą! Kupują i noszą, zaręczam państwu, że noszą... Zwłaszcza ci co przyjeżdżają na badania, archeologowie, etnografowie... Oni zresztą nie zawsze mogą kupić, ale przychodzą z nimi inni. I ci inni z pieniędzmi — kupują to co tamci kupić chcieli a nie

mogli, czasem po dwie, trzy kolie i zawsze dolarami płacą. Trzy tygodnie temu w tej lepszej gablotce nie było nic. Wszystko wykupili!

◆
Noszą, noszą i jeszcze jak noszą! Im bardziej wykruszone — tym lepiej, im bardziej drapiące sznurki — tym prawdziwsze!

◆
Na *cocktail party* u młodego etnografa Webba Goodwina, na niższych pagórkach Berkeley, zaproszeni byli nie tylko etnografowie i nie tylko ludzie z powiązaniem czylijskimi (bo Goodwinowie wrócili właśnie z badań w Chile) — nie, skądże! Goodwinowie nie idą na taką łatwiznę! Nie są tacy!

I nie miał to być bal kostiumowy jak miesiąc temu u Smithów, bo bale kostiumowe i w ogóle bale nie są w stylu Goodwinów. Po prostu *cocktail party* i to niewielka, zaledwie na 15 osób, ale za to wybrane i dobrane towarzystwo! Bo nie tylko sami *assistant professors*, jak Webb, ale i dwóch *full professors* i jeden z nich w dodatku zaproszony bez nudnej żony, która by popsuła intelektualną rozmowę. I poza tym dwóch znajomych z Fundacji: ten od Forda — archeolog, a ten od Rockefellera — socjolog. Poza tym psycholog z San Francisco University, pół-Amerykanin-pół-Czylizczyk i malarz interesujący się sztuką prymitywną, ale nie czylijską. No i kolega Webba z uniwersytetu, Donald Cook, chłopak z dobrym *background*, i bardzo zdolny, wyspecjalizowany w etnografii Europy Wschodniej, co samo przez się jest dowodem i przedsiębiorczości i niezależności intelektualnej, bo Europa Wschodnia nie jest ani modna ani łatwo dostępna, no i w dodatku wielojęzyczna... Donald jest chyba najbliższym przyjacielem Webba. Nie było między nimi nigdy ani cienia rywalizacji. Łączy ich dobry *background* i dzieli specjalizacja. Chile i Europa Wschodnia nie mają przecież ze sobą nic wspólnego!

A jednak?

Zresztą kto wie... Może tego nawet nikt nie zauważył?

A może zauważając, nie zrozumiał?

A było to tak. Mimo to, że nie był to na pewno bal kostiumowy, goście wykostiumili się jak mogli. Bo, po pierwsze była to *cocktail party* w domu etnografa więc powyciągano specymeny etnograficzne z Oceanii, Indonezji, Alaski. Żona archeologa z Berkeley przyszła na przykład w hinduskiej *sari* a on sam w ogromnym turkusowym pierścieniu Indian Hopi na małym palcu, mimo,

że specjalizuje się w archeologii śródziemnomorskiej. A po drugie... już od roku *Vogue Magazine* i *Bazar* lansują *saris*, *ponchos gavany*, frendzle, wisiorki, kości, łańcuchy z ciężkiego metalu, pióra, sandały, turbany, skórę, len, szczyrby, plamy, im bardziej zgrzebne tym bardziej etnograficzne i modne i to nie tylko dla kobiet ale i dla mężczyzn, jak widać z ostatnich, męskich, stron *Vogue* i *Bazar*.

Żona Webba, Joyce, też etnografka miała na turkusowej lnianej sukni bardzo drogą, bo bardzo używaną kolie Indian Mapuche, wyszczerbioną, pozwiązywaną sznurkami aż w trzech miejscach i z kilkoma plamkami na bladym srebrze: od rdzy a może od krwi...

Te plamki nie zwracały zresztą uwagi, mimo że były przecież takie interesujące, zwłaszcza ich nieznana przeszłość. Hipotezami „porównawczo-paleontologicznymi” (tak to sformułowała) Joyce bardzo chciała oczarować archeologa z Ford Foundation pijącego, tak samo jak ona, podwójne *martini* tylko, że z cebulką zamiast oliwki. Ale wszystko popsuł Donald! Bo Donald przyszedł w bardzo podartym, więc na pewno autentycznym, kostiumie, całym w brązowe plamy na zielonawym tle i stanął w tych swoich plamach tuż obok Joyce i archeologa... Zaraz utworzyło się naokoło niego kółko pijących *manhatany* bardzo zaintrygowanych plamistym kostiumem, tak, że w końcu archeolog od Forda też się nim zainteresował i zaczął pytać dlaczego ten kostium (a był to podobno mundur powstańca polskiego z 1944 roku) nazywa się „panterka” i czy „czarne pantery” pod tym wpływem nazwały się „panterami”, i jeśli tak to dlaczego tu „panterka” a tam „pantera”...?

Może by jakoś zwiędła ta rozmowa bez pożywnych hipotez na temat „panterki” i „pantery”, ale socjolog od Rockefellera rozdmuchał ją znowu, improwizując z kieliszkiem podwójnego *martini* fantastyczną teorię deformującej pseudo-charyzmy w obrębie niedouzupełnionego pola świadomości...

I tak się rozpętała ta dyskusja, rzekomo fascynująca, że biedna Joyce nie miała już nigdy okazji zainteresować archeologa od Forda hipotezami na temat plamek na kolii Mapuche...

A szkoda, bo według najbardziej przekonującej hipotezy jedna z tych plamek była plamką krwi...

Alicja IWAŃSKA

Albany, 8 stycznia 1971 r.

Wiersze

Stanisław WYGODZKI

BOŻE NARODZENIE 1970

*Wichrem rozwiany grudniowy śnieg,
grudniowy wicher i ślizgawica,
narodzin Dziecka pilnuje szpieg
i salwa za salwą w ulice
bije.*

*Ziemskiej krzywdy grudniowy mrok,
w śniegu, zadymce, w nędzy, głodzie
zeszedł z krzyża, rozdarty ma bok,
stopą krwawiącą idzie w pochodzie
i salwa za salwą bije i bije.*

*Takie świtanie i taka noc,
morska piana biegnie do brzegu,
trup zawinięty w czarny koc
wydźwignięty ponad szeregi
i salwa za salwą bije i bije
Jezus, Maryja.*

Stanisław WYGODZKI

Zdzisław MAREK

NA POGRZEBIE WIERZYŃSKIEGO

†
*drzewo pod którym płacze dziewczyna jest już po drugiej stronie
ostatnim wysiłkiem walcząc z wewnętrznym wiatrem chaosu*

*jeszcze tza na policzku dziewczyny jakże okrągła powoli rozdaje
okruchy czasu który przeminął a wciąż powracać się zdaje
a już skończyło się wszystko:*

*na glinie cmentarnej czapy śniegu pod niebem niskim w chwili
bezradnej odmienia się w piątej porze roku
zatraca się w glinie ślady z których lepi się słowa jakże obojętne
w nazwaniu i poza nazwaniem
oczy nieruchome świadomość okaleczona w ciszy drżącej sekundy
czy lata
i tylko w ciszy dotkliwie zapisuje się klęska i triumf banity*

†
*trumna w kraterze grobu wybitego księżycową zielenią
dar od przyjaciół aby ziemia chłonna nie oderwała go od tkanki
ich godzin
nie dotkniesz ziemi ni razu któryś pisał ją w kwiatach i wiośnie
któryś beztrosko po głębie jej sięgał oddalony na zawsze od
tajemnic jej pustki nicią życia nicią przyjaciół
czyżbyś wiedział teraz wszystko spoczywający w kruszących się
światach w kolumnach cienia
czyżbyś teraz przemieniony szedł przez krainę słowa z rękopisem
w sztywnych palcach po zbawienie od samego siebie*

†
*żal po człowieku: pogodny nietrwały żal
nadzieja jakaś młoda lecz ciężka zostaje po niej cień
o wszechobecnym skrzydle
i obrazek cmentarny przez który za chwilę przetoczy się życie
wielkiego miasta jak pusta rzeka wieczności*

*żal po poecie: szczery i nieszczery żal podróż w jego i moją
młodość
i myśl jak napis na grobowej płycie:
zmarł na wygnaniu
lub ciszej: przetrwał*

*o dniu bezbarwny jak pergamin na którym zatały się wichry
i spokój szaleje*

†

*(ile epok poczęło się ze słów w kwiatach ile światów ginących
w milczeniu
a wszystko ryte w glinie cmentarnej gdyby ujrzyć rzeczy jakimi są:
po odjęciu światła)*

*(wiwisekcja złudzenia: wstydzę się dawnych godzin nad jego
poezją życia w tym dniu o wronich obrysach bez dalszego
koloru)*

*(poezjo: deformacje zamiast czynów nie zbudują nowego człowie-
ka kłamstwa jego i mojej wyobraźni nie rozerwą zastony
którą kątem oka dostrzegam
w zwężającym się nieuchronnym trwaniu)*

*(powiedzcie: w tym błotnym dniu gdy umiera wspomnienie po
człowieku ile pozostaje ile ginie na zawsze)*

*(jeśli powrócę do jego wierszy jakże pokonam krajobraz samotnych
drzew pod niebem niskim prawie sięgającym grobu)*

Zdzisław MAREK

Londyn 1969

Dyskusja o polskiej gospodarce

*Wziąć czego nie ma,
Dodać soli i kminku.
Potem zmieszać z tym,
Czego nie ma na rynku.
Mieszać długo, dokładnie,
Jak się znudzi — to przestać
I posypać tym na co
Absolutnie nas nie stać.*

*Można smażyć lub upiec,
Lub przypiekać na rożnach,
Polewając tym, o czym
Nawet marzyć nie można.
Wszyscy u nas to zjedzą,
Dla każdego wystarczy,
Na tym właśnie polega —
Polski cud gospodarczy!*

(Wierszyk kursujący obecnie w Polsce. Z. H.)

O polskiej gospodarce

JAKIE SĄ JEJ WADY I DLACZEGO TAK TRUDNO JE USUNĄĆ?

Wszyscy się zgadzają, że niedobrze się dzieje w gospodarce polskiej. Nikt nie przeczy, że trzeba coś w niej poprawić. Krytykuje się istniejący stan rzeczy, zapowiada się reformy, dyskutuje się ich projekty, opracowuje się wytyczne, czasem nawet wydaje się przepisy, mające te reformy wprowadzić w życie. Po czym mija pewien czas i znów wszystko zaczyna się od początku.

Widzieliśmy to już kilka razy. Zaczęło się w roku 1956¹. Sze-

1. Przedtem wszyscy byli zachwyceni przodującymi metodami kierowania gospodarką narodową, zaczerpniętymi z doświadczeń Związku Sowieckiego i nie widzieli żadnej potrzeby reform. Próby samodzielnego myślenia zainicjowane przez Centralny Urząd Planowania w latach 1946-48 były już wtedy gruntownie zapomniane.

roko zakrojona i gruntowna dyskusja o modelu gospodarki polskiej w ramach prac Rady Ekonomicznej wzbudziła wówczas zainteresowanie w całej Europie, ale wpływ jej na rzeczywistość polską był minimalny. Druga fala reform nastąpiła po IV Zjeździe PZPR w roku 1964. Nie tak szeroko zakrojone jak prace z lat 1957-9, reformy te dotyczyły przede wszystkim usprawnienia metod zarządzania przedsiębiorstwem. I znowu niewiele z nich zostało. Ostatnio wrócono znowu do tej sprawy, kładąc tym razem nacisk na nowy system bodźców materialnego zainteresowania. Jeszcze raz nic z tego nie wyszło.

Bezskuteczność tych wszystkich reform znalazła dramatyczny wyraz w zaburzeniach grudniowych na Wybrzeżu. Podwyżka cen z 12 grudnia była ich bezpośrednim powodem, ale głębszych przyczyn tych wydarzeń szukać trzeba w atmosferze bezsilności, beznadziei i frustracji, stworzonej przez trwające od lat i ciągle niemożliwe do przezwyciężenia trudności gospodarcze.

Dlaczego tak się dzieje? Skąd się bierze ta ogólna niemożność? Co sprawia, że wszystkie reformy kończą się na niczym?

Postaram się odpowiedzieć na te pytania, przedstawiając systematycznie fakty, które sprawiają, że gospodarka polska ciągle kuleje.

Odpowiedź będzie się składała z trzech części. Pierwsza dotyczy będzie ogólnej atmosfery i warunków, w których działa polska gospodarka. Druga wskaże na błędy koncepcyjne, które znalazły wyraz w strukturze tzw. modelu gospodarczego. Trzecia omówi nietrafność zamierzonych reform i przeszkody na drodze do ich wprowadzenia w życie.

I. Ogólne warunki, w których działa polska gospodarka: zanik zdrowego rozsądku.

Z gospodarki polskiej wygnano zdrowy rozsądek. To właśnie jest jej cechą charakterystyczną. Zdanie sobie z tego sprawy jest podstawowym warunkiem zrozumienia atmosfery, w jakiej gospodarka działa. Zdrowy rozsądek jest niezbędny na każdym kroku; bez niego żadna decyzja nie może być prawidłowa. Polega on na tym, że widzi się rzeczy takimi, jakimi są i postępuje się stosownie do tego, co się widzi. Prawda, że sam zdrowy rozsądek nie wystarcza do decydowania o wielu złożonych zagadnieniach, ale bez niego nie można dać sobie rady nawet z najprostszymi. Jeśli się o tym zwykle nie wspomina, to dlatego, że uważa się za oczywiste, że każdy zawsze kieruje się zdrowym rozsądkiem. Ale w Polsce mamy do czynienia ze zjawiskiem zupełnie szczególnym: zdrowy rozsądek został tam świadomie unicestwiony.

Zdrowy rozsądek zniszczyć można różnymi sposobami.

Przede wszystkim przez pogębienie prawdy. Jeśli nie wolno mówić prawdy, jeśli nie wolno prostować fałszu, jeśli trzeba udawać, że nieprawda jest prawdą, zdrowy rozsądek usycha.

Innym sposobem wykorzenia zdrowego rozsądku jest za-

chwianie poczucia słuszności. Każda decyzja oparta jest nie tylko na rozeznaniu sytuacji obiektywnej, ale także na sędzie wartościującym, który określa, co w danej sprawie jest pożądane, słuszne lub właściwe. Pewien stopień zgodności poglądów co do tego, co jest słuszne w życiu społecznym, jest niezbędny, żeby zdrowy rozsądek mógł funkcjonować.

Pogębienie prawdy i zachwianie poczucia słuszności było wynikiem świadomej i konsekwentnej działalności rządzącej Partii. Włożono wiele wysiłku w rozbicie więzi społecznych istniejących w Polsce i doprowadzenie społeczeństwa do stanu rozproszkowania — w którym nie ma żadnych solidarności, mogących przeciwstawić się władzy. Rozbito więc i zdemoralizowano tradycyjne partie polityczne, spółdzielczość i organizacje społeczne i młodzieżowe. Towarzyszyło temu usiłowanie przewartościowania poglądów historycznych: na sprawę odzyskania niepodległości w 1918 r., na okres międzywojenny, na ruch oporu w czasie okupacji. Chodziło o dwie sprawy: o pozbawienie społeczeństwa wszelkich form organizacyjnych nie kontrolowanych przez Partię i o unicestwienie opinii publicznej, to jest wspólnoty poglądów nie dyktowanych przez Partię. Doprowadziło to do ogólnej dezorientacji. Wszyscy pojęli, że nie można już ujawniać tego, co się wie, ani przyznawać się do tego, co się uważa za słuszne. Należy tylko patrzeć, skąd wiatr wieje i powtarzać to, co kazano.

Na ten grunt ogólnej dezorientacji rzucono następnie grad półprawd, zwykłych kłamstw i oczywistych nonsensów, dotyczących nowego ustroju. A więc, że produkcja musi mieć pierwszeństwo przed konsumpcją, że kolektywizacja podnosi dobrobyt chłopów, że współzawodnictwo pracy skutecznie podnosi wydajność, że wliczanie wartości usług do produktu narodowego sprzeczne jest z interesem klasy robotniczej i że zastosowanie matematyki do rozwiązywania zagadnień ekonomicznych jest wymysłem imperialistów. Każdy wiedział, że to są głupstwa, ale biada temu, kto próbował to głośno powiedzieć.

Najbardziej bowiem skutecznym sposobem zabicia zdrowego rozsądku jest strach. Sposób ten zastosowano w szerokim zakresie. Zakaz jawnego głoszenia prawdy i przyznawania się do zasad słusznego postępowania nie byłby może bardzo skuteczny, gdyby jednocześnie nie zastosowano sankcji przeciw tym, którzy ośmielili się myśleć własną głową. Pod wpływem strachu ludzie zgodzili się nazywać fałsz prawdą a krzywdę sprawiedliwością i, co więcej, wielu zaczęło postępować według tych deklaracji. Wtedy to nastąpił definitywny rozbrat ze zdrowym rozsądkiem. Rozumne opinie zastąpiła drętwa mowa, ocena rzeczywistości z różnych punktów widzenia przestała być możliwa, a różnice poglądów zanikły.

Ostatnia prawdziwa dyskusja ekonomiczna w Polsce odbyła się w lutym 1948 roku na tzw. procesie Centralnego Urzędu Planowania. Wtedy jeszcze przedstawiciele PPS prawdziwymi argumentami bronili metod planowania CUP, ale też właśnie wtedy,

po raz pierwszy padły publicznie ze strony PPR argumenty świadomie bezsensowne, których jedyną wagą było to, że powtarzały sowieckie slogany. Patrząc na to, zdawałem sobie w pełni sprawę, że przeżywamy na tej sali historyczną chwilę i że wchodzimy w nową, ponurą epokę: że oto w naszych oczach PPR-owcy z Hilarym Mincem na czele wtrącają polską myśl ekonomiczną w mroki stalinowskiego ciemnogrodu². Przyszłość pokazała, że na bardzo długo.

Skutki tej operacji dotąd nie ustały. Nie na wiele się zdała krótka odwilt Października. Nie ma wielkiego znaczenia, że niektóre największe głupstwa już wyszły z obiegu. Trwa klimat. Utrzymuje się postawa ludzi, którzy niczego bardziej się nie boją, niż jasnego spojrzenia na rzeczywistość i rozsądnego formułowania wniosków, a za jedyną zasadę postępowania przyjmują jak najdalej posunięty konformizm³. Postawa ta została wpojona bardzo gruntownie. Zapewne niełatwo będzie ją odmienić.

Bezpośrednim i najbardziej rozpowszechnionym skutkiem zaniku zdrowego rozsądku jest spaczenie niezliczonych decyzji, które w zakresie kierowania gospodarką narodową pobiera się na wszystkich jej szczeblach. Jest to więc pewnego rodzaju zwyrodnienie procesu funkcjonowania komórek gospodarki narodowej. Ciekawe, że nie są wolne od tego schorzenia nawet podstawowe decyzje na szczeblach centralnych, które powinny się opierać nie tylko na zdrowym rozsądku, ale na naukowej analizie zagadnienia i wysokiej wiedzy fachowej. Odruch bezmyślnego potakiwania uwarunkowany długoletnim doświadczeniem nie jest, jak się zdaje, nieznanym nawet na wyżynach Biura Politycznego i Rządu. Decyzje najwyższych instancji partyjnych, które poprzedziły wypadki na Wybrzeżu, są tego uderzającym przykładem.

Dalszym skutkiem zaniku zdrowego rozsądku jest zafałszowanie informacji, która dochodzi do władz naczelnych gospodarki

2. Nastąpiły wkrótce potem zarządzenia tak sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, że prawie nie do uwierzenia. Nie tylko nie pozwolono myśleć, ale nawet odcięto działaczy gospodarczych od wiarogodnych informacji. Wstrzymano badania budżetów rodzinnych, przerwano obliczanie wielu indeksów. Zawieszono nawet publikację roczników statystycznych. I pomyśleć że znaleźli się ekonomiści, którzy zachłystywali się w pochwałach tego systemu.

3. Ciekawym przykładem tej postawy jest zwyrodnienie roli narad i konferencji. Kiedyś były one polem wymiany przeciwstawnych poglądów, ale teraz nikt nie jest tak naiwny, aby ujawniać co naprawdę myśli. Inteligentny uczestnik stara się przede wszystkim zorientować, czego życzy sobie najważniejsza osoba obecna na sali, a następnie będzie tak naciągać fakty i takie głośić poglądy, aby się tej najważniejszej osobie jak najbardziej przypodobać. Jeżeli w obradach zaznaczają się jakieś różnice zdań, to tylko dlatego, że mniej inteligentni lub gorzej poinformowani uczestnicy nie dokładnie, lub nie od razu zgadli, co pragnęłyby usłyszeć najważniejsza osoba. Naoczny i najzupełniej wiarogodny świadek opowiadał mi nie tak dawno temu o ministrze, przewodniczącym dużej konferencji, który zmienił swoje zdanie na zupełnie przeciwne, pod wpływem zmiany wyrazu twarzy obecnego na sali kierownika Wydziału KC.

narodowej. Informacja ta jest z natury rzeczy niedoskonała i musi być nieustannie konfrontowana z rzeczywistością, to znaczy z opiniami „terenu”. W procesie tej konfrontacji, nieścisłości w informacji powinny stale ulegać korekcie. Może to jednak nastąpić pod warunkiem, że ludzie „w terenie” będą istotnie wyrażać swoje zdanie. Jeżeli będą się jedynie starali przypodobać władzy centralnej, wtedy ta korekta nie nastąpi, wskutek czego fałszywość informacji posiadanej przez władzę centralną będzie się pogłębiać, a decyzje oparte na błędnej informacji będą coraz gorsze.

Ostatnim wreszcie skutkiem zaniku zdrowego rozsądku jest utrudnienie życia „szaremu człowiekowi”. W klimacie, który znamy, powstaje gąszcz ustaw, rozporządzeń, przepisów, regulaminów i instrukcji, przez który zwykły człowiek nie może się przedrzeć. Wskutek tego, załatwienie wielu najprostszych spraw staje się bardzo zawiłe i czasochłonne. Kupno tony węgla, biletu sypialnego, części do radia lub telewizora, czy zrobienie elektrokardiogramu wymaga nieprawdopodobnego nakładu czasu, trudu i energii. Pomnożmy to przez miliony takich spraw, a rozmiary marnotrawstwa środków gospodarki narodowej, tj. energii i czasu ujrzymy w całej okazałości.

Zanik zdrowego rozsądku i wynikające z tego wady w funkcjonowaniu gospodarki narodowej nie zostały dotychczas należycie zbadane przez naukę ekonomiczną. Oczywiście w pracach publikowanych w Polsce nie można o tym nawet wspomnieć. Niektórzy specjaliści pracujący na Zachodzie dość dobrze orientują się w problematyce polskiej, ale ta sprawa uchodzi ich uwadze, bo po prostu nie mieści się im w głowie. Z wielkim znanstwem dyskutują oni zalety różnych „modeli socjalizmu”, ale niezmiennie zakładają, że podstawowe komórki gospodarki (poszczególne przedsiębiorstwa i poszczególne osoby) działają rozsądnie, kierując się rozeznaniem sytuacji i swoim interesem zawsze w ramach istniejącego porządku prawnego. Jest to dla nich jedno z tych „milczących”, oczywistych założeń, które nie wymagają uzasadnienia. I nic dziwnego; przecież na takich założeniach zbudowana jest cała tradycyjna teoria ekonomii. Ale właśnie w tym wypadku, te założenia nie odpowiadają rzeczywistości. Wskutek tego tradycyjna teoria zawodzi, gdy chodzi o wyjaśnienie przyczyn niedomagań gospodarki polskiej i znalezienia środków ich przewyciężenia.

Zanik zdrowego rozsądku mógłby być sam jeden wystarczającą przyczyną złego funkcjonowania gospodarki. Nie jest to jednak jedyna przyczyna. Prócz niej mamy jeszcze wady modelu gospodarki i niefortunne próby reform.

II. Wady modelu gospodarki polskiej

Wady polskiego modelu gospodarczego nie są niezależne od omówionego wyżej zjawiska zaniku zdrowego rozsądku. Powta-

rzające się niemądre decyzje kumulują się bowiem i instytucjonalizują. Utrwalają się one w postaci norm prawnych, form organizacyjnych i przepisów regulujących funkcjonowanie gospodarki. W ten sposób powstaje jakaś kafkowska rzeczywistość, której nonsens jest oczywisty dla każdego, ale spod władzy której nikt nie może się wyzwolić⁴. Model gospodarczy jest tylko jednym z jej aspektów. Ma on jednak szczególne znaczenie dla sprawy, która nas interesuje i dlatego poświęcić mu trzeba trochę więcej uwagi⁵.

Poza ogólnym klimatem, w którym działa gospodarka, istnieją jeszcze specyficzne przyczyny wadliwości ustroju. Pierwszą z nich jest pogarda, jaką od początków stalinizmu aż do dnia dzisiejszego, otoczona jest twórcza myśl ekonomiczna i poniżenie, jakie było i jest udziałem wielu jej przedstawicieli. Dozwolony im jest albo martwy dogmatyzm albo wąski praktycyzm. Myślenie było i jest bez szans.

W pierwszych latach po wojnie, najlepszy na jaki nas wtedy było stać zespół ekonomistów, powstał w ramach i wokół Centralnego Urzędu Planowania. Po przełomowym dla gospodarki polskiej procesie CUP w roku 1948 zespół ten został rozpuśćony na cztery wiatry. Zadbano również o to, aby co lepszych ekonomistów usunąć z uczelni, a co najmniej pozbawić prawa wykładowania. Wreszcie całkiem spora grupa poszła pod klucz⁶.

Po Październiku wydawało się, że nastąpiła poprawa. Ekonomiści z prawdziwego zdarzenia skupili się wokół Rady Ekonomicznej. Ale na próżno. Prace Rady miały bardzo ograniczony wpływ na praktykę gospodarki polskiej. Po początkowo wielkim

4. Konsekwencje tego stanu rzeczy sięgają aż do podstawowych zasad funkcjonowania aparatu państwowego. Wiadomo, że są w Polsce wybory, w których nikt nikogo nie wybiera, sejm, który jest pozbawiony wszelkiej władzy i związki zawodowe, które nie bronią interesów robotników. Ten stan rzeczy nie jest samoczynnym skutkiem zaniku zdrowego rozsądku. Zupełnie przeciwnie, został on stworzony zupełnie świadomie. Ale, żeby go stworzyć a przede wszystkim, żeby go utrzymać, trzeba było przytłumić działanie zdrowego rozsądku społeczeństwa. Inaczej bowiem jego nonsensy i fałsze stałyby się jawne i nie dałyby się utrzymać. Taki, jaki jest, pasuje on doskonale do zwichniętej struktury gospodarki a nawet to zwichnięcie jeszcze pogłębia. Bo, jeżeli wszystkie naczelne władze są „na niby”, dlaczego miałyby na serio pracować przedsiębiorstwa i dlaczego mieliby na serio wykonywać swoje obowiązki robotnicy.

5. Pełna krytyka modelu gospodarczego przekracza oczywiście bardzo znacznie ramy tego artykułu. Ale główne argumenty można przedstawić zwięźle i prosto. Będę się starał to zrobić, unikając w miarę możliwości terminologii planistycznej i ekonomicznej niezrozumiałej dla nie specjalistów.

6. W chwili pisania mam w pamięci osiem nazwisk przedstawicieli nauki ekonomicznej, którzy krótszy lub dłuższy okres przesiedzieli w więzieniu, oczywiście bez żadnej winy. Niektórzy po kilka lat. Nie wymieniam ich nazwisk, bo obawiam się, że to przypomnienie jeszcze dzisiaj mogłoby im zaszkodzić. Z pewnością nie wszystkich pamiętam. Liczba ta nie obejmuje oczywiście działaczy gospodarczych, których zamknięto bardzo wielu, ale o tym nie miałem nigdy dokładnych informacji.

rozmachu, praca Rady stopniowo słabła pod wpływem narastającego poczucia bezużyteczności i bezsilności. Po czterech latach zupełnie już martwa Rada została rozwiązana. Tym razem nie pociągnięto to za sobą prześladowania jej członków i współpracowników (poza paroma wyjątkami), tylko po prostu ich prace pograżono w pogardliwym zapomnieniu.

Prawdziwy pogrom ekonomistów nastąpił natomiast po marcu 1968 roku. Bez względu na dobro gospodarki narodowej i nauki ekonomicznej wypchnięto ich na zagraniczną lub wewnętrzną emigrację.

Tak więc posiadając kadre ekonomistów, której nikt by się nie powstydział i to kadre gotową do pracy dla gospodarki narodowej, zrobiono wszystko, żeby jej wpływ na gospodarkę był równy zeru⁷.

Trudno się więc dziwić, że model gospodarki polskiej ma wiele wad. Powstał on w wyniku ślepego naśladowania wzorów sowieckich i nigdy nie został należycie przemyślany i przepracowany. Wady jego można przedstawić z dwóch punktów widzenia: od strony kierownictwa gospodarki i od strony pracowników. Zaczniemy od zagadnień dotyczących kierownictwa.

Oderwanie decyzji od odpowiedzialności. Kierownictwo gospodarką ma strukturę hierarchiczną. Na samej górze są wicepremierzy gospodarczy i Komisja Planowania, niżej ministrowie, zjednoczenia i wreszcie przedsiębiorstwa. Kierownicy tych jednostek odpowiadają za ich funkcjonowanie i formalnie biorąc, mają prawo wydawania decyzji w tym zakresie. Ale faktycznie wszystkie ważniejsze decyzje, a nawet wiele decyzji mniejszego

7. Pouczające są losy i rola odegrana w Polsce przez najwybitniejszych zmarłych już polskich ekonomistów.

Oskar Lange, sława światowa, z lekceważeniem potraktowany na procesie CUP, pozbawiony prawa wykładowania ekonomii, odsunięty od wpływów politycznych (mimo, że nie przestał być członkiem KC). W końcowym okresie stalinizmu zaczyna być tolerowany i używany do funkcji reprezentacyjnych. Potem dochodzi do czołowych stanowisk państwowych (przewodniczący Rady Ekonomicznej, wiceprzewodniczący Rady Państwa) nie zyskując jednak nigdy prawdziwego wpływu na politykę gospodarczą. Zdolności analityczne i talent jasnego widzenia zagadnień starannie ukrywa pod maską konformizmu, a ujawnia go tylko w pracach dostępnych wąskiemu gronu specjalistów.

Michał Kalecki, także sława światowa, wraca do kraju pod koniec stalinizmu. Z początku honorowany i mianowany doradcą Komisji Planowania reprezentował przez pewien czas oficjalne stanowisko ówczesnego kierownictwa gospodarki. Ale nie umiał powstrzymać się od wypowiadania swego zdania w sposób bezkompromisowy, co wzbudzało coraz większą niechęć biurokratycznego aparatu. Pozbawiono go więc wpływu na politykę gospodarczą i doprowadzono do wycofania się z Komisji. Krytykowany w roku 1968 stał się nawet pośmiertnie przedmiotem ataku w broszurze pt. „Dywersonja w Ekonomice” (1970).

Aleksy Wakar, prawie nieznaną za granicą, ale niewątpliwie jeden z bardziej oryginalnie myślących ekonomistów polskich. Usunięty z Partii, uwięziony, wywieziony do Związku Sowieckiego, po powrocie pracował z małym gro-

znaczenia, a w szczególności decyzje personalne, są narzucane kierownikom jednostek organizacyjnych przez komitety partyjne odpowiedniego szczebla. Przedstawiciele tych komitetów są gorzej poinformowani i gorzej przygotowani do pobierania tych decyzji, a co najważniejsze nie odpowiadają za ich skutki. Kierownictwo jednostek organizacyjnych formalnie odpowiada za te podjęte decyzje, ale oczywiście nie może się czuć za nie prawdziwie odpowiedzialne. Naturalne jest więc, że ucieka się do manewrów asekuracyjnych. W ten sposób prawdziwa odpowiedzialność zawisa w powietrzu. I nikt nie jest gotów do prawdziwego wysiłku dla wykonania w ten sposób powziętych decyzji.

Taki układ jest oczywiście sprzeczny z najbardziej elementarnymi zasadami nauki o kierownictwie, a także ze zdrowym rozsądkiem. Ale i nauka i rozsądek milczą, bo się boją.

Złe rozwiązanie zagadnienia centralizacji/decentralizacji tj. zakresu decyzji pobieranych na różnych szczeblach gospodarki. Jest to podstawowe zagadnienie „modelowe”, którego znaczenie jest powszechnie doceniane. Mimo to jednak nie znalazło ono dotąd prawidłowego rozwiązania. Omawiając poniżej błędy przedsięwziętych reform, będę miał możliwość wyrazić zdanie o tych usiłowaniach. Sytuacja pod tym względem nie jest dotychczas zadowalająca, bo ciągle nie ustalono wyraźnych zasad, według których można by prawidłowo określić zasięg i stopień decentralizacji. Bez tego racjonalne rozwiązanie tego problemu nie jest możliwe. Zasady te muszą wiązać się z możliwością uzyskania, przetworzenia i interpretacji informacji potrzebnych do podjęcia decyzji. Uprawnienia do podejmowania poszczególnych kategorii decyzji powinny być przyznane jednostkom tego szczebla, na których informacja potrzebna do tego rodzaju decyzji jest najlepsza. Chodzi więc o dopasowanie kanałów i techniki przekazywania informacji do struktury kierownictwa. Zadanie jest na pewno rozwiązalne. Trzeba je jednak przede wszystkim zrozumieć i prawidłowo postawić.

Sprzeczność kryteriów obowiązujących przy pobieraniu decyzji. Niektóre decyzje muszą być pobierane na szczeblach niższych niż centralny. Kierownicy odpowiednich jednostek muszą wiedzieć jakimi kryteriami mają się kierować. Kryteria te muszą być ustalane centralnie. W przeciwnym razie działalność poszczególnych komórek gospodarki narodowej prowadziłaby do sprzeczności i marnotrawstwa środków. Innymi słowy, planowość gospodarki byłaby unicestwiona, a przecież nikt nie pragnie powrotu gospodarki bezplanowej.

nem uczniów nad teorią gospodarki socjalistycznej. Kierownictwo gospodarki polskiej całkowicie ignorowało jego prace. Chociaż teorie jego mogły budzić poważne zastrzeżenia, mogłyby stać się podstawą do interesującej i twórczej dyskusji.

Adam Krzyżanowski i Edward Taylor, najwybitniejsi ekonomiści starszego pokolenia zostali od początku odsunięci od wszelkiego kontaktu z praktyką i pozbawieni katedr.

Tymczasem kryteria decyzji, którymi mają się kierować przedsiębiorstwa, są wieloznaczne. Był kiedyś okres, kiedy jako kryterium dla wszelkich decyzji służyło zadanie wykonania i przekroczenia zadań planowych wyrażonych w produkcie globalnym. Kryterium to miało ogromne wady, do których nie warto wracać. Ale było to jedyne kryterium. Zaczęto jednak potem dodawać nowe kryteria jak np. maksymalizacja sumy zysku, maksymalizacja produktu czystego, minimalizacja kosztów, maksymalizacja wydajności pracy, maksymalizacja efektów dewizowych. Nie wszystkie oczywiście weszły w życie, ale jeśli zaczęły obowiązywać równoległe do dawnych, wprowadziły tylko dezorientację. Bo nie ma dwóch kryteriów, które by nie były ze sobą sprzeczne. Trzeba się zdecydować na wybór kryteriów w pełnej świadomości konsekwencji tego wyboru. Odróżniać przy tym należy kryteria odnoszące się do decyzji pobieranych na etapie formułowania planu od tych, które dotyczą etapu wykonania planu. Tych wszystkich niejasności nigdy nie przewidywano z wielką szkodą dla sprawności działania gospodarki, bo przecież jest jasne dla każdego, że przy istnieniu sprzecznych kryteriów wyniki decyzji stają się nieoznaczone.

Nieracjonalny system cen, tj. fałszywe parametry dla decyzji. Jest rzeczą powszechnie znaną, że system cen istniejący w Polsce jest nieracjonalny. Mimo to ograniczono się tylko do przeprowadzanych od przypadku do przypadku rewizji cen, a nigdy nie zdobyto się na sformułowanie i wprowadzenie w życie zasad ustalania cen. Można tylko zanotować, że Rada Ekonomiczna ogłosiła w 1957 r. „Tezy w sprawie kształtowania cen”. Chociaż nawet wtedy mogły one budzić poważne zastrzeżenia, stanowiły jednak krok w pożądanym kierunku. Niestety nie miał on żadnych praktycznych następstw.

Faktycznie istnieją dwa systemy cen: ceny zaopatrzeniowe i ceny rynkowe. Logika gospodarki centralnie planowanej wymaga, żeby tak było. Ale cała sprawa nie jest zupełnie opracowana teoretycznie, to znaczy zupełnie nie jest wyjaśnione, jak powinny się kształtować te dwa systemy cen i jaka między nimi ma istnieć współzależność. Często sam fakt istnienia dwóch systemów uznaje się za niedoskonałość administracyjną, która powinna być z czasem eliminowana. A tymczasem oba systemy są łątaniną, w której odszukać można ślady niektórych dawno przebrzmiałych sporów, a także dawniejszych i mniej dawnych posunięć, mających zaradzić trudnościom rynkowym i zaopatrzeniowym.

Ceny i stopy procentowe⁸ stanowią parametry (tj. ilościowo ujęte warunki) decyzji gospodarczych. Co warte są w tych warunkach te decyzje nie trudno sobie wyobrazić. Przy fałszywym systemie cen rachunek gospodarczy jest całkowicie zwichnięty.

8. Pomijam tu zagadnienie stóp procentowych. Powiedzieć tylko można, że przedstawia się ono równie źle, jeśli nie gorzej niż zagadnienie cen.

Określenie zakresu decyzji pobieranych na różnych szczeblach gospodarki narodowej (zagadnienie centralizacji/decentralizacji), ustalenie kryteriów i wyznaczenie parametrów tych decyzji stanowią trzy podstawowe zadania, których rozwiązanie powinien zapewnić model gospodarczy. Rozwiązanie to określa zasady, według których odbywa się kierowanie gospodarką narodową. W polskim modelu wszystkie te trzy zadania są rozwiązane źle. A więc i kierowanie gospodarką musi być złe.

Model gospodarczy można oceniać również z punktu widzenia pracowników.

Struktura dochodów ludności obrazuje poczucie słuszności. Jedną z właściwości gospodarki polskiej, która jest jak najbardziej sprzeczna z poczuciem słuszności, jest struktura dochodów ludności. Jak wiadomo na samym szczycie piramidy dochodów znajdują się niektórzy przedstawiciele prywatnej inicjatywy. Przyczyną tych wygórowanych dochodów nie są oczywiście żadne zalety, których posiadanie przypisują przedsiębiorcom tradycyjne podręczniki ekonomii kapitalizmu. Nie duch pionierski, gotowość ponoszenia ryzyka lub przodująca technologia. Dochody ich są wysokie, bo polityka państwa dała im monopolistyczną pozycję. Na ogół prywatnych przedsiębiorców szycanuje się i tępimi różnymi sposobami. Ale nie wszystkich. Ci, którzy nie zostali wytępieni prosperują oczywiście tym lepiej i stanowią swego rodzaju elitę Polski Ludowej. Motywy tej polityki są jasne dla każdego, kto ma otwarte oczy. Elita ta okupuje się aparatury partyjnemu przede wszystkim średniego szczebla. Co zasługuje na uwagę, to przyzwalające milczenie szeregowych członków Partii, którzy przecież nic na tym nie zyskują, jak również tolerowanie tej sytuacji przez najwyższe czynniki partyjne, które tego rodzaju subsydiów nie potrzebują, korzystając i tak z pełni władzy. Jeszcze jeden przykład bierności i zamykania oczu na rzeczywistość. Demoralizujący wpływ tego stanu rzeczy na ludzi utrzymujących się rzeczywiście z pracy nie ulega wątpliwości.

Zły system płac i wynagrodzeń. System płac i wynagrodzeń jest ustalany centralnie i obwarowany licznymi przepisami. Zdawałoby się więc, że tu przynajmniej mogłyby znaleźć zastosowanie jakieś zasady, które by uczyniły z płac bodziec dla wydajności i podnoszenia swoich kwalifikacji. Ale nic z tego. Oficjalnie ogłoszona struktura płac jest płaska tzn. słabo wynagradza wyższe kwalifikacje i większą odpowiedzialność w ramach danego działu gospodarki narodowej. Istnieją natomiast poważne różnice pomiędzy różnymi dziedzinami. Te dziedziny, gdzie trzeba po prostu pracować wynagradzane są nisko, wobec czego wyższe, czy nawet bardzo wysokie kwalifikacje niewiele przyczyniają się do podniesienia dochodów. Należą tu wszystkie działy produkcyjne, handel, transport, oświata i szara masa urzędników i pracowników nauki. Wiadomo, że niektóre płace są tak niskie, że nie podobna z nich żyć. Te natomiast działy, które mają coś wspólnego z propagandą, gdzie więc chodzi o zewnętrzny

efekt, wynagradzane są o wiele lepiej (dziennikarstwo, kino, radio, sport, wybrani naukowcy). O uprzywilejowaniu aparatu bezpieczeństwa powszechnie wiadomo. Oczywiście klasę dla siebie stanowi elita kierownicza w aparacie partyjnym, administracyjnym i gospodarczym. Jej przywileje jednak opierają się przede wszystkim na świadczeniach nie pieniężnych.

Pełny obraz systemu płac i wynagrodzeń jest trudny do uchwycenia, bo nigdy nie był w całości ujawniony. Dyskusowanie systemu płac stanowi temat zakazany od początków Polski Ludowej. Nawet w okresie popaździernikowym nie dopuszczono do dyskusji tego tematu na Radzie Ekonomicznej. Wystarczą jednak fakty powszechnie znane, aby stwierdzić, że system płac i wynagrodzeń zawiera bardzo jaskrawe anomalie. Jest to ważna przyczyna frustracji ludzi pracy.

Poniżenie człowieka pracy (moralne warunki pracy). Nie tylko struktura płac zachęca do sumiennej i intensywnej pracy, ale i klimat moralny, w jakim odbywa się praca. Chodzi więc o to, żeby pracownik czuł się związany z zakładem pracy i miał pewność, że jego sumienna i wytrwała praca uzyska uznanie współtowarzyszy i przełożonych. Ważnym elementem stwarzającym pożądaną klimat jest polityka awansów. Powinny one zależeć od rzeczywistych kwalifikacji i osiągnięć pracownika.

Wiadomo jednak jak jest. Wypadki na Wybrzeżu ujawniły to z całą jaskrawością. A pamiętać trzeba, że wystąpili tam robotnicy należący do grup stosunkowo lepiej traktowanych niż inne. Można przyjąć jako regułę, że robotnicy są wyzyskiwani, poniżani i nie mają żadnej prawdziwej reprezentacji. Każdy też wie, że nie kwalifikacje i sumienna praca prowadzą do awansu, ale wkradanie się w łaski sekretarzy partyjnych. Jest to ogólne prawo awansu w PRL: obowiązuje od niewykwalifikowanego robotnika do profesora uniwersytetu. Niektórym się udaje, ale ogromna większość czuje się skrzywdzona, poniżona i zniechęcona.

Ułomność gospodarki pieniężnej. Płace, które są wynagrodzeniem za pracę są wypłacane w pieniądzu. W sposób niedoskonały, ale jednak odpowiadają one jakoś ilości i jakości wykonanej pracy. Wiele jednak przywilejów i świadczeń ma charakter niepieniężny. Przydziały mieszkań, niektórych trwałych artykułów konsumpcyjnych, uprzywilejowane wczasy uzyskiwane są inną drogą, nie związaną zupełnie z ilością wykonanej pracy. W ten sposób rola wszelkich bodźców o charakterze pieniężnym jest poważnie osłabiona. Jest to jeden z powodów ich nieskuteczności.

III. Niefortunne próby reform

Jeśli tak się przedstawiają wady polskiego modelu gospodarczego, warto teraz zastanowić się, co dotąd zrobiono, aby te wady naprawić i dlaczego zrobiono tak mało.

Mamy przed sobą kompromitujący obraz dreptania w miejscu. Przypisuję to trzem głównym powodom:

Brak rozeznania sytuacji jest pierwszym z nich. Istnieją elementy sytuacji, które są znane wszystkim, ale o których nie wolno mówić. W ten sposób umykają one z pola dyskusji modelowej albo w całości albo przynajmniej częściowo. Nie wolno było mówić o wadliwym systemie płac, o prawdziwej roli prywatnej inicjatywy, o wyzwisku robotników i o tym, co naprawdę myślą oni o sposobach zarządzania gospodarką. Inne znowu elementy, chociaż nie absolutnie zakazane, są stale zniekształcane przez wadliwą informację.

Błędy koncepcyjne wiążą się z brakiem nowatorskiego i twórczego myślenia, o którym już była mowa. Przede wszystkim brakuje syntetycznego spojrzenia na problem reform. Ostatnią próbą, która miała szerszy oddech były prace Rady Ekonomicznej. Wszystko, co było później, to były ułamkowe próby, które nie mogły przynieść poprawy, bo gospodarka stanowi jedną całość. Ale i w tych swoich wąskich granicach reformy te były chybione. Główna ich wada polegała, moim zdaniem na tym, że zamiast tworzyć nowe, lepsze formy gospodarki planowej, próbowano do niej przyczepić elementy wzięte bezkrytycznie z kapitalizmu. Wydaje się, jak gdyby rozumowano mniej więcej tak: „nasze przedsiębiorstwa działają niesprawnie, a patrzcie jak prosperują przedsiębiorstwa kapitalistyczne, wzorujemy się po cichu na nich”.

Wynikły stąd dwie „wiodące” koncepcje: pierwsza z nich to prawdziwa obsesja „bodźcami materialnego zainteresowania”. Uznano, że sprawność przedsiębiorstw kapitalistycznych wynika z działania tych bodźców, a więc trzeba je także wprowadzić w gospodarce polskiej. I wiązano z tym duże nadzieje, moim zdaniem wielce naiwne. Właściwym bodźcem dla robotnika jest jego płaca. Udział w zysku itp. środki stosowane w kapitalizmie mają właściwie na celu stępienie proletariackiej postawy robotników, tzn. stworzenie atmosfery współpracy z kierownictwem przedsiębiorstwa, a nie są traktowane w zasadzie jako sposób na zwiększenie wydajności pracy. Stosowanie ich w polskich warunkach jest właściwie bez sensu. Robotnicy mają co prawda proletariacką postawę, tzn. nienawidzą właścicieli Polski Ludowej, ale to zmienić można tylko przez poprawę warunków moralnych pracy, a więc przede wszystkim przez przywrócenie robotnikom praw politycznych i prawa zrzeszania się. Nie przekupi ich żaden udział w zyskach. Jako środek zwiększenia wydajności, proponowane bodźce są za niskie, zbyt skomplikowane i dają efekty za późno, aby mogły wywrzeć jakikolwiek wpływ. Zadziwiające jest, jak mimo przewlekłych dyskusji, poświęconych tej sprawie, polscy specjaliści ciągle nie dostrzegają tych podstawowych faktów.

O trafności mojej krytyki najdobitniej świadczy niesławny

koniec najświeższej wersji proponowanego systemu bodźców. Wprowadzenie go w życie zostało ostatnio wstrzymane w ramach *koncesji dla robotników* (!). Trudno o gorszą kompromitację całej koncepcji.

Bodźce dla kierownictwa przedsiębiorstw są natomiast zbyt sztywne. Prawdziwie sumienny kierownik przedsiębiorstwa w gruncie rzeczy nie powinien się nimi kierować, bo mogą go one czasem skłonić do działalności sprzecznej z interesem przedsiębiorstwa. Ocena pracy kierownika przedsiębiorstwa musi brać pod uwagę bardzo wiele elementów, których nie można ująć w siatki i tabele. Oczywiście każdy kierownik przyjmie chętnie dodatkowo wynagrodzenie, ale prawdziwym bodźcem dla niego jest uznanie położonych oraz wzrost prestiżu i szansa awansu, która się z tym wiąże. Aby ten bodziec działał należycie, przełożeni muszą być mądrzy, kompetentni i sprawiedliwi. Żadne najbardziej wyszukane wskaźniki takich przełożonych nie zastąpią.

Drugą „wiodącą” koncepcją była decentralizacja. Nie ulega wątpliwości, że centralizacja była kiedyś doprowadzona do absurdu. Nie ma więc wątpliwości, że trzeba było decentralizować. Kwestia tylko jak to robić. Sedno sprawy leży w tym, że zdecentralizowane decyzje nie mogą iść na przekór ogólnym zadaniom sformułowanym przez plan centralny. Przeprowadzając decentralizację, trzeba mieć tę zasadę w pamięci i stosownie do niej określać kompetencje jednostek różnych szczebli. Jest to zadanie wcale nie łatwe. Propozycje decentralizacyjne wysuwano często albo nie dbając o tę zasadę, albo nie umiając zapewnić jej realizacji. I to właśnie stało się przyczyną nierealności wielu z tych propozycji. Kiedy dochodziło do praktycznych decyzji, stawało się jasne, że tak pomyślana decentralizacja zagraża zasadom centralnego planowania gospodarką i wtedy, to, co właśnie przyznano jedną ręką na papierze, drugą ręką odbierano w praktyce. Było to może naturalne z punktu widzenia logiki tego ustroju, ale jednocześnie świadczyło, że reformy nie były należycie przemyślane. Dlatego też w praktyce decentralizacja zrobiła bardzo małe postępy, mimo, że ciągle głoszono jej potrzebę.

Opór biurokracji jest trzecim powodem bezskuteczności reform. Przede wszystkim chodzi o biurokrację partyjną, która w systemie panującym w Polsce, pobiera wszystkie najważniejsze decyzje, nie ponosząc za nie odpowiedzialności. Biurokracja ta składa się z ludzi nisko kwalifikowanych, którzy boją się wszelkich zmian, a przede wszystkim takich, które zmusiłyby ich do odejścia od rutyny i przystąpienia do samodzielnego myślenia. Każdą taką zmianę uważają za zamach na ich prawa i pozycję w kraju. Argumenty o tym, że zmiany te wyjdą na korzyść gospodarki narodowej i podniosą dobrobyt ludności, zupełnie do nich nie trafiają. W gruncie rzeczy boją się podniesienia dobrobytu ludności. Chodzi im bowiem o to, aby ludność, a przede wszystkim robotnicy byli potulni i posłuszni i w jak

największym stopniu od nich uzależnieni, a to się daje najłatwiej osiągnąć, gdy panuje bieda.

Tak więc każda reforma modelowa, jaka dotąd była przedsięwzięta w Polsce spotykała się z biernym oporem biurokracji. Opór ten był skuteczny. Chociaż od Października ciągle się mówi o reformach, a niektóre nawet formalnie wprowadza się w życie, faktem jest, że model gospodarki polskiej zmienił się w tym czasie bardzo mało. W pewnej mierze przypisać to należy słabości koncepcyjnej samych reform, ale w dużej mierze oporowi biurokracji. Bez przewyciężenia tego konserwatywnego elementu reforma modelu gospodarki polskiej jest niemożliwa.



Na zakończenie przypomnieć można najważniejsze twierdzenia i sformułować wnioski, wynikające z przedstawionego rozumowania.

Pierwszą przyczyną wad gospodarki polskiej jest odebranie zdrowemu rozsądkowi roli, którą powinien spełniać we wszystkich decyzjach gospodarczych. Drugą, narzucenie Polsce złego modelu gospodarczego i stworzenie warunków, w których jego prawdziwa krytyka i naprawa jest niemożliwa. Słabość koncepcyjna zamierzonych reform i uparty konserwatyzm biurokracji partyjnej dokonały reszty: gospodarka polska osiągnęła stan, w którym wszystkie usiłowania naprawy raz po raz kończą się na niczym.

I nie można na to znaleźć żadnej rady, dopóki w Polsce panować będzie narzucony jej ustrój zdegenerowanego pseudo-socjalizmu (sowietyzmu). Wszystkie bowiem niedostatki gospodarki polskiej mają źródło polityczne. To ucisk polityczny spowodował banicję zdrowego rozsądku. To ciasny dogmatyzm zdławił twórczą myśl ekonomiczną. To ciemniactwo kierownictwa politycznego nie pozwala na skuteczne reformy.

Naprawa gospodarki wymaga więc zmian politycznych. Droga do niej prowadzi przez przywrócenie demokracji i przystąpienie do budowy prawdziwego socjalizmu. Jestem pewien, że w głębi serca zdają sobie z tego sprawę wszyscy Polacy. Młodzi bojownicy odnowy dali nawet wyraz temu przekonaniu w pięknym i mądrym haśle: „Nie ma chleba bez wolności”.

Jan DREWNOWSKI

Nowoczesny kapitalizm a przyszła Polska

Uwagi wstępne

Do tematu mojego podchodzę z pewnym zażenowaniem. Tak jak olbrzymia większość ekonomistów zachodnich, nie wierzę w klasyczny, w „czyste” postaci, kapitalizm. Jako sceptyk i człowiek bezpartyjny, mam skłonność do nieakceptowania niczego w dobrej wierze¹.

Uznaję natomiast potrzebę pewnych preferencji w skali wartości. W skali tej kapitalizm klasyczny — kapitalizm, atakowany zwykle w Polsce, nie zajmuje wysokiej rangi. Kapitalizm ten bowiem, podobnie jak i system marksistowski, jest przeżytkiem, który nie wytrzymuje krytyki nowoczesnej nauki. Mimo to jest on bardziej od systemu marksistowskiego pragmatyczny i przez to bardziej podatny na procesy ewolucyjne. Genealogia kapitalizmu chroni obóz jego wyznawców przed walkami doktrynalnymi, charakteryzującymi dogmatyczny marksizm. Wielu ekonomistów utrzymuje wręcz, że kapitalizm klasyczny nigdy nie istniał w swojej idealnej formie — to jest takiej, w której państwo nie sprawuje w ogóle żadnej działalności gospodarczej. W każdym razie, od czasów merkantylizmu i kameralizmu Państwo zatrzymało w swojej gestii pewne funkcje kontrolne i czynności produkcyjne. Ponadto w dość poważnym zakresie zawarowało dla siebie inicjatywę gospodarczą. W odniesieniu do Stanów Zjednoczonych przyjmuje się przykładowo następujący punkt widzenia: „Może być prawdą, że kluczem do naszego rozwoju ekonomicznego jest dynamika sektora prywatnego, ale obraz rozwoju historycznego potwierdza w sposób niezbity fakt, że liczba organizacji federalnych i stanowych, nie obliczonych na zysk, jest znacznie większa niż dawniej. W konkluzji, teza o gruntownym przeobrażeniu gospodarki jest jak najbardziej uzasadniona²”.

Ocenia się, że co najmniej 1/4 amerykańskiego dochodu brutto i co najmniej 1/3 zatrudnienia pochodzi wprost lub pośrednio z tych dwóch wymienionych sektorów³.

1. Ponieważ osobiście nie akceptuję niczego w dobrej wierze zachowując pełną swobodę intelektualną, nie jestem zainteresowany w propagowaniu jakiegokolwiek ideologii. Postawa taka pozwala mi na poszanowanie przekonań innych ludzi pod warunkiem, że przekonania te są oparte na racjonalnym gruncie i świadczą o uczciwości ich zwolenników.

2. Eli Ginzberg, Dale Hiestand i Beatrice Reubens, *The Pluralistic Economy* (New York: McGraw-Hill, 1965), str. 13. Lista organizacji nie funkcjonujących dla zysku na str. 22.

3. Tamże, str. 193.

Dlatego też krytyka kapitalizmu klasycznego jest krytyką systemu w praktyce nieistniejącego. Być może, że odpowiada to potrzebom walki politycznej, nie rzuca to jednak światła na realnie istniejącą problematykę⁴.

Kapitalizm bowiem, korzystając ze swojej łątwości przekształcania się, przeszedł daleko idące przemiany i różni się zasadniczo od swego XIX-stowiecznego poprzednika. Znaczący kapitalizm amerykański, Adolph Berle, stwierdził już piętnaście lat temu, że kapitalizm nie jest już więcej stylem życia, ale metodą osiągnięcia ekonomicznych i socjalnych zamierzeń. Metoda ta przekształca się tak szybko, że kapitalizm dzisiejszy mało przypomina kapitalizm ubiegłego stulecia, nie mówiąc już o kapitalizmie sprzed półtora wieku⁵.

Komuniści może nie zdają sobie nawet sprawy z tego, że w kapitalizmie atakują już tylko podtrzymywany przez siebie mit minionej przeszłości, łudząc się, że krytyka ich wymierzona jest przeciwko aktualnie istniejącemu ustrojowi.

Zadaniem moim będzie wyjaśnienie istoty i zalet nowoczesnego kapitalizmu oraz rozważenie możliwości jego zastosowań w warunkach polskich. Ponadto zamierzeniem moim jest naszkicowanie ewentualnych czynników tego typu rozwiązań. Kapitalizm klasycznego zdecydowanie do przyjęcia bym nie zalecał. Natomiast w skali moich preferencji, które nie zajmują się badaniem teoretycznych ideałów w stylu utopijnego komunizmu, kapitalizm nowoczesny zajmuje poczesne miejsce. Nie uważam go za system idealny — po prostu dlatego, że taki system, w moim przekonaniu, w ogóle nie istnieje. Uważam go natomiast za system lepszy od wszelkich innych istniejących alternatyw.

Drugim zastrzeżeniem, którym wypada mi poprzedzić moje wywody, jest stwierdzenie, że kapitalizm (od tego miejsca nie będę używał przymiotnika „nowoczesny”) nie posiada jednolitej formy w przeciwieństwie do komunizmu, który w rozmaitych okresach przyjmuje każdorazowo tylko jedną prawniwną wersję rządów i broni tej wersji przeciwko titowcom, dubczekowcom, trockistom itd. Kapitalizm, w odróżnieniu od komunizmu, jest systemem bezdoktrynalnym i dzięki temu może się samodzielnie przystosowywać do zmieniających się warunków w czasie i przestrzeni. Z tego powodu, jak sądzę, będzie go można również przystosować do warunków po-komunistycznej Polski. Ponieważ w sytuacji tej nie obowiązywałyby żadne doktrynalne pryncypia, w Polsce pokomunistycznej będzie można zachować te wszystkie organizacje i instytucje, które okazały się społecznie użyteczne, które jednym słowem przetrwały próbę życia. Ten, pozwólmy go sobie nazwać, neo-kapitalizm polski nie będzie ogra-

4. Por. mój artykuł napisany wspólnie z Andrzejem Korbońskim pt. „Jeszcze o kapitalizmie amerykańskim”, *Kultura* (Paryż) 1961, nr. 4.

5. Adolph A. Berle, Jr.: *The 20th Century Capitalist Revolution* (New York: Harcourt, Bruce & Co., 1954), str. 181.

niczony żadnymi kryteriami ideologicznymi w tym sensie, w jakim „ideologia” rozumiana jest przez komunistów⁶.

Elementem kapitalizmu, który najbardziej zbliża go do ideologii, jest głębokie przeświadczenie o zasadniczej równości między ludźmi i wypływające stąd podstawowe oparcie systemu na instytucji politycznej demokracji. Z tego powodu nie będę zalecał Polakom przyjęcia kapitalizmu amerykańskiego, francuskiego lub włoskiego czy też japońskiego. Będę natomiast zalecał przyjęcie kapitalizmu polskiego i to niekoniecznie w formie naszkicowanej poniżej. I to jest jedyne kryterium, na którym należy się oprzeć w wyborze wielu już istniejących, lub możliwych, form kapitalizmu. Pragmatyczna funkcjonalność jest bowiem charakterystyczną i niezmiernie ważną cechą systemu kapitalistycznego.

Zastrzeżenie trzecie polega na tym, że będę się koncentrował tylko na pozytywnych cechach kapitalizmu i ze względu na brak miejsca nie będę polemizował z fachową (tzn. nie ideologiczną) krytyką tego systemu. Krytykę taką uważam skądinąd za pożyteczną, ponieważ przyczynia się ona do usuwania z kapitalizmu jego usterek, niemniej uważam że ciężar gatunkowy tej krytyki jest znacznie mniejszy od sumy jego cech pozytywnych.

Z kolei pewne uwagi natury terminologicznej. Gospodarkę polską nazywać będę skrótowo komunistyczną mimo, że ogólnie uważa się ją za socjalistyczną na drodze do komunizmu. Nazwę „socjalizm” bez przymiotnika rezerwuję dla demokratycznego socjalizmu typu zachodniego. Terminy „socjalizm totalitarny”, „komunizm sowiecki”, „system typu sowieckiego” uważam za synonimy używanego przeze mnie terminu „komunizm”. Sądzę poza tym, że cokolwiek piszę na temat Polski, odnosi się to w równym stopniu do innych krajów komunistycznych Europy Wschodniej. Tak więc tematyka obecnej pracy jest w istocie geograficznie szersza niż wskazuje na to tytuł ograniczający ją do Polski.

Definicja nowoczesnego kapitalizmu⁷

Kapitalizm jest systemem ekonomicznym, w którym zasadniczą rolę gospodarczą odgrywa prywatna własność środków produkcji. Jak stwierdza Loucks, istotą własności prywatnej nie jest samo posiadanie, ale raczej jej instytucjonalność czyli sytuacja, w której prawo własności chronione jest przez Państwo⁸.

Oczywiście należy tu przypomnieć skądinąd znany fakt, że własność prywatna nie jest wyłączna, tzn. że kapitalizm nie wy-

6. R. J. Mosen: *Modern American Capitalism: Ideologies and Issues* (Boston: Houghton Mifflin, 1963), mówi wprawdzie o „ideologiach kapitalizmu”, ale ja nie należę do tych nielicznych ekonomistów, którzy dzielą jego żarliwy prozelityzm.

7. W części tej opieram się głównie na książkę Williama N. Loucks, *Comparative Economic Systems* (New York: Harper and Row, wyd. 7, 1965, rozdział 3).

8. Tamże, str. 26.

klucza istnienia własności grupowej, jaka istnieje w korporacjach oraz własności zrzeszonej typu spółdzielczego (organizacji tych nie należy utożsamiać z organizacją spółdzielni w państwach komunistycznych). Kapitalizm nie wyklucza też istnienia własności państwowej. Własność prywatna w kapitalizmie nie jest absolutna, jest ona podporządkowana interesom społecznym poprzez kontrolę państwową, ingerencję sądową, a czasem wprost przez przepisy, zabraniające pewnych praktyk.

Jeden z autorów zajmujących się tematyką nowoczesnego kapitalizmu amerykańskiego, stwierdził, że prawo własności prywatnej uległo w toku rozwoju historycznego daleko idącym zmianom. Między innymi, zmodyfikowane zostało ono przez fakt, że zatrudnieni, konsumenci i inwestorzy posiadają obecnie rozległe przywileje. Przy tym wszystkim ograniczenia uprawnień posiadanych przez ludzi, którzy podejmują decyzje gospodarcze nie ukazują w sposób wyraźny faktycznego zwiększenia „socjalizacji” podstawowych gałęzi przemysłu amerykańskiego. Dzisiaj jest możliwe, że przedsiębiorstwa, które formalnie biorąc, pozostają prywatne, w istocie są bądź pod taką kontrolą publiczną jak gdyby były uspołecznione, bądź też przynajmniej stopień i zakres kontroli publicznej jest taki, że odpowiada on interesom ludności w demokratycznym społeczeństwie⁹.

Tak więc prawo własności środków produkcji nie istnieje już w kapitalizmie w sensie absolutnym. Jest ono obecnie ograniczone kontrolą instytucji publicznych, stanowiących część aparatu państwowego.

Własność prywatna jest zezwolona raczej niż wymagana. Wobec braku chętnych na prowadzenie określonej działalności gospodarczej, pozostają dwie zasadnicze możliwości: a) działalność taka nie będzie wykonywana wcale; b) działalność taką prowadzi będzie państwo. Pierwsza ewentualność zakłada, że popyt na produkt lub usługi związane z działalnością pierwszego typu jest niedostatecznie duży, aby jako czynnik ekonomiczny pełnić funkcję bodźca materialnego. Druga możliwość prowadzi do ewentualnego zwiększenia sfery bezpośrednioj działalności gospodarczej państwa. Żadne natomiast z tych rozwiązań nie prowadzi do podważenia kapitalizmu.

Funkcjonalna definicja kapitalizmu stwierdza, że w systemie tym istnieje prawo prywatnej własności dóbr produkcyjnych i prawo dysponowania nimi (łącznie z prawem przekazywania własności następnym pokoleniom); dalej, że opiera się on na racjonalnym dążeniu jednostek do osiągnięcia maksymalnych korzyści w drodze rozwijania rozsądnej inicjatywy produkcyjnej, uzasadnionej potrzebami rynku¹⁰.

9. Michel D. Reagan, *The Managed Economy* (New York: Oxford University Press, 1963), str. 14.

10. Założenie to oznacza tendencje kapitalizmu do popierania racjonalizmu i nauki. Por. David McCord Wright, *Capitalism* (New York: McGraw Hill, 1951), str. 61. W systemach komunistycznych, mimo pozornej naukowości, występuje wyraźny prymat ideologii.

W konsekwencji, definicja ta implikuje zasadniczą wolność inicjatywy prywatnej oraz istnienie swobodnej konkurencji, która doprowadza do eliminacji takiej produkcji, której koszty są zbyt wysokie w proporcji do wartości wytwarzanych dóbr. W efekcie doprowadza to do koncentracji elementów produkcyjnych w tych działach gospodarki, które społecznie są najbardziej użyteczne. Ważną cechą kapitalizmu jest decydująca rola konsumenta, która stwarza to, że w większości wypadków (pomijając ingerencję gospodarczą państwa) decyduje on o tym, co należy produkować. Artykuły, których konsument nie potrzebuje, nie będą produkowane, ponieważ nie przyniosą zysku. Elastyczne ceny na zdecentralizowanym wolnym rynku pełnią rolę wskaźników, kierujących wytwórczością i wpływających na decyzję nabywców. Niektóre ceny mogą jednak być utrzymywane subsydiaми na poziomie niższym aniżeli wynosi koszt ich produkcji, inne natomiast można sztucznie podnosić, nakładając specjalne podatki¹¹.

Wypadki te traktować jednak należy jako wyjątki od ogólnej zasady wolności cen.

Definicja kapitalizmu powinna objąć także działalność ekonomiczną państwa, która wykazuje tendencje wzrastające głównie poprzez: a) regulowanie stosunków gospodarczych metodami polityki fiskalnej i bankowej, b) stwarzanie ogólnych ram administracyjnych, c) regulowanie bezpośrednio w drodze udzielania licencji, stosowania kontroli itd., d) bezpośrednio działalność produkcyjną.

Państwo wyzyskuje swój wpływ w celu podniesienia ogólnej sprawności gospodarczej systemu, zwiększenia jego sprawiedliwości społecznej oraz lepszego zabezpieczenia jednostek. Ingerencja państwa czyni system kapitalistyczny mniej bezdusznym i surowym niż wyobrażali go sobie ekonomiści klasycy, a czyni go bardziej „humanistycznym”. Kapitalizm jest, ogólnie biorąc, systemem konstruktywnym, otwierającym szerokie horyzonty i możliwości inicjatywie ludzkiej, w najszerszym znaczeniu tego słowa.

Podstawy wyższości systemu kapitalistycznego

Z głównych rysów systemu kapitalistycznego, które powodują, że jest on, w moim mniemaniu najlepszą z istniejących alternatyw, wymienić chciałbym następujące jego właściwości:

1. Kapitalizm nie jest ani ideologią, ani doktryną, noszącą pieczęć nieomylności. Nie ma w nim świętych, męczenników i proroków. Nie stworzył starych lub nowych testamentów, ani chroniących jego prawowierność ewangelicznych praw. Stanowi system pragmatyczny, łatwo ulegający przekształceniom. Nie stanie się więc nigdy łożem madejowym, na którym kłaść się będzie

11. Patrz Richard Musgrave: *The Theory of Public Finance* (New York: McGraw-Hill, 1959) rozdział 1 oraz John Due, *Government Finance* (Homewood, Ill.: Irwin, wyd. 3) rozdział 18.

biednego pacjenta, natomiast będzie zawsze systemem dostosowanym do wymogów ludzkich. Zaleta ta jest chyba oczywista¹².

2. Ekologicznie biorąc, kapitalizm istnieje tylko na jednym podłożu politycznym — demokracji. Nie ludowej, kierowanej lub ograniczonej, a pełnej demokracji z bezwzględnym poszanowaniem każdego obywatela. Kapitalizm bowiem opiera się w produkcji na zatrudnianiu ludzi przystosowanych do określonych czynności, przy czym ich przekonania polityczne lub inne kryteria, jako całkowicie niefunkcjonalne, nie odgrywają w nim żadnej roli. Podobna sytuacja obowiązuje w sferze konsumpcji. Ktokolwiek oferuje pieniądze w zamian za towary, dostaje to czego żąda. Jeśli nie ma pieniędzy w danym momencie, to, wobec tego że może będzie je miał w przyszłości, należy go kultywować jako potencjalnego klienta. System totalitarny — czerwony, brunatny czy czarny — opiera się na pogwałceniu jednostki i na braku poszanowania dla niej i choćby dlatego stanowi antytezę kapitalizmu. Nie twierdzę, że kto chce demokracji, musi chcieć kapitalizmu, ale twierdzę, że kto chce kapitalizmu, musi mieć zapewnioną demokrację. Egalitaryzm kapitalistyczny nie postuluje oczywiście równości ekonomicznej, ponieważ równość ta nie istniała w praktyce w żadnym społeczeństwie, natomiast istnienie swoje opiera na poszanowaniu uprawnień jednostki.

Egalitaryzm istnieje zawsze jako tendencja w każdej społeczności. Wiara w siłę egalitaryzmu może być czasem, w moim pojęciu, przesadzona gdy np. konserwatywny ekonomista z tzw. „szkoły chicagowskiej”, Milton Friedman, głosi, iż kapitalizm może samodzielnie przezwyciężyć uprzedzenia rasowe, ponieważ uprzedzenia te powodują utratę potencjalnego zysku¹³.

W moim przekonaniu, jeśli nawet element zysku potraktuje się jako czynnik eliminujący uprzedzenia rasowe, to o ile ma on działać szybko i skutecznie, winien być wzmocniony pozytywną ingerencją państwa. Uważam bowiem, że te czy inne aspiracje społeczeństwa są często zbyt ważne i naglące, aby pozostawiać je do wypełnienia stosunkowo powolnie działającym samoregulującym procesom socjalnym. Cytowany pogląd Friedmana ilustruje więc potrzebę wzajemnego współdziałania między prywatnym kapitalizmem a państwem.

Demokratyczny fundament kapitalizmu stwarza również pole do stosowania szerokiej krytyki politycznej, ekonomicznej i socjalnej, która przyczynia się do ulepszenia samego systemu. Podkreśla się tu zwłaszcza wartość krytyki społecznej, która ma szczególnie walor w zakresie podniesienia dobrobytu jednostki i sprawiedliwości społecznej¹⁴.

12. Patrz Loucks, *op. cit.*, rozdział 3.

13. Milton Friedman, *Capitalism and Freedom* (Chicago: University of Chicago Press, 1962) rozdział 7.

14. Por. McCord Wright, *op. cit.*, str. 40-41. Rządy dyktatorskie różnią się od kapitalizmu podobnie jak komunizm, ponieważ ograniczają one prawo własności, a w szczególności swobodę dysponowania własnością, wolność inicjatywy oraz, w pewnych dziedzinach, wolną konkurencję.

3. Kapitalizm jest w głównych swych zarysach systemem ekonomicznie oszczędnym, zapewniającym pełną wydajność, dzięki czemu społeczeństwo może liczyć na maksymalizację tego typu produkcji, która rzeczywiście podnosi dobrobyt, a więc na unikaniu produkcji kiepskich towarów, tworzenia nadmiernych zapasów. Ponadto eliminuje skutecznie możliwość zatrudniania cieszących się zaufaniem głupców na pozycjach dyrektorów czy na innych odpowiedzialnych stanowiskach. Wydajność kapitalizmu kontrastuje z wydajnością systemu komunistycznego. Stanisław Wellisz potwierdził pogląd większości ekonomistów, gdy zauważył że „systemy gospodarcze typu sowieckiego... nie zawierają w sobie mechanizmu do racjonalnego decydowania o użyciu środków ekonomicznych i nie mają wewnętrznych regulatorów do wykrywania i naprawiania błędów”¹⁵.

Jak podkreślił mgr B. Stypiński w swoich uwagach nad moim artykułem, gospodarka komunistyczna nie zdaje historycznego egzaminu w warunkach współczesnego tempa postępu nauki i technologii zarówno w nowoczesnym przemyśle jak i w nowoczesnej organizacji usług. W rozeznaniu tego faktu leżało źródło czeskiego gospodarczego i politycznego reformizmu czyli tzw. „humanizacji ustroju”, dążącego do stworzenia bodźców produkcyjnych i podniesienia tempa rozwoju gospodarczego. Porzucając sowieckie wzory, Czesi starali się przeszczepić z ustroju kapitalistycznego elementy, których sprawność kontrastuje jaskrawo z warunkami gospodarczymi ustroju komunistycznego.

W systemie kapitalistycznym zbędna produkcja, niewydajne przedsiębiorstwa, itd. same się likwidują. System pieniężnych kar i nagród, który istnieje w kapitalizmie, wyzwala pełną energię kierownictwa przemysłowego. Energia ta nie musi być marnowana na biurokratyczne dziwolągi, będące w wielu wypadkach wraz z panicką obawą przed odpowiedzialnością.

4. Kapitalizm stwarza atmosferę sprzyjającą postępowi technologicznemu poprzez premie za redukcje kosztów z racji stosowania nowych procesów wytwórczych. Drugim czynnikiem sprzyjającym postępowi technicznemu jest podbijanie rynku nowymi produktami. Jeżeli jeden fabrykant nie wprowadził nowej technologii produkcyjnej, to wprowadzi ją inny w nadziei uzyskania większych dochodów. Nie ma tu zbędnej biurokracji, nie kończących się rządowych konferencji na najwyższych szczeblach dotyczących mało ważnych drobiazgów. Jeżeli nowy proces czy towar „chwyci”, stosują go inni producenci¹⁶.

5. Kapitalizm opiera się na jednostkach i ich zgrupowaniach i dzięki temu sprzyja rozwojowi inicjatywy indywidualnej. Jednostki mają pełną szansę polepszenia swoich warunków życia.

15. Stanisław Wellisz, *The Economic of the Soviet Bloc* (New York, McGraw-Hill, 1964), str. 235.

16. Loucks, *op. cit.*, str. 48-49, i Lee A. Dubridge, „Technological change and capitalism” w National Industrial Conference Board, *The Future of Capitalism* (New York, Macmillan, 1967).

wych poprzez rozwijanie własnych zdolności, dzięki czemu znajdują pobudki do racjonalnej i aktywnej działalności. Ciekawa jest w związku z tym obserwacja ludzi żyjących w Polsce, którzy nie liczą się z pieniędzmi, a potem narzekają, że mają ich za mało. Ci sami ludzie często żałują wydatków na wykształcenie fachowe, inni zaś nie dbają zupełnie o jakość swojej pracy. Podejście do spraw materialnych w Polsce różni się niezmiernie od postawy ludności na Zachodzie i zmienia się ono u tych samych ludzi wraz z ich wyjazdem zarobkowym na Zachód¹⁷.

Tak więc w przyszłości władze, które zapewnią w Polsce wynagrodzenie za wysiłek produkcyjny, usuną fatalistyczne nastawienie ludzi pracy, wyrażające się w popularnym powiedzeniu: „Czy się stoi czy się leży, dwa patyki się należy”. Gdy każdy robotnik wytworzy więcej, więcej pozostanie do podziału między pracowników, podnosząc tym samym ich dobrobyt osobisty. W tych warunkach można oczekiwać, że kapitalistyczne przywrócenie roli jednostki przyczyni się do podniesienia dobrobytu całego społeczeństwa.

6. Kapitalizm doprowadził do międzynarodowej symbiozy gospodarczej, która jest o wiele bardziej racjonalna od stosunków stworzonych przez państwa komunistyczne i która jaskrawo z nią kontrastuje. Symbioza ta prowadzi nie tylko do wymiany towarów, opartej na rzeczywistym stosunku kosztów produkcji, ale także opiera się na przepływie kapitału z krajów, które mają go stosunkowo dużo, do krajów cierpiących na jego niedostatek. Współpraca gospodarcza jest w stosunkach kapitalistycznych racjonalna i prowadzona zasadniczo w sposób zdecentralizowany. Poza tym mechanizm jej gwarantuje obniżkę kosztów metodą bardziej elastyczną od systemu centralistycznego. Współpraca jest prowadzona gładko i sprężysto, bez żadnej propagandy, posługując się realistyczną taryfą cen, która sygnalizuje zyskowność transakcji — zarówno dla przedsiębiorstwa jak i dla społeczeństwa. Przeciwnie niż „w uprzemysłowionych krajach Europy Wschodniej (z Polską włącznie), w stosunku do których istnieje podejrzenie, że ich handel zagraniczny nakłada obecnie na ekonomię niewspółmiernie duży ciężar¹⁸”.

7. W końcu, kapitalizm daje pełną możliwość ingerencji państwa, stosowanej raczej selektywnie niż jako norma. Gwarantuje to ekonomizację kontroli i inicjatywy państwowej, skupiając ją na odcinkach najbardziej potrzebnych. Ogólnie biorąc, państwo czuwa nad zapewnieniem maksymalizacji wzrostu gospodarczego, nad usunięciem bezrobocia i wahań cyklicznych oraz nad zapewnieniem sprawiedliwości społecznej. Państwo w systemie kapita-

17. Ciekawy obraz zmiany ustosunkowania się Polaków do pracy po ich wyjeździe do Francji daje J. B. de Weydenthal, „Paris: the habitual emigrés”, *East Europe*, 1967, nr 7, i por. również „Emigracja z przyzwyczajenia?” *Kultura*, 1966, nr 9.

18. Andrew Shonfield, „Changing Commercial Policies in the Soviet Bloc”. *International Affairs*, 1968, nr 1, str. 7.

listycznym pełni funkcje ostatecznego arbitra, którego zadaniem jest spotęgowanie wyników w rozpatrywanej przez nas dziedzinie, a mianowicie podniesienie dobrobytu i sprawiedliwości społecznej.

W systemie kapitalistycznym nie ma takiej instytucji (jak państwo w ustroju komunistycznym), która jest jednocześnie prawodawcą, wykonawcą i ostatecznym arbitrem. Wykonawcą jest w dużej mierze prywatny kapitał, pracodawcą jest suwerenny parlament, nadrzędcą — aparat administracyjny, a ostatecznym arbitrem jest sądownictwo. Dzięki temu rozczłonkowaniu funkcji, sprawiedliwość społeczna może być osiągnięta w dużo wyższym stopniu aniżeli w systemie totalitarnym, gdzie państwo jest wszystkim, i skupia w swoich rękach wszelkie czynności.

Lista powyższa jest ogólnikowa i nie wyczerpuje wielkich pozytywnych walorów kapitalizmu. Nie taję oczywiście, że można także wysunąć ważne argumenty krytyczne przeciwko kapitalizmowi. Uważam jednak, że wypadkowa wszystkich argumentów *pro* i *contra* wypada z korzyścią dla omawianego systemu. Nie waham się przeto zalecać go Polsce w formie dostosowanej do specyficznych warunków kraju.

Sądzę ponadto, że w okresie 1945-1968 Polska rozwijałaby się szybciej z zapewnieniem wyższego standardu życiowego ludności, gdyby czyniła to na gruncie systemu kapitalistycznego. Nowoczesna kwantytatywna szkoła amerykańskich ekonometrycznych historyków, tzw. kliometrów, doprowadziła do kilku niezwykle ciekawych wniosków, opartych na założeniach zwanych „*counterfactual*”. Jest to szkoła, która w formie bardzo ścisłej stara się retrospektywnie zbadać przeszłość i wytworzyć sobie jej wizję w oparciu o fakty, które nie miały miejsca. W lapidarnym skrócie można przedstawić jej cele w formie: „Co by było, gdyby...¹⁹”.

Z tego powodu wysoce pożyteczną byłaby praca badająca prawdopodobny rozwój gospodarki polskiej, przy założeniu że Jałty i wynikającej z niej hegemonii sowieckiej nad Polską nigdy nie było. Wydaje mi się, że wynik takiej pracy wypadłby na niekorzyść komunizmu²⁰.

Czy system kapitalistyczny może się w Polsce przyjąć?

Jak wynika z powyższego, w moim mniemaniu Polska przeżyłaby w przyszłości okres szybszego rozwoju ekonomicznego w ramach systemu kapitalistycznego aniżeli w ramach innego ustro-

19. Patrz np. A. Gerschenkron, „The Discipline and I”, *Journal of Economic History*, grudzień 1967 oraz prace Douglass North, Albert Fishlow, Robert Fogel i in.

20. Dla porównania powojennego wzrostu gospodarki Polski z krajami Europy Zachodniej por. Maurice Ernst, „Postwar Economic Growth in Eastern Europe”, Joint Economic Committee, *New Directions in the Soviet Economy, Part IV, The World Outside* (Washington: US Government Printing Office, 1966).

ju, a Polacy podnieśliby znacznie swój standart życiowy. Może się jednak nasunąć wątpliwość czy po okresie jednego pokolenia, wdrożonego w system komunistyczny, kapitalizm znajdzie w Polsce podatny grunt do rozwinięcia swoich walorów. Jestem przekonany, że wątpliwości te nie mają podstaw. Kapitalizm może być i co więcej — powinien być wprowadzany stopniowo, a przede wszystkim w dziedzinie drobnej i średniej produkcji. Przecież nawet w obecnym systemie, mimo olbrzymich trudności, prywatna inicjatywa rozwija się w Polsce w formie rzemiosła, usług, wykonywanych często poza godzinami obowiązującej pracy oraz od niedawna w formie systemu koncesji, polegających na wynajmowaniu od państwa zakładów usługowych jak np. restauracji, stacji benzynowych lub sklepów²¹.

Tak więc kapitalistycznej inicjatywy i przedsiębiorczości bez wątpienia wśród ludności nie zbraknie.

Druga wątpliwość może powstać na gruncie pytania czy fundusze i zasoby okażą się wystarczające na wprowadzenie w Polsce systemu kapitalistycznego. Oczywiście odpowiedź jest negatywna, jeżeli ktoś byłby na tyle naiwny, ażeby oczekiwać reaktywowania całkowitego kapitalizmu w krótkim czasie. Sądzę, że nikt o tym nie marzy, a prawdopodobnie mało ludzi chciałoby nawet widzieć w Polsce wszystkie dobra i środki produkcyjne w prywatnych rękach, na co zresztą nie ma miejsca i w rozwiniętych krajach kapitalistycznych. Jeżeli kapitalizm wprowadzi się organicznie bez przymusu czy gwałtownych kampanii w stylu komunistycznym, to stworzy się szanse jednoczesnego użytkowania istniejących zakładów, bądź też na założenie nowych, konkurencyjnych przedsiębiorstw. Instytucja spółek akcyjnych dałaby również możliwość łączenia drobnych zasobów kapitałowych w większe pule, a przychylna polityka finansowa państwa stworzyłaby szanse łatwego re-inwestowania zysków w przedsiębiorstwa, przyczyniając się w ten sposób do szybkiego wzrostu sektora prywatnego.

Sprawiedliwość społeczna wymaga także udzielenia pewnej ograniczonej restytucji dawnym i żyjącym właścicielom za ich dobra przejęte przez państwo bez odszkodowania w okresie od 1944 roku. Osobiście nie zalecałbym pełnej restytucji, a w wypadkach spadkobierców zalecałbym jedynie drobne odszkodowania, np. w wysokości 10 % wartości przejętej przez państwo.

Zalążek sektora kapitalistycznego istnieje już w Polsce w postaci:

1. prywatnych sklepów, warsztatów rzemieślniczych, gospodarstw chłopskich, oficjalnych i nieoficjalnych przedsiębiorstwach usługowych oraz przemysłu prywatnego²²;

21. Michał Gamarnikow, „The New Role of Private Enterprise”, *East Europa*, 1967, nr 8 i „Another Step Toward Private Enterprise, tamże, 1968, nr 1. Por. też wzrost produkcji w ZSSR po wprowadzeniu NEP w latach 20-tych.

22. *Rocznik Statystyczny 1967* podaje, że w roku 1966 przemysł prywatny liczył przeszło 7 tysięcy zakładów i zatrudniał prawie 23 tysiące pracow-

2. wielu spółdzielni, które w istocie są obecnie formą legalizacji inicjatywy prywatnej;

3. istniejących prywatnych koncesji przedsiębiorstw państwowych, których prowadzenie nie tylko wyrabia znajomość zarządzania przedsiębiorstwem, ale także umożliwia zaoszczędzenie drobnego kapitału;

4. zasobów gotówkowych w rękach ludności, które to zasoby są w niektórych wypadkach pokaźne;

5. potencjalnych ograniczonych restytucji z tytułu majątków prywatnych, poprzednio przejętych przez państwo bez odszkodowania;

6. oczekiwanych silnie działających bodźców do oszczędzania w systemie kapitalistycznym;

7. przypuszczalnych inwestycji zagranicznych w Polsce.

W oparciu o te istniejące już elementy, przy zastosowaniu wzmoczonej akumulacji, można liczyć na szybki wzrost sektora kapitalistycznego.

Trzecia obawa, która może się wyłonić — to niebezpieczeństwo infiltracji gospodarki polskiej przez kapitał zagraniczny. Aby zapobiec tej groźbie, można przy pomocy odpowiednich aktów prawnych ograniczyć zagraniczne inwestycje w Polsce: 1) do nowych inwestycji bezpośrednich, tzn. do inwestycji w nowych obiektach realnych w odróżnieniu od inwestycji w akcjach; 2) do ograniczenia udziału tych inwestycji w zależności od przemysłów np. do 49 % w nowych kopalniach, do 70 % w przedsiębiorstwach przemysłu chemicznego itd.; 3) do udzielania firmom polskim praw eksploatacji patentów oraz do pomocy technicznej na warunkach określonego udziału w zyskach lub pewnych zryczałtowanych opłatach np. w przemyśle elektronicznym. Dzięki temu rodzaju powiązaniom Polska będzie mogła korzystać z najnowocześniejszej technologii światowej, z pomocy kapitału zagranicznego, bez jednoczesnego zagrożenia, że gospodarka narodowa przejdzie w obce ręce. Przykładem mogłaby tu służyć polityka Japonii.

Czwarta obawa dotyczy możliwości przetrwania starych nawyków w aparacie państwowym, dążącym do przywrócenia lub utrzymania hegemonii urzędników nad produkcją. Tego rodzaju tendencji przeciwstawić można dwa czynniki: 1) zniesienie cenzury, zapewnienie wolnej informacji, prawo zrzeszania grup, reprezentujących określone, choć całkowicie niezbieżne, interesy, wreszcie przywrócenie rzeczywistej kontroli parlamentarnej, sądowej i administracyjnej w rozpatrywaniu zażaleń ze strony ludności; 2) wprowadzenie sektora kapitalistycznego pod względem prawnym w formie najzupełniej niedwuznacznej, bez żadnego

ników (str. 194), prywatne rzemiosło liczyło 102 tysiące zakładów i zatrudniało 190 tysięcy pracowników (str. 195), sieć prywatnego handlu detalicznego liczyła przeszko 15 tysięcy punktów sprzedaży (str. 342), prywatnych zakładów gastronomicznych było 919 (str. 340), a gospodarstwa indywidualne produkowały 87,7 % całej produkcji rolnej (str. 224).

okresu przejściowego. Tak jak Oskar Lange stwierdził, że przejście od kapitalizmu do socjalizmu powinno być dokonane w sposób jednoczesny, ogólny i natychmiastowy, podobnie i odwrotna zmiana może być wprowadzona w ten sam sposób²³.

Jeżeli stwierdzi się jasno, że firmy prywatne pozostają poza zakresem władzy urzędników i jeżeli piecza nad nimi będzie nie dwuznacznie określona i limitowana kontrolą podatków, warunków pracy, higieny itd., to nie może być żadnego niebezpieczeństwa restytucji wpływów biurokracji w prywatnym sektorze Państwa. Gdyby natomiast niebezpieczeństwo takie się zrodziło, jawne protesty w drodze normalnej procedury demokratycznej doprowadziłyby do interwencji sejmowej, sądowej lub władzy wykonawczej.

Piąta obawa może wynikać z tego, że przedsiębiorstwa prywatne działając będą w kierunku maksymalizacji własnych zysków ze szkodą dla społeczeństwa. Argument ten słyszy się ciągle ze strony komunistycznego aparatu propagandy. Osobiście nie wierzę w wątpliwą tezę klasyków, że cokolwiek jest korzystne dla jednostki, pociąga za sobą automatyczną korzyść dla społeczeństwa. Jestem natomiast przekonany, że ingerencja państwa, regulującego prywatną działalność, będzie dostateczną rękojmią, gwarantującą że działalność prywatna nie zajmie miejsca ze szkodą dla całego społeczeństwa. Trzeba jasno określić na co państwo reprezentujące interesy społeczeństwa nie będzie zezwalało, a wówczas sytuacja stanie się z góry wiadoma osobom zainteresowanym, które będą w stanie odpowiednio modyfikować swą działalność.

Szоста wątpliwość może przemawiać za tezą komunistów, że spontaniczna działalność gospodarki kapitalistycznej doprowadzi do bezrobocia. Z argumentem tym rozprawiłem się częściowo poprzednio²⁴.

Wykazałem, że w Polsce komunistycznej bezrobocie panuje w formie zaostrzonej, choć mało widocznej. Z drugiej strony, można jeszcze raz przypomnieć, że państwa zachodnioeuropejskie

23. Patrz Rush V. Greenslade, „The Soviet Economic System in Transition”, *New Directions in the Soviet Economy, Part I, Economic Policy*, op. cit., str. 17.

24. B. Mieczkowski, „More Workers than Jobs?”, *East Europe*, 1967, nr 3. W związku z obecnym punktem i z 3-ma następnymi chciałbym podkreślić słabość wysuwanego przez komunistów argumentu, że Polska lat trzydziestych dowiodła nieporadności kapitalizmu. Równie dobrze można by twierdzić, że utopijne eksperymenty Roberta Owena w pierwszej połowie XIX wieku dowiodły, że komunizm nie może się utrzymać. Trzeba jasno zdać sobie sprawę, że kapitalizm lat siedemdziesiątych to nie to samo co kapitalizm lat trzydziestych; że w międzyczasie wytworzył w sobie doskonały aparat analityczny i sprawne narzędzia polityki gospodarczej. Ze rozwinął w sobie głębokie „sumienie społeczne” i że stał się bardziej egalitarny. Niestety, nawet niektórzy ekonomiści zachodni bezkrytycznie powtarzają te porównania, które, według mnie, pozbawione są wszelkiego znaczenia i które uważam za z gruntu i fałszywe i podyktowane względami propagandowymi. (Patrz S. Wellisz, op. cit., str. 220).

cierpią na brak siły roboczej. Tyle, jeśli chodzi o praktykę. Na płaszczyźnie teoretycznej można udowodnić, że nowoczesne państwo kapitalistyczne posiada bogaty arsenał polityki monetarnej i fiskalnej jak również rozporządza skutecznym instrumentem ingerencji administracyjnej, dostatecznym, aby przeciwdziałać bezrobociu.

Siódmą wątpliwość może nastęrczyć mit komunistyczny, dotyczący wahań cyklicznych, które rzekomo istnieją tylko w systemach kapitalistycznych. I w tym wypadku wykazałem, że systemy komunistyczne cechują wahania gwałtowniejsze od wahań występujących w ekonomii kapitalistycznej²⁵.

Nie można twierdzić, że w systemach kapitalistycznych wahań gospodarczych nie ma, natomiast warto zauważyć że polegające na tym zło jest mniejsze aniżeli w ustrojach komunistycznych. A więc według modnej obecnie w ekonomii teorii „Drugiej z rzędu najlepszej alternatywy” (*Theory of the Second Best*), kapitalizm jest przynajmniej pod tym względem lepszy od komunizmu.

Osma obawa rodzi się na gruncie wątpliwości czy system kapitalistyczny może zagwarantować szybszą dynamikę rozwoju ekonomicznego niż system komunistyczny. Pouczająca jest pod tym względem konkluzja M. Ernst'a, który stwierdza, że podczas gdy w okresie powojennym wzrost produkcji w Europie Wschodniej był dość szybki, to nie był on na tyle szybki, aby wskaźniki wzrostu były wyższe niż w Europie Zachodniej, zaś w ostatnich latach były one zdecydowanie niższe²⁶.

Jednocześnie trzeba stwierdzić, że podniesienie poziomu konsumpcji w przeliczeniu na głowę ludności było niższe w okresie powojennym w Europie Wschodniej niż w Europie Zachodniej. Ernst stwierdził ponadto, iż rozwój gospodarczy w Europie Wschodniej osiągnięty został przy niewspółmiernie wysokich wyśilkach i kosztach²⁷.

Lepsze rezultaty, które osiągnął Zachód, były wynikiem tego, że wysiłek gospodarczy oparty był na bodźcach materialnych i otwierał pole inicjatywie osobistej. Komunizm nie umie wykorzystać w pełni żadnego z tych czynników. Trzeba również dodać, że system kapitalistyczny umożliwia wysokie nakłady inwestycyjne bez obniżania stopy życiowej ludności, zaś możliwość prywatnych inwestycji stanowi sama przez się bodziec do oszczędzania. Inaczej w systemie komunistycznym — w którym oszczędności prywatne nie mogą być zużytkowane na inwestycje i gdzie często pochłania je niezbyt rozsądnie planowane zaopatrzenie rynku, nie przyczyniające się do podniesienia dobrobytu. Kapitalizm mobilizuje zasoby na nakłady inwestycyjne efektywniej i czyni to w oparciu o swobodne powzięte decyzje, przez co środki te są

25. B. Mieczkowski, „The Unstable Soviet-Bloc Economies”, *East Europe*, 1967, nr 10, i „Cykliczne wahania w ustroju komunistycznym”, *Kultura*, Paryż, 1967, nr 12.

26. Ernst, op. cit., str. 875-6.

27. Tamże, str. 876.

użyte skuteczniej dla podniesienia wytwórczości artykułów powszechnego spożycia.

Z kolei wypada nam się zastanowić nad problemem zapewnienia w ustroju kapitalistycznym sprawiedliwości społecznej, bez której nie byłby on w Polsce do przyjęcia. I tu ponownie trzeba zdać sobie sprawę z tego, że kapitalizm od lat trzydziestych wprowadził pod egidą państwa daleko idące reformy systemu społecznego. Stworzono ubezpieczenie pracy robotników, zastosowano dolne granice obowiązujących płac, uregulowano ilość godzin i warunki pracy, wprowadzono różnorakie formy opieki społecznej dla ludzi starszych w postaci emerytur, zwolnień podatkowych, bezpłatnej opieki lekarskiej, obniżek biletów komunikacji miejskiej, zapomóg itd. Poza ubezpieczeniem od bezrobocia zwiększono liczbę agencji opieki socjalnej, rozbudowano sieć szkolenia zawodowego itd. System ten różni się wybitnie na korzyść od praktyki społecznej stosowanej w krajach komunistycznych, w których zapomogi dla rozmaitych kategorii ludzi, którzy znaleźli się poza aktywną pracą zawodową, są albo bardzo niskie albo w ogóle nie istnieją. Tak np. oprócz ostatnio wprowadzonych zasiłków dla bezrobotnych w Czechosłowacji, w KDL-ach i ZSSR tego typu pomoc jest w ogóle niepraktykowana.

„Sprawiedliwość społeczna” jest pojęciem względnym, posiadającym odmienne odcienia znaczeniowe dla rozmaitych ludzi. Mimo to można zgodzić się na jedno: dystans, dzielący ludzkość od ideału sprawiedliwości społecznej został o wiele bardziej zredukowany w krajach kapitalistycznych niż w państwach komunizmu.

Większy stopień sprawiedliwości społecznej osiąga się w kapitalizmie również dzięki stosowaniu daleko idącej progresji podatkowej, co zmniejsza rozpiętość w dochodach poszczególnych grup społecznych. Przeciwnie niż w krajach komunistycznych, w których organa finansowe stosują często podatek obrotowy wobec względnie nisko uposażonych warstw ludności. Do tego dochodzi system przywilejów, wobec pewnych kategorii ludności począwszy od przydziału o wyższym metrażu mieszkań, willi, samochodów, dewiz po cenach oficjalnych, wycieczek zagranicznych, a skończywszy na służbie domowej, legalnie wpisanej na państwową listę płac (z tego ostatniego korzystają członkowie rządu). W ten sposób jeszcze bardziej potęguje się różnice w położeniu materialnym „szarych ludzi” i arystokracji partyjno-rządowej.

Nie uważam sprawiedliwości w kapitalizmie za doskonałą. Nie mam natomiast wątpliwości, że jest ona najlepszą możliwą alternatywą. Stała się nią ona dzięki instytucji interwencjonizmu państwowego, który reguluje funkcjonowanie systemu kapitalistycznego w ten sposób, aby zapewnić maksymalne zadośćuczynienie aspiracjom ludności. Państwo staje się dominującym czynnikiem dobrobytu — dobrobytu dla każdego, bez względu na pochodzenie, przekonania czy przeszłość. Zasadniczym czynnikiem jest wkład produkcyjny jednostki, a w wypadku gdy wkład ten

z takich czy innych względów jest zbyt niski, aby zapewnić minimum potrzebne do egzystencji (minimum to jest określone dowolnie przez same społeczeństwo), państwo bierze na siebie obowiązek pomocy i opieki społecznej²⁸.

Program wprowadzenia kapitalizmu

Z powyższych rozważań wynika po części jaką taktykę należy zastosować przy wprowadzeniu systemu kapitalistycznego w Polsce. Przedstawię ją skrótowo w kilku punktach:

1. Przywrócenie pełnej demokracji z wolnością prasy, całkowicie niezależnym sądownictwem, odpowiedzialnością urzędników za ich czynności służbowe, z politycznie niezależną kadrami funkcjonariuszy państwowych w rodzaju angielskiego „Civil Service”. Stosunki demokratyczne zakładają oczywiście wolność zrzeszeń — a więc pracowników w związkach zawodowych, wytwórców — w izbach przemysłowych jak również wszelkiego typu stowarzyszeń naukowych, religijnych i politycznych. Organizacje te będą mogły przeciwstawić się skutecznie ewentualnym biurokratycznym tendencjom wymierzonym przeciwko swobodnej inicjatywie. Ponadto okażą się prawdopodobnie pomocne w opracowaniu programów gospodarczych i społecznych. Kapitalizm, jak to już stwierdziłem, może istnieć tylko w warunkach prawdziwej i pełnej demokracji.

2. Umożliwienie w drodze ustawodawczej inwestycji prywatnych łącznie z możliwością ratalnego wykupu określonych obiektów przemysłowych od Państwa. Uzyskane w ten sposób przez państwo fundusze, powinny być użyte na finansowanie dalszego rozwoju gospodarczego oraz na inwestycje i bieżące wydatki socjalne. Należy tu zaznaczyć, że pewne dziedziny produkcyjne mogą i powinny pozostawać w rękach państwowych lub komunalnych. Mam tu na myśli obiekty gospodarki miejskiej (np. linie autobusowe, elektrownie, gazownie), ośrodki atomowe, pewne obiekty górnicze, zakłady przemysłu zbrojeniowego, niektóre banki (a w każdym razie bank centralny czyli tzw. Narodowy Bank Polski), transport i łączność, przemysł hutniczy, chemiczny i samochodowy oraz wszystkie warsztaty zatrudniające powyżej 1.000-ca pracowników²⁹.

Aparat bankowy powinien stworzyć specjalny fundusz pożyczkowy dla udzielenia kredytów zarówno nowym inwestorom jak i wykupującym uspołecznione warsztaty pracy.

3. Zwolnienie cen od kontroli państwowej i umożliwienie przedsiębiorstwom ustalania własnych cen. Szczególną wagę przy-

28. Shigeto Tsuru, *Has Capitalism changed?* (Tokyo, Iwanami Shoten, 1961), str. 20, stwierdza, że podział dochodów w ustroju kapitalistycznym staje się coraz bardziej wyrównany w stosunku do rozmaitych warstw ludności.

29. Mgr B. Stypiński proponuje ustalić granice w postaci maksymalnej ilości środków trwałych przypadających na jednego robotnika.

wiążąc tu do elementu wolnej konkurencji, która usunie zasadniczą słabość systemu komunistycznego, którego struktura i polityka cen zachęca wprost do trwonienia kapitału³⁰.

4. Uregulowanie stosunków gospodarczych z zagranicą na zasadach: a) ujednoczenia stopy wymiennej między złotym a innymi walutami; b) bezpośrednich stosunków między krajowymi a obcymi przedsiębiorstwami; c) stosowania w okresie początkowym kontroli transakcji przez bank centralny w celu zapewnienia najlepszych wyników gospodarczych; d) przyłączenia Polski do międzynarodowych organizacji, a w szczególności do Międzynarodowego Funduszu Monetarnego i do GATT (General Agreement on Tariffs and Trade); e) udział Polski w zjednoczeniach regionalnych typu unii gospodarczej środkowoeuropejskiej z Czechosłowacją i Węgrami.

5. Zachęcenie kapitału zagranicznego do inwestowania w Polsce w określonych dziedzinach gospodarki na ściśle ustalonych warunkach. Popieranie współpracy technicznej z gospodarczo zaawansowanymi krajami w sposób zbliżony do praktyki z powodzeniem stosowanej przez Japończyków.

6. Ścisłe zdefiniowanie typu i granic ingerencji państwowej w dziedzinie działalności przedsiębiorstw prywatnych. Cokolwiek nie zostanie tym przedsiębiorstwom zabronione *expressis verbis* powinno być uznane za legalne i dozwolone aż do ewentualnych zmian, ograniczających dotychczasową praktykę. Zmiany te powinny być wprowadzone w trybie ustawodawczym lub sądowym, a nie na drodze decyzji administracyjnych.

7. Zredukowanie roli planowania centralnego, głównie do planowania kierunkowego i informacyjnego, a częściowo do planowania koordynacyjnego na szczeblu międzyministerialnym. Ogólnie, w obrębie tych działów przemysłowych, które pozostałyby nadal w rękach państwa, czynnik planowania winien być traktowany w sposób bardzo liberalny.

8. Unowocześnienie instrumentów polityki kwantytatywnej monetarnej i fiskalnej w celu wywierania określonego wpływu na działalność gospodarki jako całości³¹.

W szczególności podniesienie stopy procentowej w ten sposób, aby pełniła ona selekcyjną funkcję regulatora, zasilając kredytami tylko taką inicjatywę gospodarczą, która okaże się korzystna dla poszczególnych przedsiębiorstw jak również dla całego społeczeństwa. Stopa procentowa, która spełniać będzie tę rolę, wyeliminuje m.in. kurczowe trzymanie się planów, w których błędne decyzje administracyjne i naiwność aparatczyków zastępuje obiektywną ocenę ekonomicznych możliwości. Postępowanie takie prowadziło zawsze i nieuchronnie do trwonienia kapitału społecznego.

9. Zachowanie lub stworzenie wybiórczo-działających instrumentów polityki finansowej (np. kontrola nad kredytem udziela-

30. Maurice Dobb, *Papers on Capitalism, Development and Planning* (New York: International Publishers, 1967).

31. Tsuru, *op. cit.*, str. 5-13.

nym celem zakupu artykułów konsumpcyjnych przez ludność jak również ulgi podatkowe dla wspierania niektórych inicjatyw gospodarczych). Dalej — zmobilizowanie specjalnych kredytów umożliwiających łatwiejsze zakładanie i wykupywanie warsztatów pracy przez ludność.

10. Reforma systemu podatkowego w kierunku oparcia większej części dochodów państwowych na progresji podatków dochodowych oraz poważnego zmniejszenia podatków pośrednich, a w szczególności podatku obrotowego i wyrównawczego.

11. Oparcie polityki socjalnej na fundamencie odpowiedzialności wobec społeczeństwa poprzez sejm w taki sposób, aby odpowiadała ona ogólnie przyjętemu wymogom sprawności społecznej. Sejm powinien wyłonić z siebie specjalne komitety, zajmujące się kontrolą instytucji społecznych oraz rozważaniem ewentualnych zmian lub renowacji działalności tych instytucji. Za szczególnie ważne uważam ustalenie minimum dochodów rodzinnych (w zależności od liczby jej członków) i stworzenie funduszu, który pokrywałby część lub całość niedoboru między dochodem minimalnym a rzeczywistym. Reforma podatkowa (por. punkt 10) doprowadzi jednocześnie do zmniejszenia rozpiętości w dochodach rozmaitych grup ludności.

12. Gruntowna zmiana polityki rolnej w kierunku zapewnienia ekonomicznej swobody chłopów, stworzenia lepszych bodźców dla prowadzenia gospodarki intensywnej oraz podniesienia kultury rolnej. Pomocną byłaby przy tym instytucja instruktorów okręgowych, udzielających porad w zakresie agronomii i agrotechniki. Państwo powinno także popierać finansowo rozwój wolnego ruchu spółdzielczego opartego na wzorach duńskich.

13. Pozostawienie państwu wolności inwestycji produkcyjnych w nowych dziedzinach, w których napływ kapitału prywatnego jest niewystarczający lub może go w ogóle zbraknąć. Po wytworzeniu sprzyjających warunków produkcyjnych dla prywatnego przemysłu powinien nastąpić wykup tych inwestycji przez prywatnych inwestorów, z wyjątkiem tych obiektów, w których udział państwa będzie uważany za żywotny dla interesów Kraju.

14. Użycie określonej części funduszy uzyskanych przez państwo ze sprzedaży zakładów produkcyjnych: a) na inwestycje społeczne w rodzaju szkół, szpitali, dróg, regulacji rzek, zakładania parków narodowych itd.; b) na subsydia dla budowy tanich bloków mieszkalnych w miastach celem zapewnienia mniej zaможnej ludności odpowiednich warunków mieszkalnych; c) na bieżące wydatki socjalne.

Wnioski

W rozważaniach powyższych świadomie pominąłem kilka tematów. Jeden z nich to większe prawdopodobieństwo otrzymania międzynarodowych pożyczek i bezwrotnych darów po przyjęciu systemu kapitalistycznego. Drugi, to mniejsze prawdopodobień-

stwo uwikłania Polski w międzynarodowe czy międzyblokowe wojskowe konflikty. Trzeci, to prawdopodobieństwo zaoszczędzenia wydatków i nakładów na tzw. „obronę narodową”. Ponieważ problemy te wynikają z międzynarodowego układu sił i z polityki zagranicznej Polski, uważałem, że nie wchodzi one w zakres mego tematu. Pominąłem także kwestie dotyczące obniżenia wydatków, które mało przyczyniają się do podniesienia dobrobytu ludności jak np. wydatków na milicję oraz cały aparat bezpieczeństwa łącznie z cenzurą, podsłuchem telefonicznym, ORMO jak również problem wydatków na aparat propagandowy. Dyskusja ta dotyczy kwestii ustanowienia w Polsce stosunków prawdziwych, a nie ludowo-demokratycznych, leży więc na pograniczu zagadnienia omawianego powyżej tj. roli kapitalizmu.

Chciałbym też w tym miejscu podkreślić to, co na pewno uderzyło już uważnego czytelnika. Jak stwierdził to już lewicujący i czółowy ekonomista japoński Shigeti Tsuru, „Często twierdzi się, a szczególnie w ostatnich czasach, że coraz trudniej jest dokonać rozróżnienia między kapitalizmem a socjalizmem jako odmiennymi systemami stosunków społecznych”³².

Tsuru miał oczywiście na myśli socjalizm demokratyczny. Zapewnie bardzo wielu, jeśli nie większość ludzi zgodziłaby się z jego tezą. Myślę, że czytelnik powyższych uwag będzie miał również podstawę do zajęcia podobnego stanowiska.

Zdaję sobie sprawę z tego, że powyższy szkic ma charakter wybitnie skrótowy. Reasumując moje wywody, chcę jeszcze raz podkreślić, że system kapitalistyczny, choć daleki od ideału, uważam za sprawniejszy gospodarczo i społecznie sprawiedliwszy od ustroju komunistycznego. Sądzę, że wprowadzenie go w Polsce byłoby nie tylko możliwe, ale nawet stosunkowo łatwe. Spodziewam się również, że system ten przyczyni się do szybkiego podniesienia standardu życiowego ludności, co z kolei rozwinie bodźce ekonomiczne i przyczyni się do zwiększenia produkcji. Ta zaś znów spowoduje dalszy wzrost spożycia a przez nią — ogólnego dobrobytu. Ekonomiści często mówią o „błędnych kołach” w procesie rozwoju gospodarczego. W systemie kapitalistycznym dopatruje się właśnie takiego „błogostawionego błędnego koła”, które po przez wzmoczenie konsumpcji i zwiększoną wytwórczość towarową prowadzi ponownie do wzrostu spożycia. Nawet aparatczycy, jeżeli wpadną w ten „zakłęty krąg”, mogą stać się najbardziej gorącymi zwolennikami kapitalizmu, a ci, którzy wyrwali się z Polski, już się nimi stali.

System kapitalistyczny jest obecnie systemem regulowanym przez państwo i dzięki tej właściwości może w większym stopniu czynić zadość pragnieniom sprawiedliwości społecznej. Kapitalizm staje się coraz bardziej systemem mieszanym, który tracąc swoją analityczną, klasyczną „czystość”, zadawała coraz większą liczbę żyjących w nim ludzi. W toku swej ewolucji zdobył on również możliwość dostosowywania się do zmieniających się

32.Tsuru, *op. cit.*, str. 40-41.

stale preferencji społecznych, a jego zdolność adaptacyjna jest nieporównanie wyższa od systemów, które określiły sobie z góry cele ideologiczne. Pragmatyzm kapitalizmu w połączeniu z jego wysoką produktywnością pozwala mu zaspakajać istniejące w danym okresie pragnienia ludności. Fanatyzm ideologiczny innych ustrojów nakazuje im piąć się do z góry założonego i określonego w doktrynie „ideału”. W tych warunkach to, czego nie może dokonać system i jego ideolodzy, musi dokonać propaganda. Przy jej pomocy wmawia się ludności, że założony cel jest rzeczywiście godny wysiłku. Osobiście wątpię czy możliwości osiągnięcia na tej drodze dobrobytu istnieją i dlatego uważam za wskazane i pożyteczne koncentrowanie działalności gospodarczej na zaspakajaniu samoistnych, spontanicznych i rzeczywiście istniejących potrzeb społecznych ludzi.

Bogdan MIECZKOWSKI
 Profesor of Economics
 Ithaca College, Ithaca, N.Y. U.S.A.

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalszej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

Spokojny człowiek z Maine

Maine jest lesiste, pełne pagórków, spokojne i zastygłe w tym jeszcze nie wiosennym, chłodnym powietrzu. Tak je widziałam w ostatnią niedzielę lutego. Boczne drogi, kiedy się tylko zjedzie z *highway*'u są kiepskie, nawet niewiarygodnie kiepskie jak na amerykańskie stosunki. Stosunkowo niewiele moteli, pustawo, pejzaż który mógłby rozpościerać się w niemal całej wschodniej Europie: śnieg na zboczach, rzadsze i gęstsze zagajniki sosnowe, domki, mostki, ciekące leniwie strumyki. W pewnej chwili, zanim dojechalismy do Portland, mogłabym przysiąc że jesteśmy pod Krakowem, za chwilę staniemy przed orbisowskim pensjonatem, gdzie powiedzą nam, że brak miejsc i nawet nie dodadzą, że im przykro. Zamiast tego zajechalismy do Swiss Chalet (amerykański snobizm na Europę jest potworny, ale to bardzo dobrze, ten proeuropejski klimat świetnie robi nowoprzybyłym), gdzie nawet nie było wielu narciarzy, a w pokojach można było wybierać jak w ulęgałkach. Powietrze znakomite, tak jakby nikt jeszcze nie odkrył *pollution*. Tym właśnie powietrzem i tymi zalesionymi pagórkami, Maine, niewielki stan niedaleko od Massachusetts, zwabia turystów. Ogłoszenia, ukazujące się w coniedzielnym *Boston Globe*, są bardzo powściągliwe. Mówi się w nich o czystym śniegu i o ciszy. Ostatnio, jeden z autorów reklamówki, dodał dowcipnie: a gdyby to dla was było za mało, mamy także Muskiego.

Edmund Muskie jest senatorem z Maine. Jest w chwili obecnej jedną z czołowych postaci amerykańskiego życia politycznego i przeciwnikiem numer jeden Nixona. W odczuciu opinii publicznej, a precyzyjnie mówiąc ostatnich jej sondaży, jest tym, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zastąpi Nixona. Reprezentuje partię Demokratyczną, albo ściślej, jej centrum. W walce o fotel prezydencki rozróżnia się dwa etapy. Pierwszy, to uzyskanie nominacji własnej partii, drugi to wygranie samych wyborów.

Muskie, oficjalnej nominacji jeszcze nie ma. Jego partia jest skłócona, z niezbyt zdrową tendencją do nadmiernego polaryzowania swoich opinii, i wewnętrznych rozłamów partyjnych. W tej samej partii znajduje się Edward Kennedy, Hubert Humphrey i George McGovern, przy czym ten ostatni zadeklarował się już oficjalnie jako przeciwnik Muskiego. Głównym punktem kampanii politycznej McGoverna będzie atak na zaangażowania militarne obecnej Ameryki. Popierany przez młodych, bardzo popularny wśród nich na skutek swoich częstych wizyt na kampusach, nie wywołuje żadnego echa wśród pracujących, stąd jego szanse, mimo hałasu jaki może narobić, nie są za wielkie. Kennedy, pomijając już niefortunny wypadek nad jeziorem Chappaquiddick, dostał ostatnio cięgi w Senacie, od kolegów Demokratów. Można by zaryzykować twierdzenie, że czar samego nazwiska przestał spełniać rolę magicznej pałeczki. Bardzo młody i dysponujący własnym zapleczem finansowym, może jeszcze na pewno odegrać dużą rolę w amerykańskim życiu politycznym, na razie jednak wydaje się, że temperatura wokół niego spadła o dobre kilkanaście stopni. Pozostaje Hubert Humphrey, dla którego będzie to ostatnia szansa wejścia do Białego Domu, i major Nowego Jorku, Lindsay, który będąc nominalnie republikaninem nie cieszy się poparciem własnej partii, a popularność ma tak znaczną, że mógłby zaryzykować przejście do partii demokratycznej. Nie jest powiedziane, czy w ostatniej chwili nie wyskoczy jeden czy dwóch ekstra kandydatów, którzy do zapowiadającej się na zwycięstwo walki, wprowadzą dodatkowy element niepewności.

Tak mniej więcej wygląda w grubym zarysie pierwszy front walki oczekującej Muskiego. Jest absolutnie pewne, że Nixon otrzyma renominację od partii republikańskiej. Republikanie są świetnie zorganizowani, mają spore zasoby partyjnych pieniędzy i gdyby nie znamieny fakt, że czołowe zagadnienia amerykańskiej polityki wewnętrznej i zewnętrznej nie potoczyły się w korzystnym dla nich kierunku, szanse Muskiego i Demokratów w ogóle nie byłyby brane pod uwagę. Senator Muskie będzie potrzebował na koszty kampanii około trzydziestu milionów dolarów. Partia Demokratyczna siedzi w długach, a ofiarodawców nie jest łatwo znaleźć. Najpospolitszym sposobem zbierania pieniędzy na cele kampanijne są bankiety, na które zaprasza się jakąś znaną osobistość celem wygłoszenia przemówienia. Im bardziej kontrowersyjna osobistość, tym lepiej dla organizatorów bankietu. Republikanie biją tutaj na głowę Demokratów, mając w zanadru wiceprezydenta Agnew, klasycznego prowokatora z prawicy, który z łatwością zbiera do kas partyjnych po sto dolarów za bilet na kolację. Jeden z jego zwolenników ze stanu California powiedział w wywiadzie prasowym otwarcie: gotów jestem zapłacić nawet dwieście dolarów za wieczór. Nie ważne o czym będzie mówił. Wiem, że to będzie ostre i że ktoś dostanie po głowie. Wiem także, że to się nie będzie podobało prasie. Agnew zapowiedział publicznie, że nie zamierza zmieniać taktyki i że postara się przygotować jak najlepiej do nadchodzącej kampanii. Do kas

republikańskich napłynie więc sporo dolarów. Warto też pamiętać, że partia republikańska ma za sobą poparcie potężnego przemysłu naftowego i jego magnatów. Do walki o Biały Dom wkroczą więc zasobni. Na szczęście rolę w tej walce grają nie tylko fundusze. Nixon będzie musiał zdać sprawę z dokonania ostatnich czterech lat. Podstawowymi pytaniami będą: inflacja, bezrobocie i wojna w Wietnamie. Bezrobocie jest w tej chwili w Ameryce największe od dwudziestu lat, inflacja wzrasta, a teoria wietnamizacji wojny płata dziwne figle, bo ledwie publiczność amerykańska otrząsnęła się z Kambodży, wyskoczył Laos. Taktyki ekonomiczne Nixona, jak do tej pory nie zdały egzaminu. Chcąc ochłodzić rozgrzaną inflacyjnie gospodarkę zastosował brutalną metodę tzw.: *tight money*, czyli trudno dostępnych pieniędzy. Gospodarka istotnie ochłodziła z ewidentnym wskaźnikiem w postaci niespotykanego przedtem bezrobocia, ale inflacja kontynuuje gorączkową spiralę w górę. Miesiąc temu, w czasie przemówienia telewizyjnego, Nixon zapowiedział zmianę programu ekonomicznego. Obiecał nowe miejsca pracy, łatwiejsze kredyty, specjalny program rządowy dla bezrobotnych. Podlizał się też przy okazji młodzieży, po raz pierwszy w swej karierze prezydenckiej nie wyrażając i nie strofując, ale wyciągając rękę na zgodę. Entuzjazm prasy mieścił się w kategoriach uprzejmej relacji z wydarzenia natury protokolarnej, entuzjazm wyborców nie istniał w ogóle. Nixon jest powszechnie nielubiany. Najłagodniejszym określeniem jakim obdarza go przeciętny Amerykanin, jest: Tricky Nicky, czyli spolszczając Cwany Rysio. Nixon dostał się do Białego Domu eksploatując umiejętnie strach wyborców i nadymając mocno hasło: prawa i porządku. Fala zbrodni, niepokoju w miastach i powszechnego rozgorączkowania, była tą siłą, którą Nixon potrafił zużytkować w swojej kampanii. Obiecywał spokój i koniec wojny. Był klasyczną, chłodną postacią z politycznego centrum, a większość amerykańskich wyborców wybiera kandydatów z centrum, powodując się ostrożnością i wieloletnim nawykiem narodowym.

Jest powszechną taktyką wyborczą prezydentów będących u władzy, że rok wyborów jest zawsze rokiem zwiększonych kredytów rządowych dla rozmaitych instytucji, kosztownych programów pomocy dla ubogich i maksymalnych obietnic dla mniejszości narodowych. Taktyka taka oparta jest na prostym rozumowaniu, że w najgorszym razie przeciwnik odziedziczy długi w budżecie, a w najlepszym my sami polikwidujemy te programy jako inflacyjne i niezdrowe ekonomicznie. Republikanie będą próbować tych samych przetartych już dróg. Nie wiadomo tylko, czy pójdzie nimi przeciętny, rozgorączcony wyborca. Pozycja Demokratów i Muskiego będzie łatwiejsza, bo będą zabierać głos jako partia do rządów niedopuszczona, i za rządy nie ponosząca odpowiedzialności. Jednym z ważnych punktów kampanii wyborczej będzie *environmental politics*, czyli ochrona przyrody i człowieka przed szkodliwymi skutkami nadmiernej industrializacji. Jest to bardzo mocny atut senatora Muskiego. Był pierw-

szym, który zwrócił uwagę na ten problem, obecnie szalenie modny i dyskutowany w Stanach. Co więcej, był autorem uchwały o ochronie przyrody. Uchwała ta została ostatnio podpisana, przyczyniając sporo kłopotu przemysłowi samochodowemu, i stwarzając mimochodem mały ale znamieny incydent natury dyplomatycznej. Otóż na uroczystość podpisania uchwały nie zaproszono Muskiego do Białego Domu. Prasa podniosła szum, powszechnie bowiem wiadomo, że *environmental politics* są specjalnością Muskiego. Rzecznik Białego Domu oświadczył wymijająco, że nie tylko nie wie nic o rzekomym autorstwie uchwały, ale wydaje się, iż sprawa czystego powietrza i czystej wody jest w równym stopniu interesująca dla Demokratów co dla Republikatów. Sens tego incydentu był jednoznaczny, po prostu Nixon zawczasu spróbował wytrącić karty z ręki senatora z Maine. A jakie są te karty? Jako polityk sen. Muskie jest ostrożny, jak najdalszy od pochopnych i niepowściągliwych wypowiedzi. Jak twierdzą jego współpracownicy jest prawie niemożliwe namówić go do zabrania głosu w sprawie, która nie ma jeszcze pełnej dokumentacji i to dokumentacji sprawdzonej. Ostatnia podróż po świecie przyniosła sen. Muskiemu sporą *publicity*, ale europejskie sympatie różnią się nieco od amerykańskich, są bardziej wyrafinowane i pełniejsze odcieni. Do amerykańskich wyborców Muskie przemawia głównie jako opanowany, ostrożny polityk, nieskłonny do mieszania się w jakiegokolwiek awantury, życzliwy przeciętnemu człowiekowi pracy, rozumiejący jego bóle i nadzieje. Niezwiązany z wielkim przemysłem ani z wielkim kapitałem, pochodzący z mniejszości narodowej (ojciec nazywał się Marciszewski i był krawcem), Muskie może liczyć na oddźwięk u szarego Amerykanina. Pozostaje jeszcze, niezbadana bliżej, ale ważna sprawa osobistego czaru czy magnetyzmu. Mówi się na przykład prywatnie, że Kennedy wygrał swoje wybory głównie dlatego, że część przemowień telewizyjnych wygłosił w godzinach porannych, kiedy panie domu mają najwięcej czasu. Przystojny i czarujący, zapewnił sobie tym sposobem dodatkową ilość wyborców. Jest w tej obserwacji sporo prawdy. W Stanach, gdzie sukces jest naczelnym dążeniem i gdzie napisano tomy na temat tego, że każdy sukcesem być może, publiczność jest niesłychanie wyczulona na osobistą pewność siebie, na wewnętrzne przekonanie o własnej racji, choćby ta racja, na chłodno i rzeczowo zanalizowana, była ostatnią ze słusznych. Jak powiadają niektórzy, tej tzw. charyzmy, Muskie nie ma. Brak mu wewnętrznego żaru, nie angażuje po swojej stronie emocji, ale logikę. Na szczęście jednak jego przeciwnik Nixon, posiada coś, co można by z dużą dokładnością obdarzyć mianem antycharyzmy. Napięty w spotkaniach z wyborcami, kąśliwy i sarkastyczny w stosunku do prasy, patetycznie wzburzony przy najmniejszym oporze w przyjęciu jego idei, jest dokładnym modelem tego, który sympatii w ogóle nie potrafi wzbudzać. Trudno powiedzieć jak potoczy się kampania wyborcza. Już obecnie McGovern zamieszcza ogromne ogłoszenia w *New York Times* apelując do anty-

wojennych sentymentów współobywateli. Muskie zorganizował sobie w Waszyngtonie dobrany zespół doradców i specjalistów od urabiania opinii publicznej i miejmy nadzieję, że końcowy efekt pracy tych ludzi będzie równie skuteczny w sensie osiągnięcia rezultatów, jak to co zrobiła z Nixonem słynna ekipa reklamowców z Madison Avenue. Należałoby też dodać, że produkt do opakowania jest tym razem dużo lepszy i praca fachowców od *publicity* nie powinna być za ciężką.

Potrafię sobie dokładnie wyobrazić radość Polaków w Stanach, gdyby Muskie dostał się do Białego Domu. Gazety na Division będą miały zapewnioną strawę na dobre parę miesięcy, w każdym polskim domu wypije się dodatkowe parę kieliszków wódki, będzie krzyk, radość i wrzawa, tylko tutaj, w Massachusetts i Maine będą mówili o nim nadal, że jest *New Englander*, uważając że to komplement i definicja, i będzie to zapewne określenie najbliższe prawdy.

Jolanta DWORZECKA

Widziane z Brukseli

Jubileuszowy prezent

Jaki znowu jubileusz?! Ano, mój własny. Ponieważ nikt go nie zauważył, więc komunikuję uprzejmie, iż mija właśnie rok jak się ukazał pierwszy „Brukselczyk”. Pewnie, że to nie to samo co 50-ta rocznica ostatnio szalenie popularnego w Warszawie stwierdzenia Lenina, że „największe niebezpieczeństwo polega na naruszeniu porządku, największe zadanie — na zachowaniu porządku”. (Sam gen. Moczar wzbogacił teoretycznie tę myśl na ostatnim Zbowiedzie). Dla mnie jednak z wielu przyczyn nawet ten mały jubileusz ale własny, jest ważny. Moi pra-ojcowie — jak nas poucza najmądrzejsza książka 25-lecia, to znaczy „Słownik Wyrzów Obcych” Kopalińskiego — umarjali z okazji jubileuszu długi i uwalniali niewolników. W moim przypadku jest to nieco skomplikowane, albowiem to nie tyle ja, co mnie można by umorzyć długi, jeżeli natomiast chodzi o uwolnienie niewolników, to przekracza to moje siły.

Nie mogąc więc liczyć na żadne względy pt. publiczności, postanowiłem rocznicę uczcić sam i z tej okazji uczynić Czytelnikom prezent. Ogłaszam mianowicie, że tak jak Pan przeznaczył każdy siódmy dzień na odpoczynek (na Zachodzie o tym nie wiedzą i niektóre przedsiębiorstwa przeszły już na 4-dniowy

tydzień pracy), tak od dziś począwszy każda rocznicowa rubryka będzie o literaturze.

James-Bondowie znad Wisły

Notatki z lektury przygotowuję już naturalnie od pewnego czasu. Były oczywiście trudności z wyborem, tyle się tego przecież ukazuje. Przyjaciele z kraju także o mnie dbają, wiedzą że nie poezja jest moją specjalnością, więc też regularnie nadsyłają mi to co, ich zdaniem, warte jest uwagi (lub uspokaja nostalgiją) w dziedzinie krajowej twórczości publicznej. Ostatnio nadesłali spory pakiet. „Przeczytaj, powiadają, i poinformuj rodaków na obczyźnie co i jak, przecież normalnie nie mają do naszych książek dostępu. Cenzura zachodnia uniemożliwia, a młodzi Belgowie, którzy chcieliby nasze książki przenieść przez Ardeny w plecaku, na pewno zgniliby w kryminale”.

Dziwne, pomyślałem, przecież książki przyniósł mi normalnie jak co dzień listonosz. Najpierw trzy wydane przez MON w serii „Ideologia, polityka, obronność”, potem jedną wydaną, o Boże, przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe, też na temat dywersji, ale w ekonomii. Listonosz się nawet nie bał, zapytał tylko czy są w środku komiksy, bo gdyby tak, to choć nie zna języka... Ale nie było.

Przestudiowałem wszystko poważnie, choć, słowo daję, nie było wyrafinowaną rozkoszą czytać tyle nieporadnych stron o wojnie psychologicznej imperializmu, o zatrutych falach, o szpiegach w fabryce mydła „Uroda”. Cały mój wysiłek poszedł jednak na marne. Wbrew bowiem zachwytom krytyki krajowej, postanowiłem, że o tych utworkach pisać nie będę. Dla kilku powodów.

Po pierwsze — nie warto, bo wszystko stare. Panowie autorzy mianowicie najpierw ściągają ze siebie nawzajem, nawet się czasem cytując, a potem wszyscy razem ściągają od „dr.” Kaczyńskiego, który sam ściągnął od paru zapomnianych już autorów zachodnich i z kartoteki przy ul. Rakowieckiej. Po drugie — poglądy się nieco zdezaktualizowały, jako że już właściwie nikt niepozabawiony resztek poczucia humoru, tzn. z wyjątkiem tow. Kępy, prasy PAX'u oraz pism wojskowo-policyjnych, nie twierdzi, że imperializm, różnokolorowa dywersja, syjonizm, zatrute fale, Dayan, Galbraith i Servan-Schreiber są odpowiedzialni za tzw. wydarzenia grudniowe, przejściowe trudności w zaopatrzeniu i lekkie naderwanie więzi partii z masami. Nawet pan kapitan Czechowicz, taki nasz James Bond dla ubogich, nie potrafił dobić Wolnej Europy niczym innym jak tylko współpracą syjonistów i samego Wiesenthala. To, widać, taka ich mała paranoja...

No, ale słowo się rzekło, i mimo, że nie mam jeszcze z Warszawy rodzimego wydania „dr. No” w połączeniu z „Goldfingerem” znad Wisły, to jednak będzie o literaturze. Tyle, że o innej.

Wydanie drugie, poprawione

Kiedy w styczniu 1968 roku tow. Kępa „zdjął” z narodowej sceny pana Mickiewicza, January Grzędziński bez większego trudu wykazał, że cenzura warszawska jest bardziej surowa i znacznie głupsza od cenzury carskiej. Spotkały za to Grzędzińskiego rozmaite nieprzyjemności.

Nie ryzykując takich konsekwencji do podobnego wniosku doszedł wybitny francuski socjolog Jean-François Revel (autor m.in. ultraciekawej książki „Ani Chrystus, ani Marks”). Napisał on mianowicie przedmowę do właśnie wydanej w Paryżu antologii sowieckich podziemnych tekstów literackich. Otóż Revel stwierdza, że większość tej nielegalnej literatury wydaje się „politycznie niegroźna” i że jeżeli niektórzy pisarze wracają do tematyki obozowej, to dlatego, że ich tam zesłano, a nie dlatego, że nie lubią Kraju Rad. Choć założenie takie nie musi być zawsze słuszne, to jednak Revel słusznie pisze:

„Jakże paradoksalny jest wniosek, że cenzura książek jest obecnie w ZSSR ostrzejsza niż w XIX-wiecznej Rosji carskiej. Pisarze rosyjscy XIX wieku mieli trudności z cenzurą tylko wtedy, gdy atakowali i otwarcie krytykowali instytucje państwowe. Nie domagano się od nich jednak, aby z całym oddaniem gloryfikowali wyłącznie ustrój carski. Dziś natomiast odnosi się wrażenie, że zbrodnia rodzi się w momencie, gdy intelektualista kieruje swą uwagę ku 'czemuś innemu', czemuś spoza tematów oficjalnej propagandy, czemuś co nie wspiera wprost tzw. sowieckiej rzeczywistości”.

Odkrycia Revela nie są dla nas rewelacją. Nie ma w tym nic dziwnego, gdyż pracuje, pisuje i wydaje on we Francji, gdzie choć wszyscy skarżą się na terror, jeszcze żaden Kępa książki Revela nie skonfiskował, mimo, iż nie należy on do zwolenników kapitalizmu, wchodzącego już od pewnego czasu w swe końcowe stadium.

Brak praktycznego obycia z problemami cenzury Revel może nadrobić, zapoznając się bliżej z wydaniem drugim i poprawionym powieści Anatola Kuzniecowa pt. „Babi Jar”. Powieść ta wyszła po raz pierwszy we Francji w roku 1967 i — ku oficjalnemu zaskoczeniu — już wtedy tłumaczenie francuskie było w wielu szczegółach bogatsze od rosyjskiego oryginału. Autor wytoczył wówczas nawet proces tłumaczowi. Jednak dopiero niedawno, kiedy Kuzniecowa wybrał wolność, osiadł w Londynie i przeprosił tłumacza, ukazało się pełne i wierne, według autora, wydanie „Jaru”.

Jest to chyba unikat w dziedzinie bibliofilstwa. Nowe wydanie zawiera bowiem, ku wygodzie czytelników, wydrukowane kursywą rozdziały, acapity, a nawet części zdań, które — jak to filuternie nazywają Francuzi — padły ofiarą „nożyczek Anasztazji”.

Studium „odrzutów” może być ciekawe dla kogoś, kto jak

Revel, nie zna z autopsji igraszek cenzury. Tak więc żołnierze sowieccy mogą się cofać, ale, broń Boże, nie „nie mając już nawet karabinów”. Nie mogą się również — na podobieństwo gwardii Cambronne'a — wycofywać generałowie i dygnitarze partyjni. Inaczej niż u tegoż Cambronne'a natomiast, nigdy żaden dowódca sowiecki nie rzucił mięsem, czyli brzydkim słowem. Usunięte też zostały aluzje do czynów nierządnych lub gwałtownych: armia czerwona, jak wiadomo, brzydziła się czymś podobnym i była na wskroś ascetyczno-purytańska. W usta wstrętnego wroga ideowego można było włożyć słowa nienawiści do bolszewików, nawet on jednak nie mógł obwieścić światu, że „władza sowiecka się skończyła”.

Jak wiadomo, historia nie potwierdziła tej zapowiedzi. Słusznie więc cenzura moskiewska usunęła wszelkie aluzje do współpracy Stalina z Hitlerem jak i refleksję, że w wypadku wygrania wojny przez Niemcy, cały świat nazywać będzie Fuehrera „ojcem narodów”. Logiczne też było wyrzucenie wzmianek o wielkim głodzie z 1933 roku, tudzież o umiarkowanym podziwiewie chłopów ukraińskich dla kołchozów.

Dziwny ten Kuzniecowa! Jak wynika ze zdań drukowanych kursywą, chciał on — tak przynajmniej twierdzi — ogłosić w ZSSR w latach 60-tych, że „uprzywilejowani członkowie partii nie stali w ogonkach, bo korzystali ze specjalnych przydziałów”, że należy zazdrościć ptakom, bo „mogą ulecieć gdzie dusza zapagnie”, i że wreszcie, o zgrozo, „kiedy wycofuje się książki, to znaczy, że jest niedobrze”.

Dziwny i naiwny ten pisarz, który po przeżyciu parudziesięciu lat w już zbudowanym socjalizmie uważał „wyliminowane” fragmenty za tak cienkoaluzyjne, iż wierzył w to, że książka mogła się w całości ukazać.

Komu Józio zrobił kuku?

Po zakończeniu studiów nad dwoma rodzajami czcionki, jakimi zadrukowanych jest 600 stron powieści Kuzniecowa, łatwo i z ulgą oddajemy się lekturze romansu pt. „Józef”, pióra brytyjskiego pisarza Melvyna Jonesa. Nie jest to jego pierwsza książka, ale jest na pewno pierwszą i jedyną (na razie), która o Stalinie pisze per „Józio”, gdy mowa o jego trudnym dzieciństwie. Potem następuje etap ideowego dojrzewania „enigmatycznego, pogodnego i czystego młodzieńca”. Faza ta ubarwiona jest opisem pobytu w Londynie i Wiedniu. Józka nie ciągną jednak uciechy wielkiego miasta, 12 godzin dziennie spędza na pisaniu rewolucyjnych dzieł, które mają zbawić świat i jedyny luksus, na jaki młody asceta sobie pozwala, to picie herbaty o *five o'clock*. Jak wiadomo pozostało to *hobby* Józefa do końca życia. Ostatnia część powieści to lata bezkompromisowej działalności twardego polityka, aż do apoteozy w dniach wielkiej wojny.

W odróżnieniu od pieszczotliwej karykatury, w rodzaju wyda-

nej kiedyś w Warszawie powieści dla młodzieży pt. „Sosso” (Józio po gruzińsku), albo powieścideł sowieckich, książka Jonesa jest prawie autentyczną literaturą. Najbardziej naciągane elementy fabuły nie przekraczają granicy śmieszności, nawet kiedy Jones, z bogactwem szczegółów, zaznajamia nas z kulisami wprowadzania Józia w słodkie tajemnice seksu, przez panią (domyślamy się) Kołtąją. I to mimo, że sytuacja jest dla nas, jakby to powiedzieć, nieco zaskakująca. W najśmielszych przecież snach nie wyobrażaliśmy sobie Sosso w tej, hm, pozycji...

No, ale minęły lata i Józio postanowił odwiedzić matkę, którą bardzo kocha, chociaż poza tym, jak donosi Jones, w imię rewolucji dość skutecznie wyniszczył nie tylko dalszych rodaków, ale i bliższą rodzinę (jak pytano w Warszawie: Komu Sosso zrobił kuku?). Na pytanie mamusi, która mimo kariery syna pozostała praczką Józef odpowiada:

— „Jestem obecnie generalnym sekretarzem partii komunistycznej”.

— „Jaka szkoda synu — odpowiada rozczarowana staruszka — żeś nie został w seminarium. Byłbyś teraz na pewno biskupem”.

Wszystko płynie — ale dokąd?

Rzeczywiście szkoda, że nie został w seminarium, chociaż dla kościoła może to i lepiej. Jednak naszą zadumę nad jakże innymi drogami, jakimi potoczyłyby się świat, gdyby Sosso pozostał w sutannie, przerywa brutalnie znany pisarz sowiecki, Wasyl Grossmann. Jego zdaniem, niewiele właściwie by się zmieniło. Książka Grossmanna „Wszystko płynie” pisana do szuflady w latach 1956-62, ukazała się niedawno na Zachodzie w sześć lat po śmierci autora. Jest to opowieść o dramacie stalinowskiego pokolenia sowieckiej inteligencji, skazanej na upodlenie albo cierpienie.

Bohater tak mówi:

„Zahipnotyzowani przez gwałt i strach musieliśmy denuncjować... Spełnialiśmy zresztą jedynie nasz obowiązek członka partii, tak jak był on wówczas rozumiany...”.

Skutki tego procesu Grossmann tak ujmuje:

„Narodziło się nowe pokolenie. Ci nowi ludzie nie wierzyli już w rewolucję, nie byli bowiem jej dziećmi, a dziećmi Państwa. To zaś nie potrzebowało ani wierzących ani proroków, ani nawet sług, a tylko urzędników”.

Czyja wina? Grossmann cofa się w czasie poza Józefa. Bohater książki, naturalnie Iwan, tak mówi:

„Lenin był brutalny i bezlitosny wobec przeciwników. Nigdy nikomu, choćby częściowo, nie przyznał racji... Okrucieństwo i pogarda dla wolności nie przeszkadzały Leninowi podziwiać 'Wojny i Pokoju' czy 'Apassionaty'...”.

Państwo sowieckie zostało według Grossmanna tak ukształtowane zarówno przez cechy charakteru jego twórcy jak i przez

tradycyjne w Rosji piętno niewolnictwa. „Zwycięstwo Lenina stało się klęską Rosji” albowiem utwierdziło ono elementy niewolnictwa w życiu kraju.

Takie potraktowanie osoby Lenina jest nowością nawet w podziemnej literaturze sowieckiej, która w zasadzie na Stalinie kończyła poszukiwania odpowiedzialnych za lata pogardy. Ale choć w rozdrapywaniu ran idzie Grossmann dalej niż inni, pozostaje optymistą. Woła na zakończenie: „Pewnego dnia cała Rosja zjednoczy się w wolności”.

Jak wiadomo, na razie się jeszcze nie zjednoczyła. Doświadczył tego na sobie dobrze nam znany Andrzej Amalrik. W czasie, kiedy już po raz drugi przebywa on na Syberii, wyszła na Zachodzie jego książka, prawie reportaż z pierwszego pobytu w tej krainie, która, jak się niektórym po tej stronie wydaje, jest czymś w rodzaju amerykańskiego „Dzikiego Zachodu”. Tak jednak nie jest i Amalrik zamiast mocnego westernu, napisał pogodne, miejscami nawet nudne, sprawozdanie ze swojej wycieczki. Jest to formuła nowa i może nawet bardziej skuteczna propagandowo.

Trudno dziś przecież napisać coś bardziej wstrząsającego niż napisał Sołżenicyn w „Dniu Iwana Denisowicza”, niż Charłamow czy Herling-Grudziński (nie mówiąc już o dziełach zebranych Chruszczowa), trudno napisać coś bardziej zastanawiającego niż Sacharow w swym „memoriale”, czy Wargha w „testamencie”.

Ale Amalrik to zrobił inaczej. Zachował mianowicie — być może dzięki wyjątkowo jak na KGB łagodnym warunkom zesłania — humor, spokój, wewnętrzną swobodę myśli. Dało to nadzwyczajny wynik, albowiem na zimno i bez pasji Amalrik wykażał straszliwy absurd polityki wyrażającej się w przekonaniu władzy, że „można przemocą dojść do czegoś pozytywnego”. Reszta jest tylko dodatkiem i mało przejmują opisy patologicznego alkoholizmu, biurokracji, przekupstwa, nieróbstwa, antysemityzmu i innych plag społecznych w ZSSR.

Książka rozpoczyna się od makabreski: policja nachodzi mieszkanie Amalrika po donosie sąsiadów, iż przyjmuje on u siebie cudzoziemców. Są to Amerykanie poszukujący kontaktu z malarzem Zwieriewem. Podobnie jak i w przypadku powieści Grossmanna czy Kuzniecowa, także i książką Amalrika zajmą się w *Kulturze* lepsi ode mnie fachowcy od literatury. Dziś interesują nas jedynie elementy aktualności politycznej i dlatego dodajmy, że do początku powieści historia dopisała inny jeszcze niż u Amalrika ciąg dalszy.

Wystawę prac Zwieriewa zorganizował niedawno na Zachodzie wybitny dyrygent, zresztą Rosjanin z pochodzenia, Igor Markiewicz. Spowodowało to zatrzęsienie przed nim drzwi do Moskwy, gdzie prowadził koncerty i klasę dyrygentury. Szkodę naturalnie ponieśli melomani i muzycy rosyjscy, Markiewicz bowiem dyryguje wszędzie, a klasę ma u siebie w Szwajcarii. Znalazł on jednak czas aby, jak Amalrik, opisać kompromitujące szczegóły tej zawstydzającej afery. Zrobił to nie w książce, a

w „liście otwartym”, wystosowanym do Ekateriny Furcewej, ministra od „kultury” w Moskwie. Markiewicz ujawnia kulisy sporu o Zwieriewa przy okazji wspaniałej obrony wiolonczelisty Roztropowicza, któremu władze sowieckie odebrały paszport. W ten sposób można by zamknąć kółko. Roztropowicz jest bowiem prześladowany za obronę — także w formie „listu otwartego” — Sołżenicyna, który bronił, także w „liście otwartym”, literatury rosyjskiej, w tym także i Amalrika.

Markiewicz, na szczęście, nie musi się obawiać zesłania na Syberię, gdzie zresztą mógłby obecnie spotkać Amalrika, który przebywa tam nie za sympatię dla abstrakcyjnego malarstwa, a za bardzo konkretną wątpliwość: „Czy ZSSR przetrwa do roku 1984?”. Czytelnicy *Kultury* znają tę książkę, wyszła ona bowiem niedawno w serii „Dokumenty”. Amalrik, jak wiadomo, dochodzi w tej niewielkiej pracy do wniosku, że chyba nie przetrwa, albowiem zanim przyjdzie ów orwellowski rok, to Chińczycy załatwią sprawę.

Żółte niebezpieczeństwo czy białe?

Jest to streszczenie książki Amalrika nieco brutalne, ale nader w tej chwili przydatne, albowiem wątpliwości młodego sowieckiego historyka załatwia odmownie stary amerykański dziennikarz. Harrisona Salisbury'ego, poza tematem jego książki, łączy z Amalrikiem także i to, że obaj byli na Syberii, prawie w tym samym czasie choć nie w tym samym charakterze. Salisbury jest mianowicie jednym z nielicznych dziennikarzy zagranicznych, któremu pozwolono zwiedzić Syberię. Zwiedzić, a nie odwiedzić, i to nie raz, a kilka razy.

Otóż, Salisbury, długoletni korespondent *New York Times'a* w Moskwie odpowiada przecząco na pytanie zawarte w tytule swojej książki: „Chiny-ZSSR, wojna nieunikniona?”. Zanim jednak uzasadni ten pogląd, Salisbury daje, nie rewelacyjny zapewne dla specjalistów, ale ciekawy przegląd stosunków chińsko-sowieckich.

Większość z nas wie zapewne, że Stalin nie żywił specjalnych sympatii dla Mao, podobnie jak Chruszczow nie palił się z pomocą dla bratnich Chin. Mimo, iż na ewentualność otwartego konfliktu sowiecko-chińskiego Salisbury zapatruje się sceptycznie, to jednak notuje, że tradycyjny wyraźny brak sympatii przeszedł w ostry rytm przygotowań wojennych. Salisbury analizuje błędy, widoczne — jego zdaniem — w sowieckich założeniach strategicznych: przede wszystkim niedocenywanie siły chińskiego oporu oraz przecenianie skuteczności rosyjskiego *Blitzkrieg'u*. Niepokój Salisbury'ego rośnie w miarę ujawniania się elementów szowinizmu albo nawet anty-chińskiego rasizmu w sowieckim społeczeństwie.

Salisbury rozpatruje dwie ewentualności, które mogłyby zmienić bieg wydarzeń. Pierwsza — to rachuby na to, iż śmierć Mao

mogłaby, tak jak to się stało w ZSSR po śmierci Stalina, przynieść zmiany w strategii chińskiej. Druga — to jeszcze nie nadzieja, a na razie życzenie radykalnej zmiany polityki USA wobec Chin. Podstawową przesłanką Salisbury'ego jest w tym miejscu przestroga, iż Zachód nie ma nic do zyskania na konflikcie zbrojnym między Moskwą a Pekinem.

Poza naturalnie wyjątkowo obfitą porcją „brudnych” opadów radioaktywnych. Perspektywa tym bardziej niemiła, że jest rzeczą wykluczoną, aby w ewentualnym konflikcie chińsko-sowieckim reszta świata, a przede wszystkim Stany, mogły pozostać na uboczu i zajmować się pracą w ogródku.

W każdym razie zanim Rosjanie podejmą decyzje o historycznym znaczeniu warto aby poznali bliżej nie tylko opinię Harrisona Salisbury, ale także filozofię przeciwnika. Ukazał się właśnie w Brukseli nowy tomik wybranych myśli Mao. Jest w nim także pewna myśl na temat strategii czy taktyki. Mao myśli mianowicie tak:

„Każdy z nas walczy na swój sposób. My waleczymy gdy jesteśmy pewni zwycięstwa. Jeżeli nie mamy tej pewności, to się wycofujemy”.

W świetle tej maksymy, warto się zastanowić nad faktem, że Chińczycy bili się już kilkaset razy wzdłuż rzeki Ussuri i w innych punktach granicy sowieckiej w Azji, natomiast Stanom Zjednoczonym przeciwstawiają, od czasów Korei, już tylko poważne ostrzeżenia, które na dodatek przestali nawet liczyć.

Czy warto się buntować?

Wspomniana wyżej książeczka zawiera jeszcze jedną myśl przydatną w naszej dzisiejszej kronice:

„Marksizm — rzecz przewodniczący Mao — zawiera wiele zasad, które w ostatecznym rachunku sprowadzają się do jednego zdania: racja jest po stronie zbuntowanych”.

Zanim jeszcze sam Mao poznał eksperymentalnie, tj. w stosunkach z ZSSR, wartość tej maksymy, inni już spróbowali. Pierwszym który się zbuntował przeciw ZSSR a mimo to żyje, jest chyba Tito. Władimir Dedijer, były partyzant, dziennikarz, dyplomata, polityk, autor pierwszej biografii Tito, opublikował właśnie na Zachodzie swoją wersję konfliktu Tito-Stalin. Dedijer jest obiektywnym historykiem, tym bardziej, że od afery Džilasa stracił kontakt z górą w Belgradzie.

Niewykluczone, że wydając teraz w Paryżu książkę o konflikcie z 1948 roku pt. „Wyzwanie Tity”, Dedijer chciał na swój sposób uczcić zbliżający się XXIV zjazd KPZS. W okresie kiedy sprawa stosunków między Belgradem a Moskwą jest znowu na warsztacie, taki *cadeau empoisonné* ma swoją wymowę. Tych wszystkich (a są tacy w najpoważniejszych gazetach), którzy zadają

sobie pytanie czy Tito jest zachwycony okolicznościami i momentem wydania książki Dedijera w Paryżu, chcę zawiadomić, że równocześnie ukazują się w prasie jugosłowiańskiej fragmenty wspomnień innego polityka z 1948 roku, Wukmanowicza-Tempo i że są one nie mniej kompromitujące dla rosyjskiego sposobu traktowania sojuszników niż wynurzenia Dedijera.

Nam, zaprawionym w bojach, Dedijer ma niewiele do zaofiarowania: kolonialne ceny surowców, satelickie towarzystwa mieszane, szantaż przy dostawach broni, penetracja agentów KGB do aparatu partyjnego i państwowego, itd. aż do znudzenia. Dla czytelnika mniej zorientowanego książka Dedijera jest jednak bardzo egzotyczna. Oto np. fragment rozmowy Stalina z Dżilasem w styczniu 1948:

Stalin: — „Rząd sowiecki nie ma żadnych planów wobec Albanii. Jugosławia może ją połknąć kiedy zechce”.

Dżilas: — „Nie ma mowy o politykaniu, chodzi o nawiązanie z nią serdecznych stosunków”.

Na co *Mołotow:* — „W porządku, na jedno wychodzi”.

Takich drobiazgów jest w książce sporo. Niewykluczone więc, że po ukazaniu się całości wspomnień Wukmanowicza, będziemy dysponować już prawie kompletną wiedzą o okolicznościach starcia pomiędzy Stalinem, usiłującym zsatelizować Jugosławię, a Tity, zdecydowanym nie poddać się, nawet za cenę wojny.

Z perspektywy historii widać, że — zgodnie z nauką Mao — i ten bunt się opłacił. Swą książkę o buncie Tity, Dedijer nie bez kozery zadedykował pamięci Jana Palacha, symbolowi losu kraju, który bez buntu padł ofiarą socjalizmu o nieludzkim obliczu.

$2 \times 14 = 14$

O mało znanym fragmencie zakończenia próby ucłowieczenia socjalizmu poucza nas obszerne sprawozdanie z obrad XIV zjazdu Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Bardziej uważnych czytelników zdziwi fakt, iż sprawozdanie z XIV zjazdu ukazało się — i to na Zachodzie — już teraz, chociaż sam zjazd zwołany jest dopiero na maj do Pragi.

Dziwić się jednak nie należy, albowiem jeden XIV zjazd już się odbył. Obradował on tuż po inwazji, w dniach kiedy Dubczek z towarzyszymi w kajdankach „rozmawiali” na Kremlu. Zjazd stanowił ostatni zorganizowany, choć nie gwałtowny i mniej dramatyczny od gestu Palacha, akord praskiej wiosny. Ponad 1.000 delegatów zebrało się w głębokim sekrecie w jednej z fabryk na przedmieściu Pragi, już po zajęciu miasta przez czołgi ZSSR. Stenogram z obrad nie mógł już naturalnie być ogłoszony w Pradze, a sam zjazd został przez Husakowskie kierownictwo uznany za nielegalny, niebyły, a jako taki wykreślony z krótkiego kursu historii partii.

Jiri Pelikan, jedna z najbardziej popularnych postaci okresu Dubczeka, b. dyrektor telewizji, obecny uchodźca, zachował taśmę magnetofonową z zapisem obrad. To co się udało odtworzyć, opublikował niedawno w Paryżu. Najbardziej rewolucyjne w tym komunistycznym kongresie było to, że choć tajny, reprezentował naprawdę naród, że odbył się bez kierownictwa (chwilowo w więzieniu), bez delegacji zagranicznych, bez napisanych i skontrolowanych przemówień. Zjazd potępił inwazję, ale obradując w warunkach głębokiej konspiracji, nie mógł zakończyć się formalną uchwałą. Zjazd sformułował właściwie jedynie serię pytań, przed którymi stoją do dziś ruchy komunistyczne.

Jedno z takich podstawowych pytań zadaje sam Pelikan. Zastanawia się on, czy można było uniknąć okupacji „gdyby Czechosłowacja była data do zrozumienia, iż będzie się bronić wszelkimi środkami, jeżeli podjęta zostanie próba zahamowania jej niezależnego rozwoju”.

Jest to, jak wiadomo, wątpliwość, która nurtuje światową demokrację. Mimo, iż trudno wyobrazić sobie przebieg wydarzeń, jakie nastąpiłyby gdyby Dubczek dał rozkaz obrony kraju „wzweleńskimi środkami”, to może szkoda, że książka Dedijera i myśl Mao o „racji zbuntowanych” nie ukazały się wcześniej. Gdyby je Dubczek znał, to nie jest wcale wykluczone, że Dedijer nie miałby komu dedykować książki.

Chociaż... Rodzi się przecież w tym miejscu refleksja, że przecież w grudniu 1970 zbuntowani robotnicy Gdańska, Gdyni i Szczecina, oraz zropaczone tkaczki z Łodzi, nie znali ani Dedijera, ani Mao... Chyba rzeczywiście nie w lekturze rzecz...

Uwaga, uwaga, nadchodzi!

Ale na takie pytania nikt już chyba odpowiedzi nie udzieli. Na krzyk rozpacz jest już za późno. Nie jest natomiast za późno na krzyk alarmu. Światu grozi katastrofa!

Angielski pisarz, Arthur Clarke, uprzedza i przestrzega: w roku 2.000 ludność krajów uprzemysłowionych wpadnie w neurastenię z powodu nudy, rozleniwienia i monotonii życia. Podstawowym problemem przyszłości nie są, według Clarka, przeludnienie, zagrożenie przyrody, głód czy wojny. Albowiem, za lat 30 maszyny elektryczne wykonywać będą 99 proc. pracy fizycznej i 95 proc. pracy umysłowej człowieka. W związku z tym pracować będziemy tylko 2 godziny tygodniowo i w tej sytuacji ludzkość, ta wysoko uprzemysłowiona, przymusowo bezrobotna, skazana będzie na zbiorową depresję i w ogóle koniec z nieróbstwa.

Ot, co! I czy warto się męczyć, buntować? Czy nie lepiej poczekać te głupie 30 lat. Zaprawdę, jak to zauważył pewien smutny humorysta, ludzkość nie wie ku czemu idzie, ale jest za to zdecydowana by dojsć tam jak najprędzej!

BRUKSELczyk

Sąsiedzi

Słowacja w XX wieku

Lubomír Lipták jest czołowym historykiem słowackim średniego pokolenia, współautorem makiety syntezy dziejów Czechosłowacji w II wojnie światowej („Odboj a revoluce”, Praha 1965), oraz kilku obszerniejszych prac monograficznych lub częściowych poświęconych problematyce zogniskowanej wokół wydarzeń lat 1938-1945.

Polecana niniejszym uwadze polskich czytelników praca Liptáka nosi szczególny charakter — jest próbą wyjścia poza granice tzw. „własnego warsztatu”, ograniczonego do zasięgu badań archiwalnych, z natury rzeczy wąskiego, choć precyzyjnego, w stronę refleksji historycznej, opartej o badania materiałowe również innych badaczy. Przecież tylko w ten sposób można odpowiedzieć na pytania rodzące się w społeczeństwie, które musi otrzymywać wnioski całokształtowe. Drugą cechą wyróżniającą metody badawczej Liptáka jest nowoczesne pojmowanie pojęcia „fakt historyczny”. W przeciwieństwie do nagminnej już tendencji, podnoszenia każdego wydarzenia do rangi faktu historycznego, dla recenzowanego autora faktem historycznym jest tylko to, co ma długotrwałe konsekwencje dziejowe. A jeśli tak, to faktami historycznymi są przede wszystkim zjawiska w sferze struktur ekonomicznych, politycznych, psychicznych, którym Lipták poświęca główną uwagę. Trzecią cechą warsztatu badawczego jest wnioskowanie na podstawie komparatyżacji zjawisk w skali historii powszechnej.

Rozdział pierwszy zatytułowany jest „Słowacja w Węgrzech”. Centralna teza tego rozdziału, stanowiąca punkt wyjścia dla dalszych rozważań sformułowana jest w sposób następujący: „Z pewną dawką uproszczenia można stwierdzić, że Słowacja stanowiła

Lubomír Lipták: *Slovensko v 20 storočí*, Bratislava, 1968, str. 365 + 3 nlb.

jakiś teren przejściowy: wyraźnie zacofana w stosunku do rozwiniętych krajów Europy Zachodniej i Środkowej, bynajmniej nie należała do najbardziej zacofanych rejonów Europy Wschodniej. Podczas gdy kraje czeskie były czymś w rodzaju najbardziej wysuniętego na wschód przyczółka zachodniej kapitalistycznej cywilizacji przemysłowej, ale znajdowały się troszeczkę za jej czołówką, Słowacja tworzyła jak gdyby zachodnią awangardę tej biedniejszej części Europy, przy czym wnosiła się o szczebelek wyżej w rywalizacji przemysłowej” (str. 11).

Na Słowacji poziom oświaty był co prawda niższy niż w Czechach, gdzie na początku stulecia nie istniał już analfabetyzm, na Słowacji umiało czytać i pisać tylko 70 % dwudziestoletnich mężczyzn. Ale jednocześnie w Rosji umiejętność tę posiadał tylko co piąty rekrut, w Rumunii co dziewiąty.

Literatura ostatnich lat wysuwa tezę, że Słowacja była bardziej rozwinięta gospodarczo niż przeciętnie Węgry. Lipták przeciwko temu oponuje. Co prawda na Słowacji wytapiano 1/4 węgierskiego żelaza ale wyrabiano tylko 4,1 % maszyn itd. Najbardziej drastyczne liczby: wyrabiano 53,7 % papieru ale tylko 1,9 % krajowej produkcji poligraficznej — Słowacja była nikłym producentem dóbr kulturalnych.

Była od wieków rejonem skąd ludzie emigrowali. Pod koniec XIX wieku w Budapeszcie mieszkało cztery razy więcej Słowaków, niż miała ludność Żiliny! W latach 1871-1914 wyemigrowało na stałe do USA pół miliona ludzi. Liczba potężna, jeżeli zważyć, że w 1900 roku na Słowacji mieszkało 2.780 tysięcy. W latach 1850-1900 ludność jej wzrosła o 15,2 %, ludność Węgier bez Słowacji o 51,3 % (str. 15).

Jednym z centralnych problemów słowackich był proces madyaryzacji (stosowanej również i do innych narodów w obrębie korony św. Stefana), który rozwinął się wraz z kształtowaniem się nowych stosunków gospodarczych: „...nad całym społeczeństwem słowackim ciążył cień, znak zapytania w sprawie przysłości Słowaków w tym nowym świecie” (str. 14). Proces wynaradawiania dokonywał się poprzez „...deformowanie przemocą struktury społecznej narodu...” (str. 16). Struktura ta rzeczywiście stawała się nienormalna. Wśród wielkich posiadaczy ziemskich (ponad tysiąc morgowych), władających 36 % ziemi, 10 przyznawało się do słowackiego języka ojczystego, 678 do węgierskiego, 70 było Niemcami.

Najbardziej ostrym jednak problemem była sterylizacja z inteligencji. W 1910 roku Słowacy stanowili ok. 10 % ludności Węgier, ale wśród 230 tys. zatrudnionych w służbie publicznej, urzędach i wolnych zawodach było tylko 2.911 Słowaków. Z tego jednak połowę (1.423) stanowiły akuszerki. Wśród 6.185 osób zatrudnionych w administracji państwowej na Słowacji było tylko 154 Słowaków. W 1898 roku było tylko 63 studentów tej narodowości, mimo, że na terenie Słowacji istniało kilka wyższych uczelni.

Madyaryzował aparat administracyjny, sądy, szkoła, potrzeba znalezienia zatrudnienia, w wielu wypadkach zwykłe karierowi-

czostwo, ale nie tylko te czynniki. Opóźnienie rozwojowe, wątpliwość intelektualna własnej kultury, szczupłe ramy własnego narodu „...rozdzieli nieustannie pragnienie wyjścia poza własne ramy, pragnienie radykalnego rozwiązania uczucia peryferyjności poprzez jednoznaczne przyłączenie się do czegoś, co już jest gotowe, sprawdzone, co jest nieporównywalnie dojrzalsze niż to, czym może pochwalić się własny naród” (str. 23-24). Teza ważna bo jest to zjawisko nie tylko słowackie, istniało bowiem w całej Europie Wschodniej i Środkowej.

Na marginesie tego chciałbym zauważyć co następuje: zbieżność pewnych elementów struktur węgierskich i polskich oraz płynące stąd możliwości komparatystyki zostały zauważone już dawno i stały się nawet źródłem anonimowego porzekadła o pobratymstwie psychicznym. Zwracał uwagę, badając w 1921 roku na pokrewieństwo struktur społecznych Jan Baudoin de Courtenay. Niestety, problemy te nie były — jak dotychczas — przedmiotem dociekań naukowych. Nie zamierzając nawet anonsować całego gąszczy problemów, chciałem zwrócić uwagę na jedno: Problemy narodowościowe Węgier i Polski były do siebie zbliżone. Na przestrzeni wieków Węgrzy asymilowali warstwę feudalną i rodzącą się inteligencję niemiecką, słowacką, rumuńską, chorwacką, podobnie jak Polacy — niemiecką, ukraińską, litewską, białoruską. Nie nastąpiła asymilacja warstwy chłopskiej.

Madiaryzacja Słowacji co prawda nie powiodła się, mimo wszystko, ale:

„...niepokojące było to, że niepowodzenie to [...] było wynikiem czynnika, który w związku z rozpoczynającą się industrializacją tracił na znaczeniu. Był to spór zamkniętych w zasadzie w sobie społeczeństw wiejskich, gdzie wysiłki wynaradawiające załamywały się nietyle wskutek świadomego oporu, ile w wyniku nikłych więzi z otocznym światem i w wyniku samowystarczalności kultury wiejskiej, animowanej przez tradycyjne źródła ludowe uzupełniane przez kościół” (str. 19).

Dodam od siebie, że tu tkwi klucz do zrozumienia specyfiki słowackiego życia politycznego, zarówno w okresie przynależności do Węgier jak i w okresie międzywojennym. Lipták wysuwa tezę, której stanowczo brakowało mi podczas toczonej się w 1966 roku na łamach tygodnika *Kulturny život* drastycznej dyskusji na temat hlinkowców. Psychika narodowa, ujawniająca się w nurtach politycznych, jest ostatecznie strukturą historyczną, bynajmniej nie immanentną, choć bardziej trwała niż źródła z której się wywodzi.

Tradycyjnym dziewiętnastowiecznym stronnictwem była Słowacka Partia Narodowa. Była to partia swoista:

„...garstka osamotnionych inteligentów słowackich przez dziesiątki lat twardego, z uporem odmawiająca uznania 'realności' hegemonii węgierskiej, odporna na kuszenia i pogróżki, dająca się zamykać i karać, z godną podziwu wytrwałością stojąca na swoim” (str. 37).

Z tej partii wywodziły się w istocie rzeczy wszystkie dwudzie-

towieczne ruchy słowackie, lecz sami narodowcy przez bieg życia byli jako grupa polityczna usuwani w cień.

Przedstawiając ruch socjalistyczny „...pierwszy z masowych słowackich ruchów politycznych” autor referuje znaną i w Polsce syntezę Miloša Gosiorovskiego („Dejiny slovenského robotníckeho hnutia”, Bratislava 1956). Naszemu czytelnikowi trzeba przypomnieć tylko, że był to najsilniejszy pod względem liczebnym ruch, że nakłady prasy socjalistycznej były ośmiokrotnie wyższe niż nakłady prasy partii narodowej. Ale ruch ten bardzo powoli emancypował się organizacyjnie z węgierskiej socjal-demokracji, nie obcej tendencjom co najmniej pan-madiarystycznym.

Słowacka Partia Ludowa („hlinkowcy”, „ludacy”), założona w 1913 roku, uprzednio przez lat dwadzieścia inkubowała się w łonie identycznego stronnictwa węgierskiego, później w Słowackiej Partii Narodowej, stanowiąc jej skrzydło katolickie (wcześniejsze ruchy słowackie nosiły przeważnie ewangelicki charakter). Wodzem partii był młody ksiądz, Andrej Hlinka,

„... w charakterze i losach politycznych którego zostały jak gdyby zagęszczone wprost wszystkie cnoty i wady słowackiego charakteru narodowego” (str. 32).

pozytywnym programem tej partii, w embrionalnym okresie liberalnej i walczącej o prawa narodowe, stopniowo stawał się monarchizm, kult dynastii habsburskiej, klerykałizm katolicki, negatywnym — nienawiść do „postępców”, socjalistów, klasowych ruchów chłopskich oraz antysemityzm.

„Taką degradację ruchu ludackiego — stwierdza Lipták — można względnie łatwo wytłumaczyć ówczesnymi politycznymi koncepcjami kościoła. Trudniej zrozumieć, dlaczego partii tej udało się utrzymać tak długo pozycję najsilniejszej partii słowackiej. Sam katolicyzm większości (70 %) Słowaków nie jest wystarczającym wytłumaczeniem, gdyż chłopi chorwaccy nie byli mniej religijni a jednak dominowała tam partia nie-konfesjonalna, o programie socjalno-rolniczym, a w swych początkach nawet umiarkowanie antyklerykalna” (str. 33).

Przyczyny — zdaniem Liptáka — należy szukać w taktyce partii ludowej oraz w braku ruchu alternatywnego. Ta odpowiedź wydaje mi się niepełna. Moim zdaniem, przyczyn należy w pierwszym rzędzie szukać w ówczesnej społecznej i psychicznej strukturze społeczeństwa słowackiego, o czym zresztą, w ślad za Liptákem, pisałem nieco wyżej.

Trzeci prąd polityczny, agrarnej drobnoburżuazyjnej demokracji, przed wybuchem wojny nie stworzył własnej partii. Aspirując do hegemonii, ruch ten, z dr. Milanem Hodzą i Vavro Szrobarem na czele nie chciał ukonstytuować jako partia jedna wśród kilku.

Istotną cechą słowackiego życia narodowego była konieczność szukania oparcia ideologicznego u silniejszych. Stąd rusofilizm pokolenia Sztura, o dziwnych kontynuacjach w okresie II wojny światowej, stąd czechofilizm ruchów demokratycznych.

Rozdział II nosi tytuł „Słowacja a I wojna światowa”.

Jedną z wielkich koncepcji powstałych w toku i w wyniku wojny była myśl stworzenia wspólnego państwa Czechów i Słowaków. O ile dla Czechów było to przede wszystkim pragnieniem odbudowania państwa, o tyle dla Słowaków oznaczało to

„krok całkowicie nowy, rozejście się z krajem i narodami, z którymi byli jak najściślej związani tradycją, kulturą, obyczajowością, z którymi nie byli oddzieleni ani granicą historyczną ani wyraźną miedzą etnograficzną” (str. 55).

Dlaczego koncepcja niepodległości Czech zawierała również myśl wyrwania Słowacji spod panowania Węgier? Oczywiście, wielką rolę odgrywało pobratymstwo, tradycyjne kontakty, współczucie dla „młodszeo, uciskanego brata” (str. 55). Nie były to jednak wystarczające czynniki. Lipták jest przeciwko tradycyjnemu eksponowaniu czynników ekonomicznych — czeskie inwestycje na Słowacji były niewielkie, mniejsze niż w innych częściach monarchii, natomiast dużą wagę przywiązuje do logiki położenia geograficznego. Bez Słowacji, państwo ograniczone do ziem etnicznie czeskich, byłoby najśabsze w całej Europie Środkowej.

Dla Słowaków dążenie do wspólnego państwa było wyrazem słabości, niemożliwości innego wyzwolenia się. Dążenia niepodległościowe słowackie pojawiają się stosunkowo późno. Przed wojną polityka słowacka nastawiała się na kroczenie „czeską drogą” stopniowej ewolucji. Charakterystyczne, że z koncepcją niepodległości wcześniej wystąpili działacze emigracyjni w Stanach Zjednoczonych niż działacze krajowi (porozumienie w Cleveland z 22. 10. 1915 r.). Kraj działał wolniej, wzrost aktywności był w dużej mierze owocem rozkładania się potęgi Węgier pod koniec wojny, objawiającego się m.in. buntami żołnierzy, w tl. słowackich.

Słynne aforystyczne zdanie Hlinki, że „tysiącletnie małżeństwo z Węgrami nie udało się, musimy się rozwieść” (dziwna paralela w ustach tak katolickiego przywódcy!), zostało wypowiedziane dopiero 24 maja 1918 roku pod wpływem strajków, manifestacji pierwszomajowej jak i wieści o bardziej zaawansowanych ruchach wolnościowych innych narodów.

Ukonstytuowanie się Słowackiej Rady Narodowej i zdeklarowanie niepodległości nastąpiło 30 października 1918 roku w Turczańskim Martinie. Deklaracja ta i jej załącznik poufny są po dzień dzisiejszy przedmiotem dyskusji. Lipták chyba słusznie odnosi się ze sceptycyzmem do naukowej płodności tej dyskusji, interesują go sprawy bardziej nomotetyczne. Dla zapoznania polskiego czytelnika warto dodać, iż w deklaracji tej tkwiło zdanie, iż „Naród słowacki jest częścią językowo i kulturalno-historycznie jednolitego narodu czechosłowackiego”. Nie było to sformułowanie zbyt precyzyjne i ścisłe w jakimkolwiek bądź członie merytorycznym. Faktem jednak jest, że w momencie układania rezolucji takie było przeświadczenie u jej autorów, z Hlinką włącznie.

Przejsie od niepodległości deklarowanej do faktycznej nie było jednak sprawą prostą i oczywistą. Słowacja była w innej sytuacji niż Czechy i Chorwacja (a od siebie dodajmy również: Polska lub Galicja Wschodnia), gdzie stopniowe przejmowanie władzy i budowanie własnej odbywało się już przed ogłoszeniem niepodległości. Co prawda na początku listopada przez kraj przetoczył się wielki ruch chłopski, ale ruch ten wywołany głodem, anarchiczny w charakterze, lokalny w zasięgu, nie wykazywał tendencji państwowo-twórczych. Powstawały rady narodowe, ale większość z nich podporządkowała się Budapesztowi.

Oddzielenie Słowacji od Węgier odbywało się na mocy decyzji Ententy poprzez wprowadzenie oddziałów czeskich legionów. Był to przejaw słabości

„... słowackiej polityki burżuazyjnej, która co prawda stanęła w październiku na czele akcji narodowo-wyzwoleńczej, ale nie miała siły doprowadzić jej do końca, [...] co później przez dwadzieścia lat wpływało na stanowisko słowackich reprezentantów politycznych w stosunku do burżuazji czeskiej” (str. 81).

Lipták dość szeroko analizuje problemy Słowackiej Republiki Rad. Powstała rzeczywiście przy pomocy węgierskiej, ale

„... na świecie istnieje wiele państw, których powstanie bez pomocy zewnętrznej nie byłoby możliwe” (str. 88).

Inną rzeczą jednak jest, że SRR była w dziejach narodu epizodem, nie ze względu na krótkotrwałość, ale dlatego, że

„... do dziś nie stała się częścią ogólnonarodowej historycznej świadomości”.

Kolejny, trzeci rozdział poświęcony jest „Słowacji w Czecho-słowacji, zyskom i stratom”. Pierwszą i główną konsekwencją niepodległości było „zesłowaczenie Słowacji” (str. 97). Był to „... proces niewątpliwie demokratyczny i postępowy”. Nastąpiły zmiany prawne sięgające w głąb życia społecznego: republika zamiast monarchii, skasowanie przywilejów stanowych, równouprawnienie obywateli w tl. kobiet, o wiele dojrzsalsze ustawodawstwo socjalne. Praktyka odbiegała od prawa,

„... nawet najlepszy znawca historii okresu nie zna przypadku, by zandarmi z karabinami gorliwie wymuszali na fabrykantach spełnienie uprawnionych żądań strajkujących robotników” (str. 100).

Na Słowacji w okresie dwudziestolecia nastąpiło kolosalne ożywienie życia społecznego i politycznego. Ale sympatie polityczne były dość niestabilizowane. Partie socjalistyczne w wyborach 1920 roku zdobyły niemal połowę głosów, ale w 1925 roku już tylko 22,6%. Najpotężniejszą partią stali się ludacy (17,5% w 1920 r., 34,4% w 1925 r., 28,3% w 1930 r., 30,7% w 1935 r.). Przytoczone w nawiasie liczby staną się jeszcze wymowniejsze,

jeśli uświadomimy sobie, że odsetek wyborców słowackich głoszących na hlinkowców był jeszcze wyższy, gdyż nie mieli zupełnie głosów węgierskich, żydowskich i niemieckich.

Ważnym zjawiskiem politycznym było to, że wszystkie niemal rządy czechosłowackie, dysponując zawsze poparciem większości w Czechach, na Słowacji dysponowały poparciem tylko mniejszości.

Demokracja polityczna przyczyniała się do rozwoju. Gorzej było w sferze ekonomiki. Imrich Karváš pisał w 1935 roku:

„Liberalistyczna zasada wolnej konkurencji... była dla przemysłu słowackiego katastrofą, albowiem do walki konkurencyjnej przystąpiły elementy niehomogeniczne, gospodarczo słabszy musiał przegrać” (str. 109).

W zdaniu tym widzimy odbłask problemów nurtujących słowackich ekonomistów i polityków po dzień dzisiejszy. Faktem jest, że zatrudnienie w przemyśle w 1926 roku wynosiło 63% w porównaniu z 1914 rokiem. Nie było to wynikiem celowego procesu dewastacyjnego, jak sądzili niektórzy słowaccy publicyści, Lipták zdecydowanie stoi na stronie tych, którzy widzą destrukcyjną rolę żywiowości gospodarczej.

Czy Słowacja przeżywała okres degradacji gospodarczej? Lipták uważa, że:

„... gdybyśmy wnioskowali z 'klasycznych' danych o rozwoju gospodarczym, byłyby to okres największych strat” (str. 121).

W istocie jednak był to okres systematycznej, choć niegwałtownej urbanizacji, powstawania stowarzyszeń gospodarczych, rozwoju systemu kredytowego, pełnego rozwoju szkolnictwa, wprowadzenia języka do szkół i urzędów, powstawania własnej warstwy inteligentnej i grup intelektualnych. W 1934 roku Słowacy zajmowali stanowiska starostów w 62 z 77 powiatów, 1.002 naczelników gmin (z 1.234), na kolejach pracowało 14.564 Słowaków, 6.384 Czechów, 1.382 Węgrów itd. Rozwijała się własna burżuazja, prężna i zachłanna, choć ekonomicznie i organizacyjnie o wiele słabsza niż czeska.

To bynajmniej nie likwidowało tzw. kwestii słowackiej, lecz odwrotnie, napełniało ją nową treścią, coraz drastyczniejszą. Dylemat okresu Lipták określa zwrotem „Patronat lub równoprawnienie?”. Dominująca w Czechach koncepcja wielkoczeska negowała istnienie narodu słowackiego. Jej zwolennicy uważali, że:

„zesłowacczenie Słowacji po przewrocie było błędem, konserwującym różnicę podobną do tych, które istniały w monarchii” (str. 124).

Zdaniem autora była to analogia „węgierskiej” koncepcji rozwiązania kwestii. Z założeń teoretycznych wywodziła się cała gama teorii i praktyk, znanych pod nazwą politycznego czechosłowakizmu.

Moim zdaniem, Lipták nie bierze pod uwagę dwóch czynników. Pierwszy, to proces formowania się narodu słowackiego, bynajmniej nie zakończony w 1918 roku, co do czego zgadza się przynajmniej większość autorów, niezależnie nawet od przynależności politycznej i do której to tezy Lipták też przecież dostarcza znakomitym materiału ilustracyjnego. Drugi czynnik jest historyczną konsekwencją pierwszego. Kształtowanie się narodu słowackiego odbywało się fazami, przy czym granice poszczególnych faz są etapami rozwoju poczucia odrębności. Jedną z pierwszych to świadomość odrębności od Węgrów. Ale poczucie odrębności od innych narodów słowiańskich, zwłaszcza od Czechów następowało wolniej i później i po dzień dzisiejszy nie jest pełne. Koncepcji jednolitego narodu czechosłowackiego hołdowała zarówno duża część działaczy wczesnego odrodzenia narodowego jak i bardziej rozwiniętej fazy życia narodowego (Kollár). Ewolucję poglądów młodego Władysława Clementisa przedstawił przekonująco J. Rozner („Davisté a jejich doba”. Praha 1966). A przecież Clementis był potomkiem kilku pokoleń wybitnych bojowników słowackich i miał prawo uważać się za ich spadkobiercę. M. R. Štefánik chyba zdawał sobie sprawę z odrębności Słowaków, ale był rzecznikiem czechosłowakizmu, wychodząc z założenia, że w nim tylko spoczywa ratunek narodu.

W 1966 roku toczyła się na Słowacji zaciekle dyskusja o zacięciu politycznym na temat genezy ruchu ludaków. Niektórzy dyskutanci stali na stanowisku, że był on reakcją na praski centralizm. Lipták stwierdza, że:

„... ruch autonomistyczny w jakiejś postaci powstał by wcześniej czy później, niezależnie od tego jaki byłby rząd i jakie byłoby jego postępowanie w stosunku do Słowacji; ruch ten byłby wywołany przez prosty fakt, że Czechy nie są Słowacją, a Słowacja nie jest Czechami. Problemem [...] nie jest to, że powstał autonomizm słowacki, [...] ale to, że nosił reakcyjny w zasadzie charakter” (str. 133).

Innymi słowy, autor zadeklarował się po stronie też M. Hübla.

Budził zainteresowanie punkt wyjścia do analizy problemów ruchu komunistycznego okresu międzywojennego. Ruch ten na Słowacji

„... opierał się o kilka tysięcy członków, którzy w latach dwudziestych mieli przeciętnie 20-25 lat, 85-90% z nich miało tylko wykształcenie podstawowe, z małymi wyjątkami wszyscy byli robotnikami, dniówkowcami wyczerpanymi codzienną pracą, bez możliwości opanowania i dociekania recept na rozwiązanie bolączek najrozmaitszych warstw i grup... bez przygotowania teoretycznego i politycznego a więc i możliwości rozwiązywania szerszych problemów” (str. 139).

Kwestia narodowa a zwłaszcza słowacka w KPCz (partia nosiła scentralizowany charakter) była rozumiana rozmaicie, w zależności od czynników koniunktury międzynarodowej.

Następny problem rozdziału to „Słowacja a koniec pierwszej

republiki". Tu autor koncentruje się na rozbijaniu stereotypów świadomości historycznej.

„Słowacka polityka w dniach Monachium nie odgrywała takiej roli, by wpływać na przebieg wydarzeń” (str. 152).

Jest to polemika z tezą Beneša o słowackim nożu w plecy. Słowackie partie mieszczańskie stały zgodnie w obozie kapitulantów i pod tym względem Hodža się nie różnił od ks. Tiso.

„Nawet między Beneszem i Tisą nie było wówczas zasadniczych różnic” (str. 152).

W 1938 roku, przed Monachium polityczna inicjatywa na Słowacji przechodzi w ręce hlinkowców. Jaka jest przyczyna zmiany układu sił? Autor na pierwszy plan stawia niechęć rządów praszkich do radykalnych posunięć:

„typowe cechy polityki republiki przedmonachijskiej, skąpstwo i tchórzliwość...” (str. 156).

Nie negując tych okoliczności, obawiam się, że wykład jest dość jednostronny. Nie otrzymujemy odpowiedzi na pytanie czy wymuszanie autonomii przez hlinkowców było działaniem na rzecz Niemców, dlaczego znaczna część społeczeństwa popierała w przeddzień Monachium współdziałających z henleinowcami faszystów słowackich. To nie jest bynajmniej nawrót do tezy Olšovskiego o narodzie obciążonym grzechem pierworodnym, chodzi mi o coś innego, o mechanikę myślenia politycznego ówczesnych Słowaków, którzy rozumieli bądź nie rozumieli że — używając słów Liptáka — toczy się walka o losy Europy i świata. Największe sukcesy hlinkowców nastąpiły po Monachium:

„...zdecydowanie ludu, wierność dla republiki, skutki niełatwego przeświadczenia o potrzebie obrony tego macoszego państwa zostały zniweczone doszczętnie poprzez kapitulację rządu po Monachium; odwrotnie, pod względem politycznym wygrała aktywność partii ludowej” (str. 155).

Tu leży źródło „układu w Żilinie”, w którym wszystkie partie, na żądanie hlinkowców podjęły zobowiązanie rozwiązania się bądź przystąpienia do stronnictwa aktualnych zwycięzców. Na ich rzecz działało i to, że Słowacja ocknęła się w obliczu ostrego niebezpieczeństwa ze strony Węgier. Pełne oderwanie się od Czechosłowacji przekraczało jednak plany hlinkowców — proklamowanie niepodległości nastąpiło pod przymusem, Sidor wręcz odmówił, posłusznym narzędziem okazał się Tiso, większość posłów opuściła gmach parlamentu z ponurymi uczuciami.

Rozdział IV poświęcony jest Słowacji podczas II wojny światowej. Problemy ekonomiczne zostały potraktowane z pewną dozą uproszczenia. Niewątpliwie, w czasie wojny nastąpiło jakieś obniżenie stopy życiowej, ale choćby ze świadectwa A. Rašli („Civilista v armáde”, Bratislava 1967) wiadomo, że było ono relatywnie

małe, a dla pewnych grup (posiadacze nadwyżek żywnościowych, aryzytorzy, kapitaliści, którzy pozbyli się konkurentów, awansowani urzędnicy i oficerowie) kompensowane koniunkturą. Ciekawie natomiast zostało przedstawione uzależnienie gospodarki słowackiej od Niemiec.

Najlepszą częścią rozdziału jest analiza ustroju państwowego i jego doktryny, zależności od Niemiec, procesu faszyzacji i niszczenia demokratycznych instytucji Republiki Czechosłowackiej, systemu wodzowskiego. Dużo uwagi poświęca antysemityzmowi, w którym wyładowała się:

„...wszelka brutalność niezaspokojonych ambicji mocarstwowych, znajdowało kompensację płaszczenie się przed niemieckim protektorem” (str. 311).

Pogromy, deportacje i udział w mordowaniu Żydów są dla Liptáka zasadniczym powodem, dla którego niesposób zgodzić się z poglądami o „liberalnym” wydaniu faszyzmu.

Ruch oporu rozpoczął się żywiołowo już w okresie autonomii. Brały w nim udział grupy postępowej młodzieży, nielegalna partia komunistyczna, członkowie rozwiązanych partii demokratycznych i socjalistycznych, organizacja b. legionistów, mniejszość czeska, grupy oficerów w armii.

Wielokrotnie cytowano przy rozmaitych okazjach zdanie Benesa, że Słowacja wkroczy do odrodzonej Europy dzięki jego zasługom i wstawiennictwu — Benes jeden z najbardziej zaawansowanych czechosłowakistów, o sprawach słowackich podczas II wojny miał pogląd nader jednostronny i to mimo dobrej informacji z kraju. Ruch oporu rozwiązywał więc

„...dylemat, czy Słowacja wstąpi do wyzwolonej Europy na własnych nogach czy też dostanie do niej przepustkę z litości” (str. 222).

Ciekawe, że Lipták broni autorów z wielu względów niepopuluarnej obecnie koncepcji „radzieckiej Słowacji” czy też „nadbaltyckiej drogi”, bowiem

„...ich wyteżona a niebezpieczna praca miała inny zasadniczy sens — stawiła tamy ideologii ludackiej i koncepcjom nazistowskim... przypominała, że istnieje inna przyszłość Europy i Słowacji...” (str. 229).

Czy w zdaniu tym troska o obiektywność nie przybrała przesadnego charakteru?

Powstanie słowackie, nie będąc wydarzeniem o randze światowej (istnieją podręczniki oraz syntezы II wojny, w których nie ma o nim nawet wzmianki), miało dla swego społeczeństwa znaczenie bardzo duże.

Rozdział V poświęcony jest okresowi powojennemu. Ta problematyka nie mieści się w ramach recenzji. Książka była pisana, gdy niesposób było mówić otwarcie tego, co o okresie powojennym się sądzi. Wkrótce przyszedł rok wolności, jedyna wiosna,

którą Czesi i Słowacy mieli od wielu lat. To spowodowało, iż poglądy Liptáka są ciekawe jako dowód omijania zakazów cenzury, nie jako praca naukowa.

W sumie jest to jedna z ważniejszych pozycji współczesnej myśli historycznej Słowaków.

Józef LEWANDOWSKI

W sowieckiej prasie

Czytając w tym miesiącu sowieckie pisma, starannie odnotowałem wszystko co pisano w nich o wydarzeniach w Polsce — o sytuacji w bratnim socjalistycznym kraju. Jaki obraz może mieć obywatel sowiecki o tym co dzieje się obecnie w Polsce, opierając się jedynie na informacjach swojej prasy?

Przede wszystkim informacja ta jest niezmiernie skąpa. O Polsce, jak i zresztą o innych „demoludach”, pisze się w prasie sowieckiej mało — raz na miesiąc pojawia się esej miejscowego korespondenta o kolejnych sukcesach, raz w tygodniu krótka wzmianka TASS'a — również o tych samych sukcesach. Ale w poprzednim miesiącu Polska jakby w ogóle zniknęła z mapy Europy. Jedynie szereg razy podawano informacje o wystąpieniach nowych wodzów. Zestawione przez TASS króciutkie informacje pojawiały się w tym samym brzmieniu w całej prasie centralnej. Z informacji tych wynikało, że Polska nadal idzie od zwycięstwa do zwycięstwa, uzyskując nowe poważne sukcesy. We wzmiance donoszącej o wystąpieniu Piotra Jaroszewicza, dotyczącej zniesienia grudniowej podwyżki, cen pisano: premier Polski Ludowej „zawiadomił o decyzji Biura Politycznego KC PZPR i Rady Ministrów powzięcia szeregu postanowień, zmierzających do dalszego poprawienia sytuacji materialnej mas pracujących, możliwej dzięki braterskiej pomocy ZSSR”. W drugim komunikacie można było przeczytać, że w Poznaniu „Tow. Gierek mówił o konieczności wyciągnięcia wniosków z rozwoju w poprzednim okresie”.

Sowieccy czytelnicy z zadowoleniem odkładają gazetę: wszystko jest jasne, w Polsce „dalsza poprawa” i „rozwój”. Nic dziwnego, że jak pisze *Prawda* z 28. lutego „polscy robotnicy, chłopci i inteligencja twardo podtrzymują linię partii”.



O sytuacji w Polsce piszą mało, za to dużo o sytuacji w Związku sowieckim. Ścisłej nie o obecnej sytuacji, ale o tej jaka

będzie za pięć lat, po wykonaniu planu, którego projekt ma być przedstawiony na XXIV zjeździe partii. „Dobre samopoczucie” — tak brzmi tytuł wstępnego artykułu *Prawdy*. Zaczyna się on dzielnie i wesoło: „Wy spieszcie do pracy w dobrym nastroju”. Głównym powodem tego dobrego nastroju jest nowy plan, obiecujący — według oświadczenia Breżniewa — „dalszą poprawę bytu narodu” (jak już wiemy „zarządzenia dotyczące dalszej poprawy bytu” zostały przyjęte również i w Polsce).

Ogłoszony projekt pięcioletniego rozwoju sowieckiej gospodarki narodowej wywołał zachwyt wśród zachodnich komentatorów. Wszyscy oni oświadczyli jednogłośnie, że polskie wydarczenia w ostatniej chwili zmusiły sowieckie kierownictwo do rewizji planu i przeniesienia punktu ciężkości na rozwój przemysłu lekkiego i usług dla ludności. Powodem tego rodzaju przypuszczeń jest fakt, że po raz pierwszy w historii sowieckich pięcioletek (nowa będzie dziewiątą z rządu) przewiduje się znacznie szybsze powiększenie produkcji towarów powszechnego użytku (o 44-48%) w porównaniu z wytwarzaniem środków produkcji (41-45%). Fakt ten jest rzeczywiście ważny bez względu na to, że jest jasne samo przez się iż środki przeznaczane na przemysł ciężki będą w cyfrach absolutnych — wielokrotnie większe od środków asygnowanych na zaspokojenie potrzeb ludności. Mam wrażenie jednak że nie należy przeceniać tego faktu. Takiej proporcji rozdziału środków rzeczywiście nigdy dotychczas nie było. Za to rozmów o konieczności polepszenia położenia społeczeństwa było więcej niż dużo.

W 1934 roku tow. Stalin osobiście wygłosił złote słowa, które i dziś brzmią niezmiernie aktualnie zarówno w ZSSR jak i w Polsce: „Nie miałyby sensu niszczyć kapitalizm w październiku 1917 r. i budować socjalizm przez szereg lat, jeśli nie uzyskamy tego, by u nas ludzie żyli w dobrobycie. Socjalizm nie oznacza bowiem ani nędzy, ani wyrzeczeń”. Stalin doszedł do wniosku, że „socjalizm nie oznacza nędzy i wyrzeczeń” 17 lat po rewolucji październikowej, właśnie w chwili, kiedy przygotowywał zabójstwo Kirowa i „wielkie czystki”. O konieczności poprawienia sytuacji społeczeństwa mówił Malenkov po śmierci Stalina, licząc na zajęcie miejsca wodza. O „gulaszowym komunizmie” mówił Chruszczow, umacniając swoje miejsce na tronie.

Obecnie o „dalszej poprawie” mówi Breżniew.

Nowy projekt planu pięcioletniego odznacza się skromnością celów — skromnością w zestawieniu z 8-mą pięcioletką. Tłumaczy się to tym, że widocznie 8-my plan pięcioletni nie został wykonany w ważniejszych gałęziach przemysłu, szczególnie w produkcji węgla, elektroenergii, stali, samochodów. Tylko produkcja obuwia przekroczyła plan, lecz niestety gatunek butów pozostawia dużo do życzenia.

W związku z opublikowaniem projektu nowego planu gazety zapełniły się artykułami o nowych zwycięstwach, nowych sukcesach, nowym wzroście dobrobytu. Sowieccy propagandyści nadal uważają obywateli sowieckich za ludzi, którzy nie pamiętają dziś,

co usłyszeli wczoraj. Jako nowe osiągnięcie socjalistycznej gospodarki chwali się projekt powiększenia zarobków robotniczych o 20 do 22% w okresie 5-ciu lat. Ale przecież miesiąc temu podano do wiadomości, że w poprzedniej pięcioletce płace robotnicze zwiększyły się o 26%. A do tego trzeba przecież liczyć się z możliwością niewykonania planu. Za szczyt lekceważenia czytelnika trzeba uznać wywiad, którego udzielił *Litieraturnoj Gazietie* zastępca kierownika Gosplanu w ZSSR — N. P. Gusiew. W wywiadzie mówiło się o najbardziej chorym miejscu sowieckiej ekonomiki — o gospodarce rolnej. Wszystko wygląda jak najlepiej — zapewnia Gusiew. W roku 1970 był największy urodzaj w historii sowieckiej gospodarki rolnej (nie podaje cyfr — widocznie chce nimi uradować zjazd, ale przypuszcza się, że zebrano około 185 mil. ton ziarna). W nowej pięcioletce przewiduje się 195 mil. ton ziarna co roku, ma to być uzyskane przez powiększenie zbioru z hektara o 4 cetnary (urodzaj powinien zbliżyć się do 20 cetnarów z hektara tj. cyfry zbliżonej do produkcji zacofanego indywidualnego gospodarstwa polskiego).

N. Gusiew z dumą podaje te imponujące cyfry, a zaraz potem oświadcza, że „dla pełnego, naukowego wyżywienia człowieka potrzebna jest tona ziarna”. A więc dla pełnowartościowego wyżywienia obywateli sowieckich nie tylko chlebem i kartoflami, ale także mięsem, mlekiem i tłuszczem, potrzeba jest około 240 mil. ton ziarna już w przyszłym roku!

Historię Związku Sowieckiego można by przedstawić jako historię magicznych formuł, pojawiających się jedna za drugą, które powinnyby z miejsca — tak jak w bajce — przenieść państwo do komunizmu. Stalin bardzo lubił takie formuły: „Technika decyduje o wszystkim”, „Kadry decydują o wszystkim”. Lubił również formuły magiczne Chruszczow: „Kukurydza decyduje o wszystkim”, „Ziemie dziewicze decydują o wszystkim”. Breżniew wysunął nową, bardzo nowoczesną formułę: „Sztuka kierowania decyduje o wszystkim”. We wszystkich pismach i gazetach pojawił się dział: nauka kierowania. Zapomniano o lenińskim hasle: Każda kucharka powinna umieć kierować państwem. Znaleziono zupełnie inne hasło lenińskie: „Każda praca kierownicza wymaga specjalnych kwalifikacji. Można być tegim rewolucjonistą i agitatorom i zupełnie złym administratorem”. W Moskwie utworzono specjalny instytut wychowujący specjalistów w dziedzinie kierowania. Kieruje się do niego inżynierów i dyrektorów przedsiębiorstw oraz ekonomistów.

Ale — jak pisałem już w swoim czasie — nie ulega wątpliwości, iż niemożliwe jest ściśle naukowe kierownictwo tam, gdzie nie ma swobodnej informacji, gdzie twórcza inicjatywa ma związane ręce i nogi.

Konflikt między „tęgimi rewolucjonistami — złymi administra-

torami” a specjalistami w dziedzinie naukowego kierownictwa jest nieuchronny.

Znów wracając do historii można przypomnieć, że w 1928 r. gdy przyjęto pierwszy plan pięcioletni, były dyskusje (można je usłyszeć i dzisiaj), że w warunkach szybkiego rozwoju technicznego kraju pierwsze miejsce i głos decydujący powinny należeć do techników.

Odpowiedzią był szachtyński proces w 1928 r., proces „Prompartii” w 1930-tym, rozstrzeliwania bez sądu najwybitniejszych rosyjskich bakteriologów, kierowników przemysłu żywnościowego. Słowo *wrieditiel* stało się synonimem „inżyniera” i „technika”. Partia pokazała „technokratom” gdzie jest ich miejsce.

Ma się rozumieć od tych czasów minęło 40 lat. Wiele zmieniło się w świecie. Nauka i technika odgrywają dziś rolę bez porównania ważniejszą. Ale partia — nie zmieniła się, została taka sama i równie zawzięcie strzeże swojej władzy.

Jest takie rosyjskie przysłowie: „Każdy mówi o tym co go boli”. Nasuwa się ono na myśl przy czytaniu sprawozdań ze zjazdów komunistycznych partii republik sowieckich. 15 republik, 15 zjazdów, 15 jednakowych raportów, napisanych całkowicie identycznie, tymi samymi słowami. Jeśli jednak przezwycięży się to ciągnące ciasto tych ogromnych artykułów, można odkryć, że za jednakowymi słowami, za sztampowymi zdaniem ukrywają się problemy charakterystyczne dla poszczególnych republik. W sprawozdaniu ze zjazdu kompartii Kazachstanu, graniczącego z Chinami, podkreśla się konieczność „wychowania narodu w duchu patriotyzmu”, na zjeździe tadżyckiej kompartii dużo uwagi poświęca się „walce z feodalnymi przeżytkami” — w Tadżykistanie ogromną siłę stanowi religia muzułmańska. I znów mówi się o patriotyzmie, ale tym razem na zjeździe kompartii Mołdawii, graniczącej z Rumunią. Nie wszystko układa się gładko w republikach bałtyckich. Ze sprawozdania z prac zjazdu kompartii Estonii widać, że główną troską pracowników partyjnych jest przede wszystkim religia, działalność Kościoła katolickiego, do walki z którym nawoływali uczestnicy zjazdu. Niepokoją też nastroje wśród inteligencji twórczej — „specjalnie odnosi się to do młodych pisarzy i pracowników sztuki”, którzy — jak mówi się w rezolucjach — „wymagają nieustannej uwagi partorganizacji”.

„Stała uwaga” — w przekładzie na język normalny oznacza codzienną kontrolę partii nad życiem i twórczością inteligencji.

Gdy za czasów Piotra I Rosja chciała nawiązać stosunki dyplomatyczne z Watykanem, okazało się, że w języku rosyjskim nie ma tytułu odpowiedniego dla rzymskiego papieża. Trzeba było

improvizować. Były wychowanek prawosławnego seminarium duchownego, Josif Dżugaszwili, stawszy się Stalinem, zachował lekceważący stosunek do Watykanu. Gdy kiedyś ktoś z zachodnich rozmówców wyraził pogląd, że należy liczyć się z papieżem, Stalin zapytał pobłaźliwie: „A ile on ma dywizji”.

Obecni władcy Rosji dobrze znają znaczenie Watykanu. Ostatnie lata były okresem ożywionych kontaktów dyplomatycznych między Moskwą a stolicą katolicyzmu. Paweł VI już dwukrotnie, w kwietniu 1966 roku i we wrześniu 1970 roku, przyjął sowieckiego ministra spraw zagranicznych Andrzeja Gromykę, a w styczniu 1967 roku przewodniczącego Rady Najwyższej, Mikołaja Podgornego.

W kwietniu 1970 roku odwiedził Moskwę Kardynał Willebrands reprezentujący Pawła VI na pogrzebie moskiewskiego patriarchy Aleksieja. W lutym 1971 przybył do Moskwy jeden z kierowników polityki zagranicznej Watykanu, Mgr Casarolli. Był on przyjęty przez zastępcę ministra spraw zagranicznych ZSSR, a następnie przez samego ministra Gromykę. Jedynie *Izwestia* odnotowały przyjazd do Moskwy przedstawiciela Watykanu.

Rozumie się samo przez się, że pismo sowieckie nie podaje żadnych informacji o przebiegu rozmów. Jednakowoż w ostatnich czasach można znaleźć w sowieckiej prasie wiele materiałów na tematy religijne. Sądząc po ożywieniu propagandy antyreligijnej (która niewątpliwie ma charakter mniej ordynarny i prymitywny niż w okresie Chruszczowa) można z całą pewnością powiedzieć, że kontakty z Watykanem nie mają wpływu na stosunek do religii w Związku Sowieckim. Trzeba tylko odnotować jedną charakterystyczną cechę. Związek Sowiecki to nie tylko państwo wielonarodowościowe, ale i wieloreligijne. Partia komunistyczna do każdej z religii odnosi się inaczej. Faworytem jest oficjalny kościół prawosławny. W piśmie *Woprosy istorii* (nr 9) czytamy:

„Po wielkiej rewolucji październikowej, prawosławna cerkiew rosyjska była zmuszona do poddania rewizji swojej niezmiennącej się od stuleci pozycji i przejścia na drogę modernizacji ideologii religijnej. Obecnie społeczne koncepcje prawosławia nie wykazują żadnych śladów dawnego związku cerkwi z samodzierzawiem i eksploatatorami. W ocenie zagadnień społecznych i w reakcji na nie, rosyjska cerkiew prawosławna stała się z biegiem czasu wcale radykalną”.

Kościół, które nie chciały — jak prawosławny — stać się „wcale radykalnymi” i „modernizować swojej ideologii” są prześladowane. Wśród tych „nieugiętych” w pierwszym rządzie znajdują się baptyści, wszystkie odcienie rosyjskiego sekciarstwa i Kościół katolicki. Aktywizacja stosunków między Moskwą a Watykanem nie odbiła się na stosunku władz sowieckich do katolicyzmu. Moskwa odnosi się życzliwie do polityki zagranicznej Watykanu, zarzucając mu w ostatnich czasach właściwie tylko jedną rzecz: podtrzymywanie syjonizmu. W książce Jurija Iwa-

nowa „Ostrożnie: syjonizm!”, która ukazała się w druku w kwietniu 1970 roku, powiedziano:

„Na często pojawiającej się na ekranach telewizyjnych sutannie Pawła VI kładzie się cień kardynała Watykanu, Agostino Bea, który w swoim czasie przeszedł z judaizmu na katolicyzm, aby móc wzmocnić sojusz kościołów judaistycznego i katolickiego”.



Wydawany w Paryżu „Zwiastun rosyjskiego chrześcijańskiego ruchu studentów rosyjskich” ogłosił niedawno kolportowane w „samizdacie” poufne pismo W. I. Lenina do członków politbiura, z lutego 1922 r., napisane w związku z tym, że w mieście Szuja wierni sprzeciwili się konfiskacie dóbr cerkiewnych. Lenin pisał:

„Jest dla nas niezbędne, by za wszelką cenę zabrać kosztowności cerkiewne w sposób najbardziej zdecydowany i szybki; w ten sposób możemy sobie stworzyć fundusz wartości setek milionów złotych rubli (należy pamiętać o gigantycznych bogactwach niektórych klasztorów i pustelni)... Musimy za wszelką cenę zdobyć dla siebie ten kapitał wartości setek milionów, a może być i kilku miliardów”.

Lenin proponuje wykorzystać chwilę (straszny głód w Rosji) dla konfiskaty cerkiewnych kosztowności a jednocześnie dla decydującego uderzenia w cerkiew. Proponuje przeprowadzić z „maksymalną szybkością i bezwzględnością” zniszczenie reakcyjnego duchowieństwa. Domaga się przeprowadzenia w Szuji procesu z „maksymalną szybkością” i to tak aby ten proces

„zakończył się nie inaczej jak rozstrzelaniem *bardzo dużej ilości* najbardziej wpływowych i niebezpiecznych reakcjonistów miasta Szuji, a w miarę możliwości nie tylko w tym mieście, ale również w Moskwie i szeregu innych ośrodków duchownych”.

Dla wzmocnienia swych argumentów Lenin cytuje „jednego mądrego pisarza jeśli idzie o problemy państwowe”, który mówi, że:

„jeśli jest niezbędne dla zrealizowania konkretnego politycznego celu uciec się do okrucieństwa, to trzeba to zrobić w sposób jak najbardziej energiczny i w jak najkrótszym czasie, gdyż długotrwałego stosowania gwałtu masy ludowe nie zniosą”.

Tym „mądrym pisarzem w zagadnieniach państwowych” był nie Marks a Macchiavelli, którego, nawiasem mówiąc, bardzo cenili najlepszy uczeń Lenina — Josif Stalin.

Jak należało się spodziewać, list Lenina nie zrobił na Zachodzie żadnego wrażenia. Nie pasuje on do mitu mądrego wodza rewolucji, kochającego dzieci i zdrową sztukę. Nawet znani „kremlinoznawcy” wyrazili wątpliwość, czy list jest autentyczny.

Z pomocą Leninowi przyszedł moskiewski miesięcznik *Oktiabr*. W pierwszych dwóch tegorocznych numerach ogłoszono tam po-

wieść ulubieńca KGB, Juliana Siemienowa pt. „Brylanty dla dyktatury proletariatu”.

Jest to niezwykle popularny w ostatnich latach typ powieści o bohaterkiej działalności czekistów, którzy przy pomocy prowokacji, szantażu itp. demaskują wrogów republiki sowieckiej. W tym wypadku czekisci bronią przed wrogami rewolucji i żulikami kosztowności skonfiskowanych w czasie rewolucji u arystokratów, a które stały się obecnie niezbędne dla uratowania władzy sowieckiej. W tej powieści znajdują potwierdzenie niezmiernie popularne w latach dwudziestych legendy o „carskich brylantach”, sprzedawanych za bezcen w Paryżu, w Warszawie i w Londynie. Siemienow opowiada jak to było w rzeczywistości, która — jak się okazuje — niewiele odbiegała od legend.

Znaczenie powieści polega jednak na czymś innym. Włączono do niej osobiste listy Lenina, z których wynika jasno jak wódz rewolucji starannie śledził sprawy dotyczące sprzedaży kosztowności za granicą, ich ochrony itd., itp. W jednym z listów, na przykład, podaje dokładne wskazówki: zaleca „zbudowanie specjalnych przegródek, szaf”, kładzie nacisk na „konieczność przeprowadzania nagłych rewizji”, stworzenie systemu „podwójnej i potrójnej nagłej kontroli — według wszystkich zasad sztuki kryminologicznej”.

W tych listach Lenin reweluje się jako faktyczny organizator technicznej działalności Cz.K. List o wydarzeniach w Szuzi jest naturalnym przedłużeniem tej niezwyklej troski Lenina o kosztowności, które uważa za własność dyktatury proletariatu.

Żadne okropności, żadne podłości nie wydawały mu się przesadne w walce o te kosztowności.



Jednoczesne ukazanie się jakiegokolwiek materiału TASS'a w *Prawdzie* i w *Izwiestiach* świadczy o znaczeniu, jakie przywiązuje się do tego materiału. W lutym rb. główne pisma sowieckie jednocześnie ogłosiły artykuł pt. „Przeszkolenie w szkołach 7-go maja”. Okazuje się, że w Pekinie miało miejsce zebranie kierowników tzw. „Szkół 7-go maja”. W tym szkołach, stworzonych w zabitych deskami, oddalonych prowincjach kraju, gdzie „w ciągu tysięcy nie stąpnęła noga człowieka i gdzie nie żyją nawet dzikie zwierzęta”, przeszkala się starych członków kompartii Chin, usuniętych przez kulturalną rewolucję. Słuchacze tych szkół muszą wykonywać ciężką fizyczną pracę, a w przerwach studiować myśli Mao. Wychowanie byłych partyjnych burokratów, rewizjonistów itp. odbywa się pod oficjalnym hasłem: „Jeśli wytarza się w błocie — serce stanie czerwone”.

Prawda i *Izwestia* z obłudnym oburzeniem notują, że zebranie przyjęło decyzję by „planowo kierować do tych szkół, do pracy fizycznej kadrowych pracowników partyjnych”.

Doskonale rozumiemy dlaczego ten pomysł nie podoba się sowieckiemu kierownictwu. W Związku sowieckim istnieją jeszcze

„głuche oddalone rejony”. Natomiast polscy funkcjonariusze partyjni nie mają powodu do obaw. Gdzież w Polsce można by stworzyć „szkoły 7-go maja”?

Polska jest niewygodnym krajem dla budowy socjalizmu. Dobrze, że przynajmniej jest trochę błota w „którym serce staje się czerwone”.

Adam KRUCZEK

Gen. Sikorski w prasie sowieckiej

W trzeciej części głośnej trylogii K. Simonowa „Sołdatami nie roždajutsa”, tj. w tomie „Poslednieje lieto”, drukowanym w odcinkach w *Znamia* Nr 6 i 7 (1970) jest ciekawy polonik. Bohater powieści, gen. Sierpilin, znajdujący się w szpitalu po wypadku samochodowym, rozmawia z doktorką:

— A co pan czyta? — zapytała. — Jakie tematy są panu teraz najpotrzebniejsze?

— Co potrzebne? Wojskowemu na moim stanowisku właściwie wszystko jest potrzebne. Od meteorologii do psychologii. Łatwiej określić co naszemu bratu nie jest potrzebne. A praktycznie... — położył przed nią książkę w szarej podniszczonej okładce. — Teraz na przykład kończąc czytać niejakiego Sikorskiego. Słyszała pani o takim?

— Konstruktor samolotów?

— Nie, Generał. Bił się z nami w czasie polskiej wojny, a potem był przewodniczącym pierwszego polskiego rządu emigracyjnego w Londynie. Następnie, gdy zaczęły się u nas formować polskie jednostki, przyjeżdżał do nas, aby się układać. A potem zginął pod Gibraltarem. Mówi się, że Anglicy go sprzątnęli, gdyż jakoby zbyt daleko wyszedł nam na przeciw. Tej ewentualności nie można wykluczyć.

Lekarka nie chciała dopuścić nawet myśli takiej ohydnej ewentualności, tym bardziej w czasie wojny, którą razem z Anglikami prowadzimy przeciw Niemcom. Lecz zamilczała. On na pewno wie lepiej, jeśli tak mówi.

— W trzydziestym czwartym roku, kiedy był odsunięty, napisał książkę „Przyszła wojna”. Tę właśnie. Generałowie w stanie spoczynku lubią pisać książki. Może i my, kiedy wyjdziemy ze służby czynnej, też zaczniemy — uśmiechnął się. — Książka niegłupia, nawet mądra. Dziesięć lat temu pisał w niej, że przyszła wojna będzie inna zupełnie niż wojna z 1914 roku, gdyż zjawily się nowe fakторы: bolszewizm i jego antyteza — faszyzm. I dlatego konflikt narodów będzie miał w tej wojnie charakter polityczno-socjalny — czego razem z panią jesteśmy świadkami od czterech lat. No i wiele innych spraw. Przekartkował książkę i zamknął ją. — O odrodzeniu manewru, o tempach ofensywy, o działaniu wojsk zmechanizowanych... Pisał między innymi, że dla Polski zbliżenie z Niemcami byłoby nie błędem, ale samobójstwem. To ciekawe czytać, jak ludzie stamtąd — z przeszłości — myślą o tej wojnie, która się toczy na naszych oczach. Tu, u was, w Archangielskim, dobra biblioteka. Aż godne to podziwu. Zachowały się takie rzeczy, o jakich nawet nie miałem wyobrażenia”.

Kraj**Aresztowanie cudzoziemca
według prawa PRL**

Przybysz zza granicy może szukać w obcym mu państwie ochrony wolności osobistej i innych podstawowych praw w czterech źródłach możliwych uprawnień.

Ogólnie uznane normy prawa międzynarodowego nakazują państwu pieczę prawną nad cudzoziemcami dopuszczonymi na ich terytoria. Układy międzypaństwowe precyzują i uzupełniają tę ochronę w poszczególnych wypadkach. Konstytucje zazwyczaj zawierają gwarancję podstawowych praw. Wreszcie — ochronę wolności osobistej winno zapewniać prawo pozytywne, ściślej — kodeksy postępowania karnego, w których w drodze historycznego rozwoju zrjonalizowany humanizm wypierał dowolność rządzących.

W rzeczywistości też sytuacja cudzoziemców zmienia się w miarę jak przekraczają granice państwowe. W każdym państwie jest różna. Obecnie większość państw traktuje ich prawnie na równi z własnymi obywatelami co do podstawowych praw (wyjąwszy oczywiście prawa polityczne). Jednak nadal istnieją państwa, które traktują cudzoziemców gorzej niż swych obywateli.

Polską Rzeczypospolitą Ludową należy zaliczyć do pierwszej grupy państw. Nie znaczy to jednak, że cudzoziemiec może bezpośrednio korzystać z istniejących norm prawa międzynarodowego, czy postanowień konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Nauka prawa i judykatura zajmują w Polsce stanowisko, że normy prawa międzynarodowego i układów międzypaństwowych wiążą państwa i ich organy tylko na zewnątrz, w stosunkach z innymi państwami, a nie wewnątrz państwa, w stosunku do indywidualnych osób. Normy te muszą być ogłoszone w postaci państwowych aktów ustawodawczych, ustaw lub dekrétów z mocą ustawy, aby mogły stać się źródłem uprawnień jednostek i obowiązków wobec nich Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Również postanowienia konstytucji z 22 lipca 1952 r. (Dz. U.

No 33 poz. 232) wraz z późniejszymi zmianami nie stwarzają indywidualnych uprawnień dla jednostki, których mogłaby dochodzić na zwykłej drodze sądowej, jak to ma miejsce w Stanach Zjednoczonych i innych państwach. Stanowią one raczej manifest polityczny i dyrektywy dla organów ustawodawczych, pozbawione sankcji prawnych. A dotyczący aresztowań art. 74 Konstytucji w rozdziale o podstawowych prawach i obowiązkach nie posiada zastosowania do cudzoziemców według wyraźnego brzmienia.

Przybyszowi zza granicy pozostaje więc tylko prawo pozytywne, konkretnie — obowiązująca procedura karna. Z dniem 1 stycznia 1970 r. uzyskał moc obowiązującą nowy kodeks postępowania karnego (wraz z nowym kodeksem karnym i kodeksem wykonawczym). Jest on wyrazem ponad dwudziestopięcioletniej ewolucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oraz wpływów ponad pięćdziesięcioletniego rozwoju prawnego w Rosji porewolucyjnej.

Rozważmy jaką pieczę co do wolności osobistej daje ten nowy kodeks cudzoziemcowi, przybyłemu zza granicy. Jak pociągnięta została linia współczesnego zrjonalizowanego humanizmu między uprawnionym interesem wymiaru sprawiedliwości a wolnością osobistą jednostki?

Oczywiście, rozważania o tymczasowym aresztowaniu według nowego kodeksu postępowania karnego zakładają z konieczności jako fakt podstawowy, że cudzoziemiec zza granicy znalazł się w konflikcie z prawem karnym obowiązującym w Polsce. Wzmagający się ruch samochodowy i nieuchronnie z nim związane wypadki, obowiązujące zawile ograniczenia dewizowe, różnice co do działań zabronionych w Polsce a za granicą sprawiają, że nikt nie może być wolny od ryzyka możliwości popadnięcia w konflikt z prawem. Oto ilustracja. Wiadomo jak rozpowszechniony jest wśród ludzi w ogóle, a osób pochodzenia polskiego w szczególności, zwyczaj krytykowania władz. Krytyka organów władzy państwowej, nawet jeśli jest oczywiście nieuzasadniona i nie oparta na prawdziwych faktach, jest prawem konstytucyjnym obywatela, a nawet każdego mieszkańca, w Stanach Zjednoczonych i innych państwach. Niekiedy uważana być może za nie stosowną, nigdy za przestępną. Natomiast według art. 271 § 1 nowego polskiego kodeksu karnego:

„Kto rozpowszechnia fałszywe wiadomości, jeżeli to może wyrządzić poważną szkodę interesom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”.

Cudzoziemiec zza granicy może znaleźć się w konflikcie z prawem karnym nie tylko wskutek działań dokonanych w czasie pobytu w Polsce. Gdy wchodzi w grę czyny skierowane „przeciwnie istotnym interesom politycznym lub gospodarczym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej” — cudzoziemcy odpowiadają karnie w Polsce także za działania dokonane za granicą, i to bezwarunkowo, bez względu na to że działania były prawnie dozwolone

w miejscu ich wykonania (art. 115 liczba 1 nowego kodeksu karnego).

Za inne działania dokonane za granicą cudzoziemiec może być pociągnięty do odpowiedzialności karnej w Polsce z polskiego kodeksu karnego, jeżeli działanie było przestępstwem również za granicą według prawa miejsca jego popełnienia (bliższe informacje w artykule autora pt. „Cudzoziemcy za granicą a nowy polski kodeks karny”. *Kultura* nr 7/262-8/263 z lipca 1969 r.).

Postanowienia nowego kodeksu postępowania karnego o tymczasowym aresztowaniu są w swym sformułowaniu identyczne dla cudzoziemców i dla obywateli polskich, jednak w treści i zasięgu tak rozległe, że pozwalają na tymczasowe aresztowanie w każdej sprawie karnej według uznania prowadzącego dochodzenie prokuratora, wyjąwszy sprawy o przestępstwa drobne, przeważnie popełnione z winy nieumyślnej.

Kto zarządza tymczasowe aresztowanie?

Przybysza zza granicy uderza fakt, że o aresztowaniu osoby podejrzanej decyduje nie sąd, nie korzystający z niezawisłości sędziego, lecz prowadzący dochodzenie prokurator, a więc urzędnik zobowiązany wypełniać polecenia swych przełożonych, bez względu na swe przekonania i poglądy prawne w danej sprawie. Prawo aresztowania przysługuje prokuratorowi od wszczęcia sprawy po przesłuchaniu podejrzanego aż do wniesienia aktu oskarżenia, a więc w ciągu dochodzenia i śledztwa (art. 210 nowego kodeksu postępowania karnego). Oznacza to, że o prawnym pozbawieniu wolności w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej decydują czynniki nie posiadające nawet formalnie niezawisłości sędziowskiej.

Zasada ta nie jest oryginalnym przyczynkiem twórców nowego kodeksu postępowania karnego. Wprowadzona została już do dawniej obowiązującej procedury karnej. Jest ona tworem Rosji porewolucyjnej, który został przeszczepiony do systemów prawnych wszystkich rzeczypospolitych ludowych i socjalistycznych, choć w różnych okresach czasu. O prawie prokuratora do zarządzania tymczasowego aresztowania mówi nawet konstytucja z 1952 roku w arty. 74 ust. 1.

Zasada ta jest wielkim krokiem wstecz. W istocie stanowi przekreślenie dorobku myśli prawniczej, osiągniętego w ciągu wieków zmagania rewolucyjnych i ewolucyjnych z arbitralnym pozbawieniem wolności przez sprawujących władzę wykonawczą.

Zasięg prokuratorskiego prawa aresztowania

Jakież istnieje ograniczenie tego prokuratorskiego prawa aresztowania zarówno cudzoziemców jak obywateli polskich? W jakich

wypadkach wręcz nie wolno prokuratorowi stosować tymczasowego aresztowania w dochodzeniu czy śledztwie?

Art. 217 2 nowego k.p.k. stanowi:

„W toku postępowania przygotowawczego tymczasowe aresztowanie nie może być stosowane, jeżeli przestępstwo zagrożone jest karą pozbawienia wolności najwyżej roku”.

Niewiele jest w nowym kodeksie karnym tego rodzaju przestępstw. Na ogólną liczbę 278 definicji przestępstw tylko 13 z nich przewiduje karę więzienia jednorocznego, jako najwyższą karę. Są to przestępstwa małej wagi, przeważnie popełnione z winy nieumyślnej.

Prokurator może więc zarządzić tymczasowe aresztowanie podejrzanych o jakikolwiek czyn z nowego kodeksu karnego, wyjąwszy sprawy o 13 przestępstw małej wagi. Nawet to nieznaczne ograniczenie prokuratorskiej władzy aresztowania odpada, gdy nie można ustalić tożsamości oskarżonego.

Ustawowe warunki tymczasowego aresztowania

Musi toczyć się dochodzenie karne, w którym podejrzany był przesłuchany w tym charakterze i to osobiście przez prokuratora prowadzącego dochodzenie czy śledztwo. Wystarczy jego ocena, że zabrane dowody dostatecznie uzasadniają, iż popełnił on przestępstwo.

Istnieją 4 alternatywne podstawy aresztowania (art. 217 nowego k.p.k.):

a) albo uzasadniona obawa, że podejrzany będzie się ukrywał, zwłaszcza wówczas gdy nie ma on w Polsce określonego miejsca zamieszkania lub nie można ustalić jego tożsamości,

b) albo uzasadniona obawa, że podejrzany będzie nakłaniał do fałszywych zeznań lub w inny sposób starał się utrudniać postępowanie karne,

c) albo gdy podejrzanemu zarzucono zbrodnię (czyn zagrożony karą więzienia co najmniej trzyletniego) lub działanie przestępne określone jako recydywa,

d) albo też gdy podejrzanemu zarzucono czyn którego stopień społecznego niebezpieczeństwa jest znaczny, a przez społeczne niebezpieczeństwo należy rozumieć niebezpieczeństwo „dla mas pracujących w okresie przejściowym do socjalizmu”.

Tak rozległe ujęte podstawy do aresztowania usuwają wszelkie trudności prawne prowadzącemu dochodzenie prokuratorowi co do istnienia podstaw do aresztowania cudzoziemca, zwłaszcza że cudzoziemiec zza granicy z reguły nie posiada w Polsce „określonego miejsca zamieszkania”.

Podkreślić należy, że kodeks nakazuje niezwłoczne uchylenie tymczasowego aresztowania, gdy ustają przyczyny jego zastoso-

wania. Prokurator ma również obowiązek nie stosować tymczasowego aresztowania, jeśli uważa, że wystarczą inne środki zapobiegawcze.

Wydanie nakazu aresztowania przez prokuratora jest w Ameryce wręcz nie do pomyślenia. Jest to wyłączna prerogatywa niezawisłego sędziego. Na straży wolności wszystkich mieszkańców Stanów Zjednoczonych, nie tylko obywateli, stoi czwarte i cztertnaste uzupełnienie do Konstytucji, stwarzające bezpośrednie uprawnienia dla wszystkich mieszkańców. Zgodnie z ich stosowaniem przez Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych do wydania sędziowskiego nakazu aresztowania konieczne jest uwiarygodnienie w sposób przekonujący dla sędziego, że popełniono przestępstwo i istnieją dostateczne podstawy do usprawiedliwionego przypuszczenia, że popełnił je właśnie podejrzany. Uwiarygodnienie następuje przez zaprzysiężone zaręczenie lub zeznania świadków, wykazujące okoliczności faktyczne, prowadzące do wniosku, że to podejrzany popełnił przestępstwo. Nakaz aresztowania bez zaprzysiężonego uwiarygodnienia powoduje bezprawność aresztowania ze wszystkimi tego konsekwencjami. Dowody znalezione podczas rewizji z okazji takiego aresztowania nie są dopuszczalne jako dowody winy na rozprawie. Celem tej sankcji jest zapewnienie, by policja ściśle stosowała się do przepisów prawa i nie usiłowała ich omijać w swej gorliwości.

Aresztowany na mocy sędziowskiego nakazu aresztowania albo tymczasowo zatrzymany przez policję w warunkach wykluczających możliwość uzyskania uprzedniego nakazu aresztowania, jest niezwłocznie stawiony przed sędzią, by w obecności swego obrońcy z wyboru lub urzędu oświadczyć, czy uważa się za winnego, czy nie. Jeśli aresztowany oświadczy, że nie uważa się za winnego, sędzia podejmuje decyzję o wypuszczeniu go na wolną stopę za kaucją. Jest konstytucyjnym prawem każdego mieszkańca Ameryki domaganie się, by kaucja nie była wygórowana (art. VIII uzupełnień do Konstytucji Stanów Zjednoczonych). Po jej złożeniu w postaci gwarancji specjalnie w tym celu istniejących instytucji aresztowany zostaje natychmiast wypuszczony na wolność i odpowiada z wolnej stopy na ewentualnej rozprawie. Tymczasowe aresztowanie na czas dochodzeń jest wydarzeniem zgoła wyjątkowym, stosowanym w nadzwyczajnych okolicznościach.

Jak długo może trwać tymczasowe aresztowanie?

Zarządzone przez prokuratora aresztowanie może trwać nie tylko tygodnie czy miesiące, lecz nawet lata, mimo swej ustawowej nazwy tymczasowego. Nie istnieje bowiem maksymalny, ustawą zakreślony okres dla trzymywania podejrzanego w więzieniu w trybie tymczasowego aresztowania.

O długości jego trwania decyduje znów prokurator prowadzący

dochodzenie, sam, bez decyzji sądu, na okres nie przekraczający 3 miesięcy. Prokurator wojewódzki może własną decyzją, bez sądu, przedłużyć okres tymczasowego aresztowania do 6 miesięcy. Dopiero dalsze przedłużanie okresu aresztowania zależy od decyzji sądu. Mianowicie decyduje o tym na wniosek prokuratora właściwy sąd wojewódzki, który może przedłużyć tymczasowe aresztowanie na dalszy okres oznaczony, niezbędny do ukończenia śledztwa (art. 222 nowego k.p.k.). Należy przyjąć na podstawie dotychczasowej judykatury Izby Karnej Sądu Najwyższego w Warszawie, że sądy wojewódzkie mogą dokonywać takich przedłużeń okresów tymczasowego aresztowania wielokrotnie, bez ograniczenia.

To postanowienie nowego k.p.k. jest krokiem wstecznym nawet w stosunku do uprzednio obowiązujących postanowień. Dotychczas bowiem jedynie w wyjątkowych wypadkach tylko Sąd Najwyższy mógł przedłużyć na czas ograniczony okres tymczasowego aresztowania na wniosek Prokuratora Generalnego, wykazujący dlaczego śledztwa nie można było zakończyć w terminie ze względu na szczególne okoliczności. Nowy kodeks uprościł sprawę prokuratorom, przekazując jurysdykcję sądom wojewódzkim, orzekającym na wniosek wojewódzkich prokuratorów.

Statystyki wykazują, że tymczasowe aresztowanie jest środkiem zapobiegawczym najczęściej stosowanym. Podejrzany nie posiada uprawnienia do zwolnienia za poręczeniem lub dozorem. Niezbędne jest, by prokurator uznał to za wystarczający środek zabezpieczający według swego uznania.

Czy istnieje zażalenie do sądu od aresztowania przez prokuratora?

Tak. Nowy kodeks postępowania karnego wprowadza takie zażalenia. Aresztowanemu przez prokuratora przysługuje zażalenie do sądu właściwego do rozpoznania sprawy (art. 212 § 2). Jest to duży krok naprzód. Dotychczas nie było odwołania do sądu od aresztowania przez prokuratora. Aresztowanemu przysługiwało tylko zażalenie do wyższego prokuratora, a więc od urzędnika mającego obowiązek wykonywania poleceń przełożonych do hierarchicznie wyższego urzędnika takiego samego rzędu.

W Stanach Zjednoczonych aresztowanemu przysługuje stałe prawo zażalenia do sądu na przetrzymywanie go w areszcie. Nosi to historyczną nazwę *writ of habeas corpus*. Na skutek tego zażalenia sprawujący fizyczny nadzór nad aresztowanym musi go natychmiast stawić we własnej osobie przed sędzią i wykazać dlaczego aresztowany został prawnie pozbawiony wolności. Aresztowany zostanie zwolniony, nawet jeśli został prawnie aresztowany, jeżeli się okaże, że rozprawa nie została wyznaczona dostatecznie śpiesznie.

Tymczasowe aresztowanie przez sąd

Sąd właściwy do rozpoznania sprawy uzyskuje kompetencję do decydowania o tymczasowym aresztowaniu dopiero *po* wniesieniu aktu oskarżenia. Stosuje te same zasady co prokurator we wcześniejszych fazach postępowania. Po wydaniu wyroku skazującego sąd orzekający ma obowiązek zastosować tymczasowe aresztowanie, jeżeli oskarżony został skazany na karę ponad 2 lat więzienia za przestępstwo popełnione z winy umyślnej lub na karę ponad 3 lat za przestępstwo popełnione z winy nieumyślnej. Tylko w innych wypadkach sąd podejmuje decyzję według swego uznania (art. 217 k.p.k.).

Aresztowanie na okres do 48 godzin

Poza tymczasowym aresztowaniem zarządzanym przez prokuratora lub sąd, cudzoziemiec w Polsce, podobnie jak obywatel polski, może być pozbawiony wolności na okres do 48 godzin przez milicję na mocy jej własnej decyzji. W terminologii kodeksu nazywa się to zatrzymaniem. Jednak dla zatrzymanego jest takim samym pozbawieniem wolności jak aresztowanie na mocy decyzji prokuratora lub sądu, tylko czasowo krótsze, nie dłuższe niż 48 godzin. Nowy kodeks stanowi w tej mierze (art. 206 § 1).

„Milicja Obywatelska ma prawo zatrzymać osobę podejrzaną, jeżeli istnieje uzasadnione przypuszczenie, że popełniła ona przestępstwo, a zachodzi obawa ukrycia się tej osoby lub zatarcia śladów przestępstwa. Czas zatrzymania należy stwierdzić na piśmie”.

Gdy ustanie przyczyna zatrzymania lub jeśli nie doręczono zatrzymanemu w ciągu 48 godzin od chwili zatrzymania postanowienia o tymczasowym aresztowaniu, milicja ma obowiązek natychmiast go zwolnić (art. 206 § 1 i art. 207 k.p.k.).

W ten sposób każdy cudzoziemiec w Polsce (jak i obywatel polski) może być pozbawiony wolności na okres 2 dni na podstawie oceny i uznania samej milicji czy istnieje uzasadnione przypuszczenie, że zatrzymany popełnił przestępstwo i zachodzi obawa jego ukrycia się lub zatarcia śladów przestępstwa. Co za ogrom władzy w rękach milicji, w najlepszym wypadku na usługach jej nadgorliwości! Nadgorliwość ta jest dobrze znana w historii wielu państw. Wiele zajęło lat i wymagało ogromnego wysiłku, by ją usunąć i zamienić państwa policyjne w państwa praworządne.

Jest faktem, że tymczasowe pozbawienie wolności przez policję następuje w ogromnej większości wypadków we wszystkich państwach bez uprzedniego sądowego nakazu aresztowania. Wynika to z charakteru działania w którym przejawia się zazwyczaj przestępstwo. Toteż przepisy o zatrzymaniu są równie waż-

ne, jeśli nie ważniejsze nawet od postanowień o tymczasowym aresztowaniu. Nie ma sporu w żadnym państwie, że policja powinna posiadać wystarczające środki, aby mogła podejmować czynności, skierowane sumiennie i w dobrej wierze dla zapewnienia przestrzegania prawa. Nikt nie kwestionuje prawa policji do dokonywania aresztowania w sytuacjach, które dają sumiennej i doświadczonej osobie podstawę do żywienia w dobrej wierze silnego podejrzenia, że aresztowany rzeczywiście popełnił przestępstwo.

W Stanach Zjednoczonych na straży tego, by ściganie przestępców nie odbywało się kosztem wolności niewinnych, stoją dwójakiego rodzaju gwarancje konstytucyjne. Pierwsza to zapewnienie w codziennym życiu prawnym, że ani tymczasowe aresztowanie, ani zatrzymanie nie może służyć policji, czy prokuratorowi do uzyskania przyznania się do winy ze strony podejrzanego. Druga konstytucyjna gwarancja — to ścisła kontrola na prawdę niezawisłych sędziów nad każdym aresztowaniem czy zatrzymaniem dokonany przez policję, która pod sankcją osobistej odpowiedzialności karnej i cywilnej musi stawić każdego aresztowanego czy zatrzymanego przed sędzią bez zwłoki.

Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych orzekł, że oświadczenie aresztowanego lub zatrzymanego złożone wobec policji może być dowodem w sądzie tylko wtedy, jeżeli został on uprzednio pouczony co do następujących okoliczności:

- a) że posiada prawo do odmówienia wszelkich zeznań,
- b) że w razie zeznawania złożone zeznania mogą być użyte przeciw niemu w sądzie,
- c) że już przy pierwszym przesłuchaniu przez policję ma prawo do obecności swego adwokata z wyboru, a jeśli nie może ponieść jego kosztów — z urzędu.

Jeśli aresztowany lub zatrzymany oświadczy w jakikolwiek sposób, że odmawia zeznań, przesłuchanie musi być na tym zakończone. Najmniejsze usiłowanie policji, aby go skłonić do zmiany zdania powoduje, że zeznania są niedopuszczalne jako dowód w sądzie.

Jeżeli aresztowany lub zatrzymany oświadczy, że pragnie obecności swego adwokata, przesłuchanie nie może się odbywać przedtem zanim aresztowany lub zatrzymany nie odbędzie sam na sam rozmowy ze swym adwokatem.

Aresztowany lub zatrzymany może rzec się tych praw tylko w całej pełni świadomie i dobrowolnie. Odmowa zeznań nie może służyć jako podstawa do wyciągania wniosków dowodowych przeciwko aresztowanemu.

Natomiast według nowego polskiego kodeksu postępowania karnego aresztowany może odmówić składania wyjaśnień lub odpowiedzi na pytanie, jednak milicja nie potrzebuje go pouczyć o tym, że posiada takie prawo oraz o tym że jego zeznania mogą być użyte przeciw niemu w sądzie. Nie posiada on też niezbędnych zabezpieczeń przed „perswazją” milicji. Nie można uznać za wystarczający obowiązek milicji względnie prokuratora do

udzielania uczestnikom postępowania „informacji o ciężących obowiązkach i przysługujących im uprawnieniach także w wypadkach, gdy ustawa wyraźnie takiego obowiązku nie stanowi” (art. 10 § 2 k.p.k.). Obowiązek ten istnieje bowiem tylko „w miarę potrzeby”, o istnieniu której decyduje milicja lub prokurator według swej oceny. A nawet w wypadkach, w których organ prowadzący dochodzenie jest zobowiązany pouczyć uczestników postępowania „o ciężących obowiązkach i przysługujących im uprawnieniach”, brak takiego pouczenia lub mylne pouczenie ma tylko taki efekt, że „nie może wywoływać ujemnych skutków procesowych dla osoby, której dotyczy”, a nie niedopuszczalność w sądzie takich dowodów, uzyskanych bez należytego pouczenia (art. 10 § 1 k.p.k.). Co więcej, obowiązek pouczenia nie tylko o uprawnieniach procesowych, lecz także „o ciężących obowiązkach” stwarza dla milicji podstawę do stosowania „perswazji” wobec aresztowanych czy zatrzymanych.

Aresztowany czy zatrzymany cudzoziemiec (podobnie jak i obywatel polski) nie posiada według nowego kodeksu postępowania karnego prawa do obecności swego adwokata już przy pierwszym policyjnym przesłuchaniu. Co więcej nie posiada prawa do porozumiewania się ze swym adwokatem sam na sam bez zgody prokuratora, prowadzącego dochodzenie lub śledztwo, przed ich ukończeniem. W czasie ich trwania zgoda prokuratora jest konieczna. Mimo to zeznania aresztowanego, złożone w dochodzeniu policyjnym lub śledztwie mogą być odczytane na rozprawie i służyć jako dowód przeciwko niemu (art. 334 § 1 k.p.k.).

Według stosowanych w Stanach Zjednoczonych sprawdzianów aresztowany czy zatrzymany według postanowień nowego kodeksu postępowania karnego nie posiada możliwości należytej ochrony swych praw.

Czy według nowego k.p.k. istnieje skuteczna kontrola sądów nad pozbawianiem wolności przez zatrzymanie przez milicję na okres do 48 godzin?

Odpowiedź jest negatywna. Milicja nie ma obowiązku stawiania osoby zatrzymanej przed sędzią, który badałby prawną zasadność zatrzymania. Milicja posiada jedynie obowiązek by przystąpić niezwłocznie po zatrzymaniu osoby podejrzanej do zebrania niezbędnych danych, a w razie stwierdzenia podstaw do tymczasowego aresztowania — wystąpić z takim wnioskiem do prokuratora (art. 206 k.p.k.). Zatrzymanie ma więc ułatwiać milicji zebranie niezbędnych danych do decyzji, czy istnieją podstawy do formalnego tymczasowego aresztowania. Sąd nie posiada żadnej jurysdykcji. Kompetencja policji jest wyłączna.

W Stanach Zjednoczonych natomiast zatrzymanie, powodujące pozbawienie osoby jej wolności w znaczącym stopniu uważane jest za tymczasowe aresztowanie i podlega ścisłej kontroli sądu co do istnienia wymaganych prawnie warunków i to w czasie jego dokonania. Jeśli policja nie stosowała się ściśle do tych warunków, sąd niezwłocznie zwolni aresztowanego. Co więcej,

nawet niewątpliwe dowody winy uzyskane przez policję w związku z bezprawnym zatrzymaniem nie mogą być dopuszczone na rozprawie sądowej. Jako ilustracja bezprawnego działania policji w czasie zatrzymania może służyć nie tylko niepouczenie go o konstytucyjnych prawach do odmowy zeznań i prawie do obecności obrońcy od samego początku policyjnego przesłuchania, lecz nawet odmówienie mu prawa skorzystania z policyjnego telefonu celem porozumienia się z bliskimi.

Skutki aresztowania lub zatrzymania niewinnego

Niezwykle rozległe uprawnienia prokuratora do tymczasowego aresztowania oraz milicji do zatrzymywania mogą łatwo prowadzić do pozbawienia wolności osób niewinnych. Jakże zadośćuczynienie przewiduje nowy kodeks za osadzenie w areszcie niewinnego?

Przejmuje on z dawnego kodeksu postanowienia o odszkodowaniu „w razie oczywiście niesłusznego tymczasowego aresztowania” (art. 487 § 4 k.p.k.). Dotyczy to również cudzoziemców na zasadzie wzajemności. Możliwość odszkodowania przewidziana jest nie za każde aresztowanie niewinnego, tylko za „oczywiście niesłuszne”. Jaka jest miara tego że tymczasowe aresztowanie osoby niewinnej było „oczywiście” niesłuszne? Warunek ten zwięźa ogromnie zastosowanie słusznej zasady. Dalsze jej ograniczenie wynika z przekazania jurysdykcji do orzekania o odszkodowaniu sądom karnym, a nie zwykłym sądom cywilnym.

Natomiast zatrzymanie osoby niewinnej przez milicję na okres do 48 godzin nie daje w ogóle podstawy do odszkodowania, choćby było nawet najbardziej „oczywiście” niesłuszne.

Niesposób uznać tych postanowień za należną ochronę niewinnych. Wystarczy porównać je z normami stosowanymi w Stanach Zjednoczonych. Przekroczenie ściśle określonego prawa policji do zatrzymania stanowi czyn przestępny ścigany z urzędu. Wypełnianie polecenia zwierzchników nie stanowi wystarczającej obrony. Powoduje tylko odpowiedzialność dającego polecenie na równi z jego wykonawcą. Ponadto niesłuszne aresztowanie lub zatrzymanie stanowi podstawę do pełnego odszkodowania według ogólnych zasad odpowiedzialności za czynności niedozwolone. O jego wysokości orzeka sąd przysięgłych, a więc współobywatele. Nieprawnie uzyskane dowody są niedopuszczalne na rozprawie sądowej.

W ten sposób całe ryzyko, związane z dokonaniem niesłusznego tymczasowego aresztowania czy zatrzymania ponoszą wyłącznie organy wymiaru sprawiedliwości i stojące za nimi państwo w imieniu którego działają. W żadnym wypadku nie ponosi go niewinna jednostka.

Dialog o Polsce

W związku z dyskusją na Uniwersytecie w Alberta, w dniu 2 marca 1971, na temat książki J. Szczepańskiego o polskim społeczeństwie. Dyskusję zorganizował uniwersytecki Komitet Studiów ZSSR i Europy Wschodniej.

Piotr: Książki o Polsce, jakie z rzadka trafiają do rąk amerykańskich studentów, pracowników naukowych i intelektualistów, są przeważnie pisane przez dziennikarzy i tzw. politykologów. Mało w nich o polskim społeczeństwie, natomiast sporo o rozgrywkach wewnątrzpartyjnych i o stosunku do Związku Sowieckiego. Dlatego właśnie książka J. Szczepańskiego „Polish Society” (New York: Random House, 1970, str. IX + 214), przeznaczona głównie dla amerykańskich studentów młodszych lat (*undergraduate students*), studiujących socjologię i nauki polityczne, wypełnia bardzo dotkliwą lukę. Z pewnością przez długi czas będzie ona stanowiła wśród cudzoziemców postawowe źródło wiedzy o współczesnym polskim społeczeństwie. Poszczególne rozdziały poświęcone są kolejno historii narodu polskiego, zmianom politycznym i społecznym zaszłym po drugiej wojnie światowej, strukturze politycznej, instytucjom ekonomicznym, strukturze klasowej, kulturze narodowej, a także współżyciu Polaków na co dzień w małych grupach. Końcowy rozdział zawiera podsumowanie wszystkich podstawowych czynników trwałości i zmiany w Polsce jako w społeczeństwie opartym na upaństwowieniu podstawowych środków produkcji, władzy niepodzielnej PZPR, sojuszu z ZSSR oraz ogólnie wyznaczonym celu zrealizowania pełnego komunizmu w skali długofalowej.

Obraz, jaki maluje Szczepański, zasługuje na uwagę nie tylko z tego względu, że będzie kształtował pogląd o Polsce wśród cudzoziemców. Osoba autora jest tutaj również bardzo istotna. J. Szczepański zajmuje jedno z czołowych miejsc w polskiej socjologii. Z tej właśnie racji pełnił do niedawna obowiązki przewodniczącego Międzynarodowego Stowarzyszenia Socjologicznego. Jest autorem wielu cennych prac dotyczących społecznych konsekwencji uprzemysłowienia, struktury klasowej, inteligencji, historii socjologii, szkolnictwa wyższego itd. Z jego inspiracji powstało w Polsce całe mnóstwo studiów empirycznych poświęconych polskimi inteligentom, urzędnikom, robotnikom, artystom, dziennikarzom, chłopom, rzemieślnikom i in. Dzięki jego osobistej pomocy i wielkiej ludzkiej życzliwości wielu ludzi, zwłaszcza młodszego pokolenia, nieraz pochodzących z niższych warstw społecznych i przebijających się ku górze z mniejszym lub większym trudem, zdobyło sobie trwałe miejsce w socjologii. Szczepański zawsze chętnie świadczył pomoc, czym różni się wybitnie na korzyść od takich profesorów, którzy hołdują teorii sobka

(wszystko służyć musi wyłącznie moim własnym interesom) bądź teorii pyszałka (ja tylko coś znaczę).

Znajomość społeczeństwa polskiego przez J. Szczepańskiego jest oparta nie tylko na bogactwie faktów systematycznie gromadzonych w trakcie wieloletnich badań socjologicznych, ale także na jego doświadczeniach osobistych w roli rektora Uniwersytetu Łódzkiego, posła na sejm, dyrektora Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk (tę właśnie funkcję pełni on obecnie), profesora uniwersytetu, członka wielu komitetów. Szczepański akceptuje istniejący system, czego daje niedwuznaczny dowód w swojej książce, ale jednocześnie zachowuje niezależny pogląd krytyczny. Wielokrotnie zabierał głos publicznie aby wskazać źródła błędów, jak np. antyhumanistyczny charakter narzuconych przez stalinowską biurokrację partyjną struktur formalnych lub nieliczenie się w modelu gospodarczym z naturą człowieka i oparcie kalkulacji polityczno-ekonomicznych na nierealnym społecznie wzorze swoistego *homo biurocraticus*. Ostatnio Szczepański udzielił wywiadu dziennikarzowi z *Newsweek'u* (numer z 4 stycznia, 1971), w którym odniósł się bardzo krytycznie do góry partyjnej i określił aktualną sytuację polityczną jako grę o władzę między doktrynerskimi ekonomistami i technokratami. Książka „Polish Society” zawiera szereg akcentów krytycznych i dlatego chyba słusznie Szczepański wyraził się we wspomnianym wyżej wywiadzie, że pewno nie spodoba się ona władzom partyjnym.

Andrzej: Jednakże w ogólnym wydzwisku książka ta mocno załatuje oportunizmem. Autor wytyka społeczeństwu tradycyjny indywidualizm i jakoby anarchizm, utyskuje na niedostatek „konstruktywnej” postawy obywatelskiej i wyrzuca Polakom, że jakoby nie są dość skłonni do samo-kontroli (str. 64 i 65), że szukają dróg pozalegalnych zaspokajania swych potrzeb, że w ogóle trudno jest nimi rządzić. Zdaniem Szczepańskiego „nikt w Polsce nie myśli poważnie o jakichś zmianach” (str. 47), a „grupa przy władzy jest silnie utrwalona” (str. 48), rząd „posiada poparcie ludności w wielu istotnych sprawach” (str. 63), zaś „nastroje opozycyjne miękną w miarę upływu czasu” (str. 64). Od socjologa tej miary co Szczepański należałoby oczekiwać większej zdolności przewidywania tego, co będzie się dziać. Optymizm, jaki cechuje Szczepańskiego ocenę sytuacji Polski pod rządami Gomułki, jest dość zrozumiały u członka elity, który aczkolwiek nie będąc sam członkiem rządzącej partii, z racji swych wysokich stanowisk z tą partią współpracuje. Ten właśnie optymizm nie pozwala autorowi dostrzec co rzeczywistość nurtuje masy. Gdyby książka Szczepańskiego ukazała się w 1957 roku, można byłoby bardziej usprawiedliwić autora. Ale przecież ukazanie się książki poprzedziło zaledwie kilka miesięcy wypadki grudniowe. Co powiedzieć o diagnozie socjologicznej, która pomija całkowicie niepokoje nurtujące już od dawna nie tylko inteligencję, ale również i klasę robotniczą?

Znamienne, że Szczepański zaprzecza istnieniu jakiegokolwiek „nowej klasy”. Jej krystalizacji u góry ma jakoby skutecznie zapobiegać rozwarstwienie ludzi władzy (dochód i władza, zdaniem Szczepańskiego, nie idą z sobą w parze), niemożność dziedziczenia przywilejów, a także szczególna rola wykształcenia.

„Członek Biura Politycznego może koncentrować w swych rękach rozległą władzę polityczną i ekonomiczną, ale jego dochód będzie nadal grubo poniżej dochodu prywatnego przedsiębiorcy, wybitnego profesora lub pisarza. W hierarchii prestiżu społecznego będzie on się mieścił dalece poniżej profesora lub lekarza. W hierarchii wykształcenia członek Biura Politycznego może mieścić się również względnie nisko. Dalej, nie ma on możliwości nagromadzenia takiej fortuny osobistej, którą mógłby przekazać własnym dzieciom. W każdej chwili może zostać usunięty ze swej uprzywilejowanej pozycji...” (str. 144).

Zdaniem Szczepańskiego

„w takim uspołecznionym typie systemu, jakim jest obecne polskie społeczeństwo, brak mechanizmów pozwalających na krystalizację świadomości klasowej oraz na instytucjonalizację klas w marksowskim rozumieniu tych pojęć... Każde pokolenie musi rozwijać się w oparciu o swe własne zasługi — i ma po temu odpowiednie możliwości” (str. 145).

W rezultacie

„nowy porządek społeczny jest bardziej egalitarny i bliższy marksowskiemu ideałowi społeczeństwa bezklasowego, aczkolwiek ciągle jeszcze daleki od wyobrażenia absolutnej równości zawartego w socjalistycznych utopiach” (str. 146).

Szczepański w tym co twierdzi rozbiega się obecnie nawet z analizą sytuacji, dokonaną przez zwierzchnictwo PZPR po wypadkach grudniowych. Rzecz przecież nie w tym, czy, i jak dalece, elita partyjna opływa w dostatki. Obecny ustrój Polski stawia władzę nad ludźmi jako naczelną kryterium uprzywilejowania i wszystko inne jest pochodne w stosunku do tej właśnie władzy. Nadużywanie władzy politycznej, podobnie jak w ustroju kapitalistycznym nadużywanie władzy pieniądza, stanowi główną bolączkę ustroju, której Szczepański zdaje się nie dostrzegać. Jak nowe pokolenia mają się rozwijać „w oparciu o swe własne zasługi”, jeśli główną troską pokolenia stojącego u władzy jest utrzymać ją możliwie najdłużej we własnych rękach? Jak można mówić o coraz bardziej egalitarnym charakterze nowego porządku społecznego, jeśli stanowi on po prostu pole nieustannych rozgrywek między klikami osadzonymi na samym szczycie hierarchii społecznej? Jak rozważać „brak mechanizmów pozwalających na krystalizację świadomości klasowej” bez wspomnienia choćby kwestii cenzury i braku elementarnych wolności politycznych?

Można zrozumieć, że socjolog pozostający w kraju i tam właśnie pragnący działać pożytecznie musi być powściągliwy w swych sądach, aby nie narazić zbytnio ani siebie, ani ludzi którzy z nim

współpracują. Można też ostatecznie zgodzić się, że wersja „nowej klasy” przedstawiona przez Dżilasa jest znacznie uproszczona, że w gruncie rzeczy ustrój komunistyczny ogranicza swobodę każdego swego członka, z elitą rządzącą włącznie. Ale czy sielsko-anielski obraz jakim Szczepański szczerobliwie obdarza amerykańskich czytelników, nie jest jednak z gruntu fałszywy? Czy nie zamazuje on najistotniejszych wewnętrznych sprzeczności ustroju komunistycznego? Czy nie przerzuca winy za niedomagania z rządzącej elity na doły, które jakoby są nie dość zdyscyplinowane?

Trzeba zdać sobie sprawę, że Szczepański, sam należąc do elity chcąc nie chcąc nasiąka mentalnością takiego osobnika, który przygląda się eksperymentowi miażdżenia tradycyjnej struktury społeczeństwa polskiego. On sam nic nie ryzykuje. Przeciwnie, wraz z innymi socjologami zyskuje dogodną „możliwość obserwowania idei marksowskich w ich konkretnym zastosowaniu, studiowania ich roli w przemianach oraz rezultatów osiągniętych z pomocą tych idei przy rozwiązywaniu poszczególnych problemów społecznych i ekonomicznych” (str. 5). Za tę możliwość bezstronnej jakoby obserwacji płaci się jednakże ustępowaniem, przymrużeniem oka, niby to marginalną aluzją, że przecież wszędzie rządzący mają kłopoty z rządzonymi. Nie przypadkiem w kilku miejscach autor wspomina o potrzebie „konstruktywnej postawy obywatelskiej”, jako skutecznego środka na wszelkie bolączki. Wystarczy wychować społeczeństwo w tej właśnie postawie, a wszystko będzie OK. Góra partyjna po wypadkach grudniowych sama przyznała, że dotychczasowe „wychowywanie” było z gruntu nieskuteczne i że przecież popełniono błędy strukturalne, które w rezultacie musiały się odbić na postawie zdecydowanej większości społeczeństwa, z klasą robotniczą na czele.

Piotr: Łatwo jest nam, siedzącym wygodnie na Zachodzie, zajmować postawę pryncypialną i domagać się od ludzi takich jak Szczepański, aby bohaterko sprzeciwiali się władzy totalnej. Bądźmy jednak trzeźwi i nie żądajmy od innych, aby narażali się po to, aby między innymi nam sprawić moralną przyjemność. Jakże mamy właściwie prawo pouczać, a tym bardziej potępiać ludzi w kraju za to, że stosują uniki? Najważniejsze jest dzieło, a to co zdziałał Szczepański dla polskiej socjologii, jest niewątpliwym dorobkiem. Ludzie o ograniczonych możliwościach działania, a przecież do takich zaliczają się między innymi poisci socjolodzy osiedli w kraju, muszą stosować uniki i ustępować władzy w jednym, aby zyskać od niej coś w drugim. Zresztą nie trzeba bynajmniej przypuszczać aż tak przebiegłej kalkulacji. Przecież trwanie społeczeństwa i jego względny dobrobyt mogą wielu ludziom wydawać się ważniejsze aniżeli abstrakcyjne pryncypia — i trudno ich za to potępiać. Zdarzają się w historii narodu co pewien czas okazje aby jednak coś zdziałać. Wtedy może okazać się, że ludzie skądinąd dobrze znani ze stosowania uni-

ków, okazują się myślącymi krytycznie i odważnie. W *Życiu Warszawy* z 10-11 stycznia 1971 Szczepański wypowiada się zdecydowanie przeciwko dotychczasowemu kultowi niekompetencji, a natomiast za koniecznością oceniania ludzi według rzetelnej i kompetentnej pracy. Podkreśla również, że „biurokracja nie jest wymysłem szatana czyhającego na zgubę socjalizmu, ani tworem wrogów ideologicznych, jest produktem i zjawiskiem pochodzącym m.in. z nadmiernie rozbudowanej działalności normodawczej”. Podobnie jak to czyni już od lat z pożytkiem dla kraju T. Kotarbiński, również J. Szczepański podkreśla nieustannie kardynalne znaczenie zasad dobrej roboty indywidualnej i zbiorowej. Przy czym, jako socjolog, J. Szczepański ma na uwadze przede wszystkim kwestię zapewnienia elementarnych warunków organizacyjnych i środowiskowych, które sprzyjałyby właśnie dobrej robocie. Ktoś krytyczny może wyrazić zastrzeżenie, że przecież to są sprawy wręcz oczywiste i że zarówno prakseolodzy jak i socjolodzy drepczą w miejscu mozolnie starając się otworzyć drzwi od dawna już otwarte gdzie indziej. Na to im jednak można odpowiedzieć, że każde społeczeństwo musi otwierać swoje drzwi na własną rękę. A zresztą błędy popełniane w praktyce społecznej również nieraz mają charakter zgoła elementarny. Jeśli np. polscy socjolodzy stwierdzili już szereg lat temu na podstawie żmudnych badań, że robotnicy są krytycznie usposobieni wobec rad robotniczych, to przecież nawet takie pozornie oczywiste odkrycie miało swoje znaczenie społeczne jako fakt publiczny, a zarazem przekonywająco udokumentowany. Za to że władza nie wyciągnęła z tego faktu żadnych wniosków praktycznych, nie można winić socjologów. Ostatecznie, jednym z poważnych osiągnięć polskiej socjologii ostatnich lat było stworzenie całego kierunku zorientowanego na inżynierię społeczną. Ukazało się szereg poważnych publikacji poświęconych socjotechnice. Oczywiście, było coś paradoksalnego w zestawieniu rozważań na temat optymalnych modeli inżynierii społecznej z praktyką polityczną gomułkowszczyzny. Ale jednak samo kontynuowanie przez socjologów zainteresowań socjotechnicznych było postępowaniem na rzecz lepszej przyszłości.

Andrzej: Jestem zdecydowanie przeciwny temu ciągiemu stosowaniu wobec krajowych socjologów taryfy ulgowej: że jakoby pracują w bardzo trudnych warunkach, że władza polityczna ciągle ingeruje w to co robią, że każde ich osiągnięcie trzeba przyjąć z uznaniem, bo stanowi ono wkład do polskiej kultury. Nie czarujmy się. W ustroju komunistycznym istnieje szczególnie dużo okazji do mitologizowania nauki, niezależnie od tego, jak dalece ona faktycznie przyczynia się do dobra społeczeństwa. Tzw. ludzie nauki bywają niekiedy po prostu cwaniaczkami, którzy na koszt ciężko pracującego robotnika lub chłopca uprawiają działalność służącą li-tylko utrwaleniu ich pozycji we własnym kręgu profesjonalnym. Stwierdzanie prawd oczywistych językiem nieco lub bardzo skomplikowanym, tym bardziej zaś rzeczy

wprost zmyślonych, nie mających nic wspólnego z bieżącymi i przyszłymi potrzebami społeczeństwa, jest działalnością wręcz szkodliwą.

Jedną z podstawowych sprzeczności każdego ustroju totalitarnego jest konieczność okazywania na zewnątrz efektownych osiągnięć przy wewnętrznej niemożności traktowania na serio tego co się robi. Manipulowanie ludźmi w oparciu o przymus, prowadzi nieuchronnie do społeczno-moralnej zgnilizny, jeśli przywódcy muszą głosić co innego a czynić co innego. Troska o efekt skłania do tworzenia kolosów bez względu na to jaki jest ich sens i pożytek. Ludzie pracujący wewnątrz kolosów biurokratycznych są zarażeni chroniczną niemożnością zdziałania czegoś pożytecznego, wynikającą z samej natury biurokratycznego efekciarstwa. Muszą przy tym znajdować dla siebie (i innych) jakieś pozorne racje swego zatrudnienia. Np. Polska Ludowa stworzyła mamut PAN-u, którego przydatność dla rozwoju nauki jest co najmniej wątpliwa. W ramach tzw. instytucji naukowych toczy się walka o wyjazdy służbowe, pieniądze na badania i pozycje biurokratyczne. Walka ta nieraz odsuwa w cień działalność faktycznie naukową. Rozwinięto instytucje i badania socjologiczne, ale przecież nie ma dotąd skutecznych mechanizmów przekładu języka wyników badawczych na język praktyki społecznej. Są w kraju urzędnicy, ale nie ma pracowników społecznych w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Tzw. socjolodzy zakładowi mogą cokolwiek zdziałać tylko o tyle, o ile staną się posłusznymi narzędziami Partii — wtedy jednakże zazwyczaj ulegają ogólnej korupcji ludzi władzy. Wiele opublikowanych w kraju prac socjologicznych to przede wszystkim dokumenty świadczące o daleko idącym oderwaniu tzw. ludzi nauki od faktycznego życia mas. Czyta się te prace jak relacje amerykańskiego turysty o życiu Papuasów. Jeśli w dodatku ten „turyista” stara się w swej relacji przypodobać władzy, wtedy już lepiej odłożyć lekturę i raczej zajrzeć do *Szpilek*, które jednak bliższe są rzeczywistości.

Twórczość socjologiczna jest w swoisty sposób uwarunkowana w kraju zakłamaniami systemu społeczno-politycznego. Powszechnie wiadomo, że stopa życiowa jest niska, wydajność pracy słaba, koncentracja władzy w rękach Partii niemal pełna, oświata i awans społeczny wykorzystane na rzecz umocnienia pozycji elity partyjnej. Socjolodzy mogą poruszać różne bolączki życia społecznego o tyle, o ile nie dotkną źródeł znieprawienia i eksploatacji. W rezultacie ich analiza naukowa jest „na niby”, natomiast jedynym rezultatem rzeczywistym są korzyści osobiste, wynikające z uprawiania takiej właśnie ograniczonej działalności profesjonalnej. Gdzie jednak ustalić granicę między faktyczną służbą profesjonalną, a pasożytnictwem? Nie mam pretensji do socjologów o to, że nie zajmują się tematami tabu, jak np. kwestią elity rządzącej (oczywiście, pomijam tutaj karierowiczów uprawiających tzw. socjologię polityczną). Natomiast razi mnie powierzchowność analizy, nieznanostwo światowego dorobku socjologicznego, pretensjonalność „panów naukowców”, a

wreszcie zaniedbanie wielu aspektów istotnych. Dlaczego np. Szczepański w swojej książce zupełnie nie porusza kwestii oblicza moralnego społeczeństwa, po którym przetoczył się walec totalitaryzmu? Dlaczego wydaje się nie widzieć tego, jaka jest mentalność ludzi społecznego awansu, którzy oderwali się już od swych wsi, a jeszcze nie stali się moralnie odpowiedzialnymi obywatelami miasta? Czyż rzeczywistość należy tylko cmokać z zachwytem na temat tego, ilu to ludzi wydzwignęło się do góry w warunkach Polski Ludowej? A może właśnie w społeczeństwie socjalistycznym warto byłoby wysunąć na czoło inne wartości, aniżeli samo wspinanie się ku górze po szczeblach hierarchii, przy równoczesnym psychaniu konkurentów? Fakt, że krajem rządzą faktyczni awansowicze, dla których marksizm jest po prostu kwestią życiowego urzędzenia się, powinien skłaniać właśnie socjologa do poważnej refleksji. Postawa nie na serio, tak często w kraju spotykana, jest dość zrozumiała u takich ludzi, dla których jedyną sprawą istotną jest ich własny awans. Taka postawa stanowi niewątpliwie jedno z istotnych źródeł lekceważenia pracy. Oczywiście, nie jestem przeciwny masowemu awansowi społecznemu. Ale właśnie od socjologów oczekuję sugestii, jak uczynić go awansem „na serio”, a nie faktyczną wymianą jednego składu „jaśnie wielmożnych” na skład osobowo inny, może nawet jeszcze gorszy, bo tym bardziej chciwy użycia za wszelką cenę.

W Polsce uderza w oczy brak rzetelnego podejścia do podjętych obowiązków, a raczej wręcz niechęć u wielu ludzi do przyjęcia obowiązku jako czegoś danego. Zapewne to w dużym stopniu konsekwencja totalitaryzmu, ale z drugiej strony utrwalenie się podstawy życiowej nie na serio, a na niby, jest i będzie poważnym problemem społeczno-moralnym. W żadnej, nawet najbardziej przychylniej sytuacji politycznej, nie będzie można uzdrowić sytuacji gospodarczej bez przeorania dusz. Ani przyklejony zewnętrznie marksizm, ani ludowy i tradycyjny katolicyzm, ani wreszcie wygodnicki w znacznej mierze libertynizm poważnej części elity inteligenckiej, nie są zdolne spełnić tego właśnie zadania rewolucji moralnej. Światopoglądowe oblicze polskiego społeczeństwa powinno być chyba podstawowym przedmiotem zainteresowania socjologów. Skąd może nadejść jakaś walka ideologiczna, która postawiłaby ludzi w obliczu autentycznych wyborów moralno-światopoglądowych a zarazem nadałaby owym wyborom konsekwencje praktyczne?

Hasło dobrej roboty, tak bliskie sercom ludzi jak Kotarbiński i Szczepański, jest w zasadzie słuszne i ogromnie na czasie we współczesnej Polsce. Jednak nie da się upowszechnić tego hasła bez zapewnienia elementarnych warunków społeczno-politycznych, które uczyniłyby dla ludzi czymś możliwym i realnym urzeczywistnienie go w ich życiu codziennym. Komunizm staje dziś wobec tego samego problemu, przed którym stanęło chrześcijaństwo w dobie pierwotnej akumulacji kapitalistycznej. Masy będą tym bardziej oddalać się nie tylko od marksizmu, ale

w ogóle od jakichkolwiek konstruktywnych haseł, jeśli te ostatnie będą brzmieć pusto w zetknięciu z realiami życia. Np. samorząd pracowniczy, postulat skądinąd bardzo słuszny i konstruktywny zwłaszcza w warunkach socjalistycznej gospodarki planowej, jest pustym dźwiękiem dopóki organy centralne nie ustępują na rzecz samorządu dostatecznie dużej części władzy, dotąd przez nie monopolizowanej. Po co dyskutować, jeśli i tak wszystko jest decydowane u góry? Polskie studia socjologiczne dotyczące kwestii samorządu pracowniczego zdają się nie dostrzegać tego problemu.

Piotr: Nie oczekujemy od polskich socjologów zbyt wiele. I tak przecież ich dorobek jest niewątpliwie najpoważniejszy z wszystkiego, co zrobiono dotąd w zakresie nauk społecznych w krajach bloku komunistycznego. Jeśli nawet jakość poszczególnych elementów tego dorobku jest bardzo różnaita (np. mizerna w socjologii polityki, natomiast znakomita w socjologii miasta i wsi, metodologii nauk społecznych, technologii społecznej i in.), to jednak oportunizm polityczny spowodował stosunkowo małe skrzywienia. Chcielibyśmy widzieć w polskich studiach socjologicznych więcej głębi, a przy tym też i więcej dbałości o porównawczość danych z innymi społeczeństwami, ale i tak już co dotąd zrobiono daje znakomity wgląd w wiele spraw — wręcz jakościowo nieporównywalny z bełkotem propagandowym przemycanym w innych krajach bloku pod mianem „socjologii”. Problemy, przed jakimi ciągle stają polscy socjolodzy, są nieraz wręcz ponad ich skromne możliwości kadrowe, finansowe, aparaturowe itd. Poważna część tych socjologów, to przecież ludzie którzy jeszcze stosunkowo niedawno tkwili w partyjnej robocie, bynajmniej nie sprzyjającej pogłębieniu intelektualnemu. A jednak potrafili oni przestawić się, zyskali sporo wiedzy i ogłady, przyjęli kryteria moralno-intelektualne pracy naukowej — nieraz z poważnym osobistym narażeniem się swym partyjnym mocodawcom. Właśnie wśród socjologów można obserwować awans społeczny w najlepszym rozumieniu tego słowa. Oczywiście, nie można zadowolić się li-tylko tym co aktualnie jest. Zresztą również polska socjologia stała się w jakiejś swej części maszyną samą dla siebie, naśladowując socjologie zachodnie choćby w tym, że produkt odrywa się od klienta i istnieje niejako sam dla siebie. Fundamentalne dla polskiego społeczeństwa kwestie biurokracji, autentycznej (a nie tylko odgórnie reżyserowanej) aktywizacji obywateli w ramach dostępnych im form współdecydowania, alienacji elity kierowniczej i jej skutecznego zapobiegania, oblicza moralnego współczesnego Polaka, stosunków pracowniczych sprzyjających dobrej robocie, podatności struktur organizacyjnych na innowacje — wszystkie te sprawy ciągle jeszcze czekają na wnikliwą analizę socjologiczną. To co dotąd zrobiono stanowi zaledwie fragmenty — a i to dość podbudowane znajomością dorobku światowego. Rzeczywiście, w książce Szczepańskiego wspomniane kwestie nie zostały należycie uwypuklo-

ne, a w dodatku programowy optymizm autora nie pozwolił mu uwzględnić należycie chronicznych bolączek totalitaryzmu. Z drugiej strony jednak w Polsce gomułkowskiej nie jeden Szczepański mógł zagubić hierarchię ważności. Mowa Gierka na lutowym Plenum Partii niewątpliwie sprzyja otrzeźwieniu nie tylko góry partyjnej, ale nawet socjologów.

Andrzej: Otrzeźwienie otrzeźwieniem, ale jeszcze ciągle nie ma widoków na to aby dygnitarze partyjni, jak i partyjni lub bezpartyjni socjolodzy zdali sobie sprawę z konieczności dokonania reform strukturalnych i stopniowego przejścia od systemu quasi-feudalnego, na jakim faktycznie opierała się zarówno Polska bierutowska, jak i Polska gomułkowska, do systemu choćby w części demokratycznego. Główna słabość książki Szczepańskiego polega właśnie na zapoznaniu tego fundamentalnego problemu ustrojowego. Masowy awans społeczny, jaki niewątpliwie stał się udziałem mas w Polsce, załamał Szczepańskiemu perspektywę na faktycznie feudalny charakter sprawowania władzy. Istnienie, jedna obok drugiej równolegle, różnych struktur władzy feudalnej, bynajmniej nie przeczy zasadzie zależności poddanych od feudałów, a wręcz ją znakomicie wzmacnia. Awans masowy, ale w czym interesie? Osłabienie pozycji materialnej inteligencji na rzecz poprawy pozycji materialnej robotników, ale kto rzeczywiście zyskuje pozycję uprzywilejowaną?

My tutaj, na Zachodzie, chcemy wierzyć w każdą historycznie nadarzącą się okazję poprawy sytuacji w kraju. Dlatego Gierkowi należy się od nas kredyt zaufania. Fakt, że od pierwszych dni swej władzy odwołał się on do pomocy nauki, między innymi właśnie do Szczepańskiego (jako przewodniczącego nowoustanowionego komitetu dla zbadania stanu oświaty i zaproponowania reform) świadczy o próbie przezwyciężenia antyintelektualnej i antyinteligentycznej orientacji gomułkowszczyzny. Nasuwa się wszakże pytanie, czy, i jak dalece, nauka, w danym przypadku socjologia, jest władna udzielić pomocy. Wyzwolenie społeczeństwa z jarzma całej sieci lokalnych kacyków, dyrektorów udzielnie rządzących w przedsiębiorstwach jak we własnych folwarkach, instruktorów partyjnych samowolnie narzucających decyzje organizacyjne bez brania za nie osobistej odpowiedzialności, wszechwładnych sekretarzy partyjnych, ministrów i kierowników wydziałów KC rządzących się za pośrednictwem uległych im „swoich” ludzi — jest zadaniem niezbędnym do wykonania, jeśli w Polsce ma się rzeczywiście cokolwiek poprawiać. Bodajże najgorsze, że ci wszyscy ludzie władzy są faktycznie nieodpowiedzialni za swe błędne decyzje. W systemie biurokratycznym bowiem, jako nie podlegającym żadnym prawom funkcjonującym automatycznie (np. prawa rynku), nie istnieją wiarygodne kryteria sprawności zarządzania. To co się naprawdę liczy — to pozycja danego osobnika w układzie klik.

O ile wszystkim tym ludziom mało zależy na poprawie stanu rzeczy, to natomiast łączy ich wspólne poczucie zagrożenia przy-

wilejów i znalezienia się poza magicznym kręgiem tzw. nomenklatury. Zarówno realistyczna analiza sytuacji społeczeństwa, jak też i wszelka próba reformy muszą liczyć się z przemocnym naciskiem owej względnie szerokiej warstwy faktycznych feudałów. Jakie siły społeczne będą dostatecznie potężne aby im podołać? Nie można przeceniać w tym względzie klasy robotniczej, która wprawdzie jest zdolna do sporadycznych strajków i demonstracji, ale pozostaje nadal niezorganizowana, pozbawiona samodzielnego kierownictwa, a przy tym pełna wątpliwości co do swej własnej identyfikacji (jak wiadomo robotnicy nie chcą aby ich dzieci pozostały w szeregach klasy robotniczej). Inteligencja polska z kolei musiałaby dokonać poważnego rozrachunku sama z sobą, aby móc stać się rzeczywistą dźwignią reform. Totalitaryzm dla wielu ludzi stanowił moralne ułatwienie, gdyż zwalniał od samoanalizy. Nacisk zewnętrzny dostarczał usprawiedliwienia za wszystko. Wystarczyło w kręgach partyjnych czasem pomruczeć na „Ruskich”, a w kręgach pozapartyjnych trochę ponarząć na reżym, aby tym tylko zasłużyć sobie na miano tzw. porządnego człowieka.

Przede wszystkim generalnego przewartościowania wymaga kwestia patriotyzmu. Trzeba sobie wreszcie raz otwarcie powiedzieć, że umieranie za ojczyznę bywa nieraz czymś tańszym aniżeli uczciwe i bezkompromisowe życie dla niej na co dzień. Że Polska nie jest i nie będzie pępkiem świata i że nie ma żadnego istotnego powodu dlaczego ludzie innych nacji mają nam okazywać jakies szczególne zainteresowanie i współczucie. Że człowiek rzetelnej, aczkolwiek nieraz mało efektywnej pracy jest bardziej społecznie cenny od pyskacza lub pozera. Że wreszcie totalitaryzm jest nie tylko na zewnątrz nas, ale także i w nas samych — okoliczności zewnętrzne mogą nas tylko po części usprawiedliwiać.

Od książek Polaków o Polsce, zwłaszcza gdy są one pisane dla obcego czytelnika, powinniśmy współcześnie oczekiwać nie tylko głębi, ale i samokrytycyzmu. Aż żal spojrzeć na te wypowiedzi pełne banałów i frazesów, którymi dotąd nasi rodacy starają się nieraz czystostaw obcego czytelnika, aby go usposobić przychylnie do ojczystego kraju. Nie te czasy, Panowie! Czy sądzicie, że np. Amerykanin głęboko zaniepokojony sytuacją własnego społeczeństwa, wstrząśniętego przez konflikt wietnamski, bunt młodzieży i walki rasowe, da się nabrać na obraz Polski dla krasnoludków?

Piotr: W przypadku książki Szczepańskiego nie można powiedzieć, że zawiera ona bezkrytyczny obraz polskiego społeczeństwa. Jest to natomiast niewątpliwie obraz, który — jak zresztą sam autor przyznał w wywiadzie dla *Newsweek'u* — chyba nikogo nie zadowoli. Każdy jako tako zaangażowany w polskie sprawy ma swój układ oczekiwań, które wpływają silnie na jego własne wyobrażenie narodu polskiego. Obraz Szczepańskiego można oceniać chyba tylko z tego punktu widzenia, jak dalece pomija on

kwestie istotne. Data wydania książki dość fatalnie zbiegła się z wypadkami grudniowymi budząc u czytelników oczekiwania, których autor nie mógł (czy wręcz nie chciał) spełnić. Trzeba natomiast podnieść, że Szczepański chyba trafnie odciął się od mówienia o społeczeństwie polskim w kategoriach górnołotnych. Polska Szczepańskiego jest krajem właściwie dość zwykłym, jeśli zaś w ogóle interesującym, to ze względu na ustrojowy eksperyment, dokonywany na ciele narodu. To już nie przedmurze chrześcijaństwa albo trybuna narodów, ale po prostu laboratoryjny przypadek społeczno-polityczno-gospodarczej operacji chirurgicznej, której przebieg może mieć znaczenie dla podobnego rodzaju zabiegów gdzie indziej. Książka Szczepańskiego jest prawdziwa choćby w tym sensie, że przecież Polska awansowanych warstw niższych jest zdecydowanie inna od Polski poszlacheckiej, a przed-industrialnej, okresu międzywojennego. Pozbycie się iluzji narodowych nie musi koniecznie oznaczać upośledzenia świadomości narodowej. Polacy w kraju są dziś z pewnością bliżej realiów aniżeli były w stosunku do tych realiów sfery uprzywilejowane, monopolizujące niegdyś wyobrażenie Polski.

Ale przecież nie samym chlebem żyjemy. I dlatego romantycy mają większy udział w kształtowaniu moralnego oblicza społeczeństwa aniżeli zwykli zjadacze chleba. Chodzi o to jednak, aby ten romantyzm był z dobrego kruszcu. Zarówno ci, którzy operują narody, jak i ci którzy operacjom się przyglądają w charakterze uczonych, powinni mieć także i tę sprawę na względzie.

Aleksander MATEJKO

List do Jerzego Topolskiego

Szanowny Panie Profesorze!

Jeśli się nie mylę, nie byliśmy nigdy ze sobą w bliskim kontakcie, nie istnieją więc powody do traktowania mojego listu jako podyktowanego jakimiś względami osobistymi. Należymy jednak do środowiska, w którym wiedza o kolegach jest powszechna. Prawdopodobnie wie Pan o moim istnieniu, ja zaś obserwuję Pańską działalność naukową mniej więcej od 1955 r., tj. od przeczytania w jakimś czasopiśmie naukowym fragmentu Pańskiej pracy doktorskiej, poświęconej kwestii agrarnej w XVIII wieku. Jest to dla mnie dziedzina dość odległa, ale razem z innymi obserwowałem Pana postępy naukowe i służbowe. Zdradzę Panu, że należał Pan do nielicznych, których szybką karierę podziwiano wśród historyków bez zawiści. Przeciwnie,

budziło uznanie to, że stronił Pan od problemów nadmiernie wkraczających w usługową politykę, że nie czynił Pan nadmiernych koncesji władzom, że dbając o własne „ustawienie” nie organizował Pan go kosztem innych, mniej zaradnych i mniej wpływowych kolegów.

Życzliwy rezonans napotkało również Pana odejście od problematyki agrarnej XVIII wieku, już dość oklepanej, w stronę rozważań metodologicznych, w Polsce szczególnie potrzebnych.

Tym bardziej zmartwił mnie, wręcz zgrzył, Pana artykuł („Inspiracje myśli leninowskiej”), opublikowany w *Trybunie Ludu* w dniu 21. I. 1971. Co do tego, że myśli Lenina są po dzień dzisiejszy ciekawe i godne badania, obydwaj jesteśmy w zgodzie. Nie różnimy się również i w tym, że nader ciekawe są poglądy Lenina w sprawach zahaczających o historię. Myślę np. że byłoby ważne zbadać jak i pod czyim wpływem kształtowały się historyczne poglądy i wiedza Lenina, jaki wpływ wywierał Marks a jaki Kluczewski, jaką też rolę odegrała historyczna inspiracja wielkiej literatury rosyjskiej, zwłaszcza inspiracja Szczedrina i Tołstoja. Byłoby również ważne zbadać sposób wykorzystania przezeń wiadomości historycznych, jaką rolę odgrywał tzw. aprioryzm historyczny.

Wiadomo jednak, że rocznicowe przemówienia i artykuły nie są pisane dla rozwoju nauki ani nawet dla szerzenia autentycznej wiedzy. Można rzec: przeciwnie. Siedzę więc i czytam Pana artykuł, będący powtórzeniem przemówienia wygłoszonego na sesji Polskiej Akademii Nauk w 1970 roku. Jak już rzekłem, rzadko kiedy mam równie zepsuty humor. W artykule niesposób dostrzec rzeczowości i fachowości, której można by się spodziewać po autorze czterech naukowych obszernych książek (jeśli umiem liczyć). Twierdzi Pan, że właśnie Leninowi należy zawdzięczać zrozumienie „doniosłości nauki historycznej w życiu społecznym” a nawet zrozumienie tego, że historia jest „nauką rekonstruującą dzieje”. Przypisuje mu Pan zarówno stworzenie „metodologicznego aspektu historyzmu”, jak i odkrycie tego, że „historia jako nauka rekonstruująca dzieje, ukazująca prawidłowości rozwoju historycznego” pozwala „dokonywać przewidywań”.

Nie podejmuję się nawet streścić całego elabratu, cytaty tu podane pochodzą z pierwszych akapitów. Podobnych myśli można jednak przytoczyć więcej.

Niektóre Pana poglądy są wręcz logicznie nieskładne. Zafrapował mnie np. ten „metodologiczny aspekt historyzmu”, długo myślałem co to znaczy, by dojść do wniosku, że to nic nie znaczy. Niektóre Pana myśli są wręcz — przepraszam za trywialność — głupie, np. wówczas, gdy przypisuje Pan Leninowi zasługę zrozumienia prawd oczywistych, jasnych dla każdego początkującego studenta, lub gdy wygłasza Pan pochwałę dla programowej symplifikacji złożonych struktur społecznych, symplifikacji naukowo bezwartościowej, dokonywanej dla doraźnego, często na domiar destrukcyjnego celu politycznego, o czym jako historyk wie Pan coś niecoś.

Wystawił Pan nie tylko laurkę stworzonej przez jubilatę teorii dyktatury, która — może wbrew twórcy, ale w zgodzie z obiektywnymi prawidłowościami — ciężko przygniała tych wszystkich, którzy są obiektami jej stosowania, Rosjan, Czechów, Słowaków... no i nas. Posunął się Pan dalej. Postanowił budować „nadbudowę” dla aktualnej polityki. Cały naród polski akurat teraz mocniej niż kiedykolwiek odczuwa skutki gwałcenia „czynników obiektywnych — takich jak w pierwszym rządzie stosunki ekonomiczne”. Pan zasadę gwałcenia „czynników obiektywnych” w imię subiektywnych zachcianek podnosi do rangi zasługi, do rangi „dorobku”. Zna Pan przecież ciężar gatunkowy słów, zwłaszcza wspartych profesorskim tytułem!

Spłodził Pan artykuł jaki mógłby ukazać się w *Prawdzie*, ale jakiego od 1956 po 1967 rok nie widziało się często w polskiej prasie!

Oburzy się Pan na mnie, zapyta, po co tyle hałasu o artykuł, być może przez nikogo nie przeczytany, w gazecie, której numer umiera zanim jeszcze ukaże się w kioskach?

Otóż to, co Pan napisał, byłoby — podpisane przez profesora — niesmaczne w każdej sytuacji. Ale istniejące aktualne konteksty czynią Pana postawę wręcz niebezpieczną, wredną.

Upłynął zaledwie miesiąc, gdy powstałi do walki robotnicy Wybrzeża, tak, robotnicy stoczni im. Lenina. Minął zaledwie miesiąc od dni, w których ulicami Trójmiasta płynęła krew. Upłynęły zaledwie niepełne trzy lata od masakrowania studentów, od relegowania profesorów i asystentów, od haniebnego exodusu Żydów. Pańscy koledzy są bodajże po dzień dzisiejszy bez pracy. A ile czasu minęło od najazdu na Czechosłowację w imię „testamentu Iljicza”? A czy wie Pan w jakiej sytuacji są autentyczni uczeni czechosłowaccy?

Nie oczekuję od Pana, że stanie Pan na barykadzie, że wystąpi Pan publicznie w obronie mordowanych, ciemionych, poniewieranych, że zdobędzie się Pan na postawę Jasienicy, Andrzejewskiego, Mycielskiego, że narazi Pan na szwank swoją stabilizację, dochody, pozycję, wyjazdy zagraniczne. Ale mógłby Pan przynajmniej milczeć tam, gdzie nie ma przymusu wypowiedzania się, nie wysługiwać się. A jeśli Pan już nawet wypowiedział publicznie niezbyt mądre i niezbyt budujące myśli, nie musiał ich Pan w 1971 roku publikować!

Istnieją okoliczności, w których troska o budowanie swej osobistej pomyślności winna zejść na dalszy plan. Bo sumienie — pisał zgoła niedawno Sołżenicyn — ma się tylko jedno!

Józef LEWANDOWSKI

Styczeń 1971

Straty kultury polskiej

Jerzy Karcz (1921-1970)

I

Po raz pierwszy zobaczyłem Jurka Karcza w połowie grudnia 1944 r. w stalagu IVB w miejscowości Mühlberg w Saksonii. Przyjechałem tam z grupą „małoletnich” AKowców po dwumiesięcznym pobycie w obozie w Lamsdorfie pod Opolem, dokąd zawieziono nas po kapitulacji powstania.

Z Lamsdorfu do Mühlbergu jechaliśmy przez cztery dni i do tarliśmy tam wygodniali i przemarnięci. Na dodatek po przybyciu wsadzono nas razem z kobietami z AK, dla których zarezerwowano specjalnie odgradzony kąt obozu. Jak to się mówi po angielsku, było to *adding insult to injury*, i byliśmy z tego powodu bardzo rozgorzyczeni.

W tym to właśnie momencie zobaczyłem Jurka. W parę godzin po przyjeździe otworzyła się brama naszego *compound*'u aby wpuścić do środka trzech wspaniale wyglądających podchorążych w mundurach z 1939 roku. Pięknie skrojone płaszcze, lśniące cholewy i pasy — nie mogliśmy wprost uwierzyć własnym oczom. Trójka zakreśliła się koło nas, wysłuchiwała cierpliwie naszych skarg i obiecała pomoc. I rzeczywiście, następnego dnia wszystko zmieniło się na lepsze.

Nie pamiętam już dzisiaj czy Jurek był wtedy „mężem zaufania” jeńców polskich w Mühlbergu, czy też jego zastępcą. Pamiętam natomiast, że już wtedy roznosiła go energia, po prostu nie mógł chwili usiedzieć na miejscu, wszystko go interesowało no i on właśnie wbił się wielu z nas w pamięć. Po tej pierwszej wizycie przychodził codziennie aby nam pomóc aż do chwili naszego wyjazdu na „komenderówkę” trzy tygodnie później.

Po raz drugi zobaczyłem Jurka po jedenastu latach. W lecie 1955 byłem studentem ekonomii na Uniwersytecie Kolumbijskim w Nowym Jorku. Było to w dwa miesiące po moim ślubie. Żona również studiowała i finansowo staliśmy raczej marnie. Pew-

nego dnia dowiedziałem się przypadkowo, że jakiś Polak, ekonomista, zajmujący się badaniami nad rolnictwem sowieckim, szuka kogoś kto by mógł sprawdzać obliczenia. Najważniejsze było to, że płacił i to stosunkowo nieźle.

Następnego dnia zapukałem do drzwi małej kłitki na najwyższym piętrze Butler Library, największej biblioteki uniwersytetu. Drzwi otworzył, o dziwo, Jurek, ociekający potem, w koszuli rozpiętej do pasa. Był to chyba jeden z najgorętszych dni nowojorskiego lata, kłitka była pod samym dachem a biblioteka nie miała klimatyzacji. W paru słowach doszliśmy do porozumienia i przez następnych kilka miesięcy pomagałem mu w jego pracy.

W tym okresie badania Jurka dotyczyły struktury cen artykułów rolnych produkowanych w Rosji Sowieckiej. Była to niezmiernie mozolna praca gdyż statystyki sowieckie w latach 40-tych i 50-tych były bardzo prymitywne i Jurek musiał wydłubywać dane z najróżniejszych źródeł. Moje zadanie polegało na sprawdzaniu jego obliczeń. Była to Jurka pierwsza poważna, samodzielna praca, dająca początek jego karierze naukowej, którą, niestety, ukończył przedwcześnie 15 lat później jako jeden z trzech lub czterech najwybitniejszych specjalistów z dziedziny rolnictwa sowieckiego i wschodnioeuropejskiego.

To nasze drugie spotkanie w Nowym Jorku zapoczątkowało coraz to bliższe wspólne kontakty, które następnie przekształciły się w przyjaźń. Wkrótce potem poznaliśmy żonę Jurka — Irkę (Akaczkę z Warszawy) i ich pierwszych troje dzieci: Janka, Mysię i Jurka juniora, którego chyba dla odróżnienia od ojca wszyscy nazywali George'm. Później przybyło jeszcze dwóch synów: Bartek i Józio.

Niestety, jak to często bywa w amerykańskich środowiskach uniwersyteckich, Jurek skończył po pewnym czasie swoje badania, zdał egzamin doktorski z ekonomii i wyjechał do University of North Carolina aby kontynuować badania nad gospodarką sowiecką. Wpadał od czasu do czasu do Nowego Jorku ale wyglądało na to, że nasze kontakty pręcej czy później ulegną rozluźnieniu. Po paroletnim pobycie na południu Stanów Jurek przeniósł się nad Pacyfik, gdzie objął profesurę na wydziale ekonomii Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara. Kontakty nasze zupełnie się właściwie urwały.

Trzeba trafu, że w 1963 zdecydowałem się na objęcie stanowiska na wydziale nauk politycznych Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. Ni stąd ni zowąd zostaliśmy z Jurkiem kolegami na tym samym uniwersytecie, i od tej pory widywaliśmy się regularnie. Santa Barbara leży około stu mil na północ od Los Angeles i Jurek często wpadał do Los Angeles, gdzie były lepsze biblioteki.

Dla odmiany rodzina Korbońskich (w tym czasie dorobiliśmy się już dwóch córek) od czasu do czasu jechała na niedzielę do Karczów. Jurkowie mieli w Santa Barbara ładny dom z dużym ogrodem. Chodziliśmy się razem kąpać, jeździliśmy na wycieczki

w góry, chodziliśmy na spacer. Szczególnie nam było miło, że nasze dzieci bardzo się wzajemnie polubiły — aż było przyjemnie patrzeć.

Podczas naszych wizyt dom Karczów z reguły rozbrzmiewał dźwiękami najróżniejszych marszów wojskowych, które Jurek nastawiał na naszą cześć. Pochodząc z rodziny o dużych tradycjach wojskowych (ojciec, znany kawalerzysta, w swoim czasie dowódca 1-go Pułku Szwoleżerów, zginął w Oświęcimiu; matka, przed wojną bardzo aktywna w organizacjach i instytucjach związanych z wojskiem; młodszy brat Janek, oficer 1-ej Dywizji Pancerniej, był komendantem czołgu, który zamknął słynny kościół pod Falaise) jedną z Jurka *hobbies* była historia wojskowości polskiej i często godzinami rozmawialiśmy na ten temat.

W międzyczasie Jurek zaczął się szybko wybijać na czoło ekspertów od spraw rolnictwa Europy Wschodniej. W 1965 zorganizował niezmiernie ciekawą konferencję na ten temat, rezultaty której ukazały się w formie książki pod jego redakcją. Coraz więcej jego artykułów zaczęło ukazywać się na łamach czasopism naukowych. Był coraz częściej zapraszany na konferencje naukowe jak również do całego szeregu amerykańskich komisji doradczych.

Na rok akademicki 1966-67 obaj z Jurkiem dostaliśmy urlop z uniwersytetu i postanowiliśmy spędzić go w Europie Wschodniej. Jurek z rodziną pojechał na jesień do Bułgarii a ja do Czechosłowacji. Spotkaliśmy się ostatecznie w lutym 1967 w Pradze. Czeskie Ministerstwo Szkolnictwa, które się nami opiekowało, przydzieliło obu rodzinom dwa małe mieszkanie na terenie Wyższej Szkoły Rolniczej w małym miasteczku pod Pragą.

Przez następne pięć miesięcy obie rodziny były wprost nierozłączne. Zajmowałem się razem z Jurkiem problemami reform gospodarczych, które właśnie zaczęły wchodzić w życie w Czechosłowacji. Codziennie jeździliśmy razem do Instytutu Ekonomii Czeskiej Akademii Nauk, gdzie przeprowadzaliśmy nasze badania. Starsze dzieci chodziły do szkoły przy ambasadzie amerykańskiej, a młodsze bawiły się w domu czy na dworze. Na *weekend'y* obie rodziny wyjeżdżały za miasto na zwiedzanie licznych zamków, pałaców i kościołów, których pełno jest w okolicach Pragi, lub też chodziły na długie spacery wśród lasów nad Wełtawą.

Chyba w tym okresie najbardziej zbliżyliśmy się z Jurkiem. Rozmawialiśmy całymi godzinami pijąc dobre czeskie piwo i jadając doskonałe praskie parówki. Opowiadał mi wtedy Jurek o swym wyjeździe z Warszawy we wrześniu 1939, o pobycie na Litwie, przedostaniu się do Francji i do tamtejszej armii polskiej, i wreszcie o dostaniu się do niewoli w 1940. Wyjeżdżaliśmy wspólnie na zwiedzanie spółdzielni i PGR-ów czeskich, gdzie Jurek przeważnie prowadził długie rozmowy z ekonomami i księgowymi a ja wymieniałem grzeczności z przewodniczącymi spółdzielni. Były to niezmiernie ciekawe i niezapomniane chwile,

szczególnie gdy się weźmie pod uwagę to, że w parę miesięcy po naszym wyjeździe wybuchła Praska Wiosna.

Jurek, jak zawsze, wyżywał się. Wykorzystywał każdą chwilę swego pobytu, aby czegoś się dowiedzieć i nauczyć. Pracował bez przerwy, pisząc jednocześnie trzy prace na różne tematy. Pomimo, że był ode mnie o parę lat starszy nie mogłem mu na ogół nadażyć. Energia po prostu roznosiła go — bez przerwy nad czymś myślał i co chwilę miał jakieś nowe pomysły, teorie i idee. Pamiętam, że od tego czasu zacząłem się na niego patrzeć z prawdziwym podziwem.

Po powrocie do Kalifornii widywaliśmy się regularnie, przeważnie na zebraniach w Berkeley, gdzie raz na miesiąc spotykała się grupa profesorów zainteresowanych w zagadnieniach sowieckich i wschodnioeuropejskich. Jurek był jednym z liderów tej grupy i zawsze miał coś ciekawego do powiedzenia.

W tym czasie opublikował parę artykułów na temat początków kolektywizacji w ZSSR, które rzuciły nowe światło na decyzję Stalina z późnych lat 20-tych. Artykuły te są już w tej chwili klasykami. Napisał również szereg ciekawych artykułów na temat modeli wzrostu gospodarczego ze szczególnym uwzględnieniem roli rolnictwa. Rozpoczął dużą pracę dotyczącą rolnictwa Wschodniej Europy w okresie powojennym. Wreszcie przygotowywał się do pracy na temat reform gospodarczych w tym rejonie.

Wydawało się, że lata ciężkiej twórczej pracy pozwoliły mu wreszcie trochę zwolnić tempa. Pomimo to, że w dalszym ciągu dużo pracował, miał już ustaloną opinię jako jednego z czołowych specjalistów w swojej dziedzinie i mógł już robić tylko to, co go rzeczywiście interesowało. Jednocześnie sporo czasu spędzał na uniwersytecie, gdzie bardzo aktywnie zajmował się sprawami studenckimi, które w tym czasie dochodziły już do stadium wybuchu.

Najstarszy syn, Janek, był już na pierwszym roku uniwersytetu, Mysia była przed maturą, a pozostali chłopcy również rośli. Po raz pierwszy od lat także Irka mogła swobodnie odetchnąć. Wszystko wskazywało na to, że następne lata przyniosą spokój i szczęście.

Ostatni raz widziałem Jurka w połowie listopada na konferencji w University of Michigan. Był w doskonałej formie, był jak zawsze duszą zebrania, w przerwach otoczony gromadą kolegów i studentów. Z trudem udało mi się go złapać któregoś wieczoru, żeby chociaż zamienić parę słów.

Trzy tygodnie później byłem w Europie i po powrocie, w samą wigilię, dowiedziałem się, że Jurek nie żyje. Umarł jak stary kawalerzysta na koniu, na atak serca, w wieku lat 49.

Cóż więcej można powiedzieć? Chyba tylko „Spój kolego w ciemnym grobie...”.

Andrzej KORBOŃSKI

II

Do studium ekonomiki przerzucił się dość późno: już po trzydziestce i po uzyskaniu magisterium z historii w Kent University (Ohio). Do zmiany kierunku studiów przyczynił się temat pracy magisterskiej — o etatyźmie w Polsce międzywojennej — zjawisko historyczne napraszające się o analizę ekonomiczną. A obóz jeniecki, gdzie spędził pięć lat, czyż nie był w pewnym sensie rodzajem gospodarki planowej, rządzonej preferencjami planistów? Dość na tym, że w 1952 r. Jerzy Karcz przeniósł się z Ohio do Uniwersytetu Kolumbijskiego w Nowym Jorku, gdzie otrzymał stypendium na ambitny program studiów zmierzający do doktoratu z ekonomiki i jednocześnie do dyplomu instytutu rosyjskiego. W tym ostatnim studenci zdają egzaminy z kursów odnoszących się do ZSSR na pięciu różnych wydziałach, a w dodatku studiują intensywnie język rosyjski.

Odsiew studentów w pierwszych latach studiów był wysoki. W naszym wieku wąskiej specjalizacji stosunkowo niewielu doktorantów potrafi sobie poradzić z tak różnorodnym programem i zarazem utrzymać celujące stopnie w głównym kierunku studiów — dla Jurka ekonomice — bez których niesposób byłoby utrzymać stypendium. Przez cały okres studiów Jurek siedł w czołówce. Był wybitnie zdolny i ciężko, bardzo ciężko pracował: trudno bez tego o sukces w nowym kraju i w środowisku akademickim gdzie zasada *the survival of the fittest* grała wtedy jeszcze dominującą rolę. Co jednak w nim najbardziej uderzało, to niesamowita zdolność koncentracji na danym temacie: niczym mistyk średniowieczny potrafił kontemplować godzinami skomplikowany problem statystyczny, zapominając o świecie, aż rozwiązanie zjawiało się „samo”. A wtedy — równie rzadka zaleta wśród uczonych! — potrafił oderwać się natychmiast i całkowicie od dopiero co wyprowadzonej formuły i znów dać nurka w świat. Rodzina, sprawy polskie, przyjaciele. Znajdował czas na wszystko, żył intensywnie i wielostronnie.

Rozprawę doktorską, ukończoną w roku 1958, napisał na temat dostaw i cen produktów rolnych w ZSSR w latach 1928-1954. Została opublikowana przez słynną amerykańską „fabrykę myśli”, The RAND Corporation¹. Dysertacja ta jest typowym przykładem żmudnej, systematycznej pracy badawczej, „dobrej roboty” sowietologów z prawdziwego zdarzenia². Na 504 stron, właściwy tekst zajmuje 53, reszta to aneksy, przypisy, objaśnienia, bibliografia. Nieraz trzeba było przewertować setki zakurzonych numerów (jakże nudnych!) gazet sowieckich dla zdobycia jednej, jedynej danej statystycznej a potem strawić kilka dni badając

1. *Soviet agricultural marketings and prices 1928-1954*, Santa Monica, California, Rand Corp. RM-1930.

2. Odróżnijmy ich od bardziej licznych i bardziej sensacyjnych publikacji „kremologicznych”, których głównym kryterium naukowym jest zasada „Zgaduj zgadula”.

jej wiarygodność — i nieraz odrzucić. Jak w olbrzymiej mozaice, z tych rozproszonych fragmentów Jurek skonstruował indeksy cen różnych kategorii produktów rolnych w okresie stalinowskim. Pokazał jak warunki wymiany między sektorem miejskim a wsią zmieniały się na niekorzyść wsi, jak rząd operował mechanizmem dostaw przymusowych, jak kształtowały się ceny na bazarach gdzie kołchoźnicy sprzedawali resztki swej produkcji ludności miejskiej i wiejskiej. Te obliczenia Jerzego Karczka weszły z kolei, jako ważny składnik, do klasycznych obliczeń dochodu narodowego ZSSR, dokonanych przez Abrama Bergsona, i do studium płac realnych napisanego przez Janet Chapman. Był to więc jeden z nie tak znów częstych wypadków gdy praca doktorska stała się rzeczywistym raczej niż tylko symbolicznym przyczynkiem do wiedzy. Głównym osiągnięciem było tu oczywiście nie tylko obliczenie indeksów, ale też wskazanie na trudności kryjące się za różnymi ich składnikami, na margines błędu, na luki pozostające do wypełnienia. Stąd głównie konieczność tych 450 stron aneksów i przypisów. Na ich podstawie, przyszły badacz może odtworzyć warunki „eksperymentu myślowego” dokonanego przez autora, sprawdzić jego rozumowanie, skontrolować wyniki w świetle nowej informacji.

W roku 1960, po kilku latach pracy badawczej nad metodami *input-output* na Uniwersytecie Północnej Karoliny, Jerzy Karcz został zaproszony do Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barbara, w jednym z najpiękniejszych i — jak się wówczas zdawało — najspokojniejszych miast amerykańskich. Zaczynając jako docent, w roku 1968 był już profesorem zwyczajnym i, zdawało się, miał przed sobą długie lata kariery naukowej i harmonijnie układającego się życia osobistego. W ciągu lat sześćdziesiątych zorganizował ogólnokrajową konferencję specjalistów od spraw ekonomiki rolnictwa sowieckiego i wschodnioeuropejskiego, wydał jej materiały³, i ogłosił cały szereg artykułów na tematy rolnictwa sowieckiego. Przed śmiercią był już jednym z trzech czy czterech czołowych ekspertów w tej dziedzinie w Ameryce i Europie Zachodniej. Pracę teoretyczną uzupełniał dłuższymi pobytami, w ramach wymiany naukowej, w ZSSR i w Europie Wschodniej.

Trudno byłoby nawet wymienić prace naukowe Jerzego Karczka w ramach tego krótkiego wspomnienia, cóż dopiero streścić je czy ocenić. Wspomnę więc tylko jeden artykuł, do którego sam Autor przywiązywał szczególne znaczenie, „Thoughts on the Grain Problem”⁴. Studium to, ogłoszone w roku 1967, już teraz można uważać za jeden z klasycznych przyczynków do sowieckiej historii gospodarczej. Autor rzuca w nim nowe światło na jeden z najdonioślejszych problemów tej historii: czy przymusowa kolektywizacja rolnictwa w latach 1929/30 była usprawiedliwiona wymaganiami szybkiego uprzemysławiania?

3. *Soviet and East European Agriculture*. Edited with a preface by J. F. Karcz. Berkeley, Univ. of California Press, 1967.

4. *Soviet Studies* (Glasgow), Vol. XVIII, April 1967, No 4.

W swej szeroko cytowanej wypowiedzi Stalin oświadczył wówczas że tak. Przytoczył on dane statystyczne według których dostawy rynkowe ziarna spadły z 26 % produkcji globalnej w r. 1913 do 13,3 % w r. 1926/27, i spadały nadal w następnych latach, co uniemożliwiało aprowizację rosnącej ludności miejskiej, nie mówiąc już o eksporcie, bez którego trudno byłoby finansować import maszyn. W myśl tego rozumowania, kolektywizacja rolnictwa i wprowadzenie dostaw przymusowych były konieczne, gdyż odebrały chłopom prerogatywę decydowania, jaką część swej produkcji przeznaczą na rynek. Udział dostaw rynkowych w produkcji znacznie się podniósł, co z kolei zapewniło aprowizację miast i dostawy produktów rolnych dla przemysłów przetwórczych i na eksport.

Dane statystyczne przytaczane przez Stalina nie były na ogół kwestionowane. Karcz wskazuje jednak, że oparte one są na swego rodzaju mirażu statystycznym, gdyż nie mówiąc o tym (a może i nie zdając sobie z tego sprawy) Stalin posługuje się bardziej szeroką definicją dostaw rynkowych dla Rosji carskiej, w r. 1913, i znacznie węższą definicją dla r. 1926/27. Karcz przelicza te dane, używając jednolitych, porównywalnych definicji. Okazuje się wówczas, że dostawy rynkowe ziarna, jako część produkcji globalnej, bynajmniej nie spadły o połowę (jak twierdził dyktator), że raczej pozostały one na prawie niezmiennym poziomie w stosunku do lat przedwojennych: udział dostaw rynkowych zboża w produkcji globalnej w latach 1926-28 spadł o zaledwie 3,3 % (a nie o 50 %, jak twierdził Stalin!) w stosunku do poziomu z lat 1909-1913.

Nie na tym koniec. Karcz wskazuje, że przecież rola rolnictwa w uprzemysławiającym się kraju bynajmniej nie ogranicza się do dostarczania zboża, zaś dane statystyczne Stalina odnoszą się wyłącznie do zboża. Tymczasem, w latach 20-tych, chłopcy sowieccy najzupełniej racjonalnie przerzucali się od kultur zbożowych do produkcji rynkowej mięsa, nabiału, roślin oleistych. Był to zdrowy objaw intensyfikacji rolnictwa, w rezultacie którego zarówno dostawy rynkowe jak eksport tych artykułów były istotnie wyższe u progu pięciolatki aniżeli w latach przedwojennych 1909-1913. Sam rząd zresztą przyczynił się do tego, *obniżając* ceny płacone chłopom za zboże po roku 1925/6. Tak więc, sławny „kryzys zbożowy” był częściowo spowodowany przez tę politykę cen, nie miał on też rozmiarów sugerowanych przez statystyczne dane użyte przez Stalina.

Autor sądzi, że jeszcze pod koniec roku 1927, rząd mógł znacznie zwiększyć dostawy zboża przez stosunkowo niewielką podwyżkę cen płaconych za nie chłopom. Na dłuższą metę mógł on też zwiększyć wydajność gospodarki chłopskiej kosztem stosunkowo niewielkich inwestycji, np. zamieniając 5 milionów pługów drewnianych na metalowe, ulepszając selekcję i czyszczenie ziarna itp. Główną konkluzją Karczka jest, że indywidualna gospodarka chłopska w latach 20-tych działała sprawniej i racjonalniej niż dotąd sądzono, że była w większym stopniu nastawiona

na produkcję rynkową niż Stalin sugerował, że rząd miał większą swobodę manewru aniżeli dotąd sądzono (i może aniżeli sam sądził) i że polityka szybkiego uprzemysłowienia mogła prawdopodobnie być przeprowadzona nie porzucając nepowskiej polityki regulacji rynków rolnych na rzecz przymusowej kolektywizacji. Autor zresztą słusznie podkreśla, że ten ostatni wniosek jest sporny, jak wszystkie analizy historyczne typu „co by było, gdyby...”. Wielką zasługą tego artykułu jest, że przy użyciu skromnej, zdawałoby się, dźwigni (zmiany w definicji dostaw rynkowych) Autor podważa jeden z najbardziej omszałych kamieni węgielnych stalinowskiej doktryny uprzemysłowienia. Wykazuje on, że najważniejsza chyba decyzja ekonomiczna, powzięta w Związku Sowieckim w ciągu ostatnich 50-ciu lat, nie miała uzasadnienia statystycznego, na które się powoływano. Sprawa ta wciąż zresztą jeszcze jest aktualna, m.in. w Polsce.

Praca naukowa Jurka rozpoczęła się od studium zagadnień gospodarki polskiej. Planowaniem sowieckim zainteresował się początkowo jako kluczem do spraw polskich, później, jak to często w nauce bywa, to co miało być środkiem, stało się celem samym w sobie. W ostatnich latach jednak, koło się zaczęło zamykać. Z nagromadzonym bagażem encyklopedycznej niemal wiedzy o rolnictwie sowieckim powrócił do badań naukowych nad rolnictwem krajów wschodnioeuropejskich, włącznie z rolnictwem polskim. Przed śmiercią pisał monografię, która miała podsumować tę wieloletnią pracę i przeanalizować wytyczne rozwoju i planowania rolnictwa Europy Wschodniej w powojennym ćwierćwieczu.

Pracy tej nie ukończył. Znając Jurka, miało się wrażenie, że w ciągu pięciu lat niewoli nagromadził tak olbrzymi zapas energii, jak sprężyna ściśnięta jakimś olbrzymim ciężarem. Przez lata studiów i pracy naukowej energia ta wyzwaliała się, lecz zdawało się, że ma jej zasób niewyczerpany, że starcza jej z nawiązką na wszystkie sprawy jego bogatego życia. W ostatnim liście, pisany na dzień przed śmiercią, po raz pierwszy odkąd go znałem, napomknął jak bardzo czuje się zmęczony. I że zamiast jechać — jak planował — na kolejny zjazd ekonomistów, postanowił spędzić wakacje bożenarodzeniowe z rodziną i w ciszy biblioteki. „Czas wreszcie i o sobie pomyśleć”.

Lecz czasu już nie było. Serce nie wytrzymało. Następnego dnia zmarł nagle, nie przy biurku, nie w łóżku szpitalnym, ale w polu, jadąc konno. Jak niegdyś za żołnierskich czasów, czy jeszcze wcześniej w dzieciństwie, w koszarach 1-go Pułku Szwoleżerów, którym ojciec jego dowodził.

Krąg zamknął się. Śmierć przyszła

*gdy życia koniec szepce do początku
„Nie stargam cię ja — nie! ja uwydatnię!”*

Leon SMOLIŃSKI

Pamięci Kazimierza Bulasa

Zmarły jesienią ub.r. Kazimierz Bulas był wybitnym filologiem i archeologiem, autorem powszechnie znanych i cenionych prac, wydawanych w Polsce jeszcze przed wojną, w różnych językach, głównie na tematy starogreckie. Uwięziony wraz z innymi profesorami przez Niemców w październiku 1939 r., Bulas przeżył obozy Sachsenhausen i Dachau; z nadwreżonym zdrowiem wrócił po wojnie do Krakowa, który następnie opuścił w 1947 r., aby już odtąd pozostać na Zachodzie i poświęcić się naukowej pracy bibliotekarskiej. Od 1952 r. sprawował funkcję kustosa biblioteki Uniwersytetu Rice w Houston (Texas), gdzie zmarł w sześćdziesiątym siódmym roku życia.

Dla szerszego ogółu Polaków, a zwłaszcza dla tych którzy słownikami posługują się zawodowo, Kazimierz Bulas zostanie w pamięci przede wszystkim jako autor monumentalnego dzieła z zakresu polsko-angielskiej leksykografii, wydanego z inspiracji i na koszt Fundacji Kościuszkowskiej u Moutona w Hadze (tom I, angielsko-polski, opracowany przy pomocy F. J. Whitfielda, w roku 1959; w 1961 roku tom II, polsko-angielski, przy którym współpracował dodatkowo trzeci uczonej, Lawrence L. Thomas).

Jakkolwiek krajowy Wielki Słownik Stanisławskiego (tom angielsko-polski: 1966; tom polsko-angielski: 1969) usunął w ostatnich latach wyłączenie dzieła Bulasa, którego wznawiane nakłady już i tak od pewnego czasu są wyczerpane, było ono do niedawna jedynym słownikiem angielsko-polskim i polsko-angielskim prawdziwie użytecznym i rzetelnie interpretującym słownictwo tych dwóch języków. Bulas uwzględnia ponadto ze szczególną pieczołowitością słownictwo, jego zastosowanie i zwroty charakterystyczne dla dialektu, a nawet dla szeregu dialektów amerykańskich.

Niewątpliwie mniej bogaty w części polsko-angielskiej — zwłaszcza jeżeli chodzi o zwroty, przysłowia, powiedzenia — od Stanisławskiego, który nb. także uwzględnia amerykańskizmy, słownik Fundacji Kościuszkowskiej, również różnicowany, czasem nawet w konkretnych hasłach drobniej pocięty na odcienie znaczeniowe, został przygotowany w trudniejszych warunkach, przy współpracy znacznie mniejszego sztabu uczonych, recenzentów i redaktorów. Duszą słownika i głównym jego twórcą był jeden człowiek: Bulas; przy tym poważna luka w tej dziedzinie domagała się szybkiego wypełnienia. Słownik powstał w rekordowym tempie i oddaje już drugiemu pokoleniu w Kraju i za granicą ogromne usługi.

We własnej praktyce i konkretnej pracy, która czasami polega

również na tłumaczeniach, stwierdzam, że posługując się jednym i drugim słownikiem jednocześnie osiągam największy wybór możliwości słownych w danym kontekście językowym, kulturowym, stylistycznym i znaczeniowym. Przy bogatszym wyborze podanych pod rozwagę — i do ewentualnego użytku — odpowiedników poszukiwanego właściwego słowa lub zwrotu, wzrasta niewątpliwie selektywność tłumacza, a jego własna wyobraźnia działa sprawniej. Zaplecze dwóch rzetelnych słowników sprawia, że chyba częściej trafiam na właściwy dla nowego kontekstu odpowiednik, czasem nawet odpowiednik nie uwzględniony w słownikach lub podany pod innym hasłem, które mnie samej mogło nie przyjść na myśl. Sprawdzony w kilku słownikach jednojęzycznych dotyczących języka, na który tłumaczymy, odpowiednik może już potem niekiedy pójść w nowym kontekście, ze względu symetrią wobec oryginału, nie kulejąc zbytnio. O ile tłumacze, zwłaszcza zawodowi, tekstów literackich i naukowych, są czymś w rodzaju męczenników, o tyle autorów słowników można uznać wręcz za bohaterów.

Badając analogiczne hasła w obu słownikach można spostrzec, że większość odpowiedników pokrywa się; istnieje jednak spory margines odchylenia, który całkiem często w porównaniu — jeżeli o wycucie odcieni znaczeń chodzi, a zwłaszcza o ich liczbę w danym hasle — wypada na korzyść zasady Bulasa.

Nie ma tu oczywiście ani czasu, ani miejsca na naukowe przeprowadzenie analizy rozdzielczej strategicznie dobranych próbek, którą w imię dokładności stosują lingwiści-semantycy w badaniach nad pracami leksykograficznymi. Ogólnikowo można orzec, że niemal wszystkie poszczególne wyrazy, których celne odpowiedniki angielskie, nie mówiąc o samej obecności tych wyrazów w słowniku Stanisławskiego, wprowadziły w słuszny zachwyt świetnego leksykografa, Piotra Borkowskiego („Blaski i cienie słownictwa”, *Wiadomości*, Londyn, 3 stycznia 1971), znajdują się również u Bulasa, najczęściej z tym samym angielskim odpowiednikiem, niekiedy z innym, czasem z mniej udanym (np. *filomata* — Bulas: *philomath*; Wielki Słownik: *member of a secret student society at Vilno University, 1817-1823*), czasem z dokładniejszym w samym wyrazie, choć na ogół mniej różnicowanym i bogatym, jeśli chodzi o pochodne. Weźmy jeszcze jedno z hasel wymienionych w artykule Borkowskiego jako przykłady pomysłowości i dokładności Wielkiego Słownika. Jak się przedstawia np. *góral* w konfrontacyjnym zestawieniu obu słowników?

SŁOWNIK
FUND. KOŚCIUSZKOWSKIEJ

GÓRAL mp 1. —KA f. mountaineer, highlander. 2. pl. (podczas rewolucji franc.) the Mountain. 3. sl. a banknote of 500 zł (during the German occupation 1940-1945). —SKI a. mountaineer's.

WIELKI SŁOWNIK

GÓRAL sm 1. (mieszkaniec gór) mountaineer; uplander 2. pot 500-złoty war-time banknote
GÓRALCZYK sm pl N. —I young mountaineer
GÓRALECZKA sf mountaineer girl, young mountaineer woman

GÓRALKA sf mountaineer woman
GÓRALSKI adj mountaineer's, mountaineers'
GÓRALSZCZYŻNA sf singt. 1. (*kultura*) the mountaineer's way of life; folklore of the Carpathian mountaineers 2. (obszar) Carpathian uplands

O ile zwroty, powiedzenia i przysłowia są w części polsko-angielskiej Bulasa nieco uboższe, o tyle angielsko-polska wydaje się równie obfita i urozmaicona; dzięki temu słowniki dopełniają się i wzbogacają wzajemnie.

Przez długie lata, tłumacząc sporo z francuskiego na polski i z polskiego na francuski, posługiwałam się słownikiem... Bulasa. W braku słownika francusko-polskiego (Kalina się nie liczy) przebijałam się mozolnie poprzez polsko-angielską część Bulasa do angielsko-francuskiego tomu Harrap's, albo też z powrotem, od francusko-angielskiego tomu Harrap's poprzez angielsko-polski Bulasa. Długa jest droga słów i zawiłe ścieżki znaczeń. Godni najwyższego podziwu są ludzie dostatecznie odważni, żeby podjąć się sporządzenia jakiegokolwiek słownika, a co dopiero słownika zdatnego do użytku.

Za imponujące dwa tomy pierwszego znakomitego, po dzień jednego z dwóch najlepszych słowników polsko-angielskich, otrzymał Bulas nagrodę (10.000 dolarów) Fundacji Forda i złoty medal Fundacji Kościuszkowskiej. Niecałe dziesięć lat cieszył się swoim wielkim osiągnięciem, zasłużonym powodzeniem i powszechną wdzięcznością posługujących się jego słownikami ogromnej ilości ludzi w wielu krajach, łącznie z Polską, gdzie kosztowne wydawnictwo Moutona zostało uprzystępnione w nakładzie mniej luksusowym i było sprzedawane za złotówki.

Uczeni z biegiem lat często zważają granice swoich zainteresowań, skupiając się stopniowo na coraz drobniejszych odcinkach swoich specjalistycznych badań. Znana jest karykatura badacza, który coraz więcej wie o coraz mniejszym zakresie, aż na koniec wie wszystko — o niczym. Natomiast do rzadkości należą naukowcy, których droga otwiera coraz to nowe wrota, a umysł odkrywa świeże tereny zamięłowań. I pod tym względem — od wczesnej *Keramiki greckiej* i podstawowego *Corpus vasorum antiquorum* do wybitnego słownika dwujęzycznego — naukowa przygoda Bulasa jest niezwykła.

Olga SCHERER

Kronika kulturalna

Awantura w Hanowerze

Konieczność napisania tego przekazu stała się oczywista gdy wysłuchałem inauguracyjnego przemówienia Hemara na kongresie w Londynie. Podał on, jako pozytywny wkład emigracji, liczbę półtora miliona książek wydrukowanych na obczyźnie. Półtora miliona egzemplarzy? Zdziwiłem się. Jak to? I wróciwszy z Londynu do Paryża zacząłem liczyć. Jak mogłem i jak umiałem, tak liczyłem, nie posiadając danych z tej już teraz mitycznej i kolorowej epoki na terenie zachodnich Niemiec, w Hanowerze, na brzeg którego wyrzuciły mnie ostatnie konwulsje wojny, gdy to spod bomb i sieci Gestapo zdołałem umknąć z niebardzo podłego miasta Celle.

Na wstępie proszę o wybaczenie że poruszając po niemal ćwierćwieczu (chodzi o lata 1945-1948) dorobek wydawniczy polskiego ośrodka w Hanowerze, zmuszony będę, między innymi, wspominać również o sobie. Byłem w środku tej akcji, absurdalnej, zuchwałej, naiwnej i pełnej prymitywnego uporu. Powodzenie koncepcji naszej opierało się na fikcji, którą udawało się, wbrew rozmaitym przeszkodom, utrzymać w ciągu trzech lat, wystawiając na dudka Anglików, unicestwiając złe zamiary UNRRA. Niestety, często walcząc z największym wysiłkiem z rodakami, którzy z właściwą im dociekliwością starali się dojść nie tylko do źródeł tej zadziwiającej imprezy, rezultatu obozowej bezczelności, swoiście pojmowanego patriotyzmu, powiązanego z naiwnym lecz mocnym przekonaniem, że cierpieniom wychodźczej masy Polaków należy się nieograniczone zadosyćuczynienie (a więc przy nadarzającej się sposobności również i to, w postaci drukowanego słowa, którego w ciągu kilku lat wojny była na terenie Niemiec zupełnie pozbawiona), lecz zarazem bliżej zainteresować się jej aspektem „żłotonośno-kurzym”. Były to osobistości ostro zapatrzone w przyszłość i posiadające w wysokim stopniu wycucie tak zwanego „ciągu na bramkę”.

A teraz zaczynam od początku.

Któręś dnia, w kwietniu lub maju 1945 roku, przyszedł do

mnie, sekretarza sławetnego Polskiego Związku Wychodźców Przymusowych, nocny stróż z drukarni niejakiego Hennemanna, położonej na Ostfeld, przedmieściu Hanoweru, starszy człowiek który z niejednego pieca chleb jadał i który wbrew „nikczemnej” postaci, posiadał dobrze funkcjonujące klepki w łepetynie, znaczonej zagłobową obrotnością oraz bielmem na lewym oku.

Stróż ten, nazwiska jego nie pomnę, zawleczony jak inni na roboty do Niemiec, podał mi informację że drukarnia Hennemanna, nacjonal-socjalisty, od lat przyjaciela Hitlera, nie uległa w czasie bombardowań zniszczeniu lecz że stoi całkiem gotowa do ruszenia z kopyta. Że właściciel jej zniknął (jak się później okazało, popełnił samobójstwo) i że kierownik jej biedzi się co począć, nie mogąc przedsięwzięcia uruchomić na skutek ogólnego zarządzenia aliantów, wzbraniającego bez ich zezwolenia (głównie ze względu na brak papieru) jakiegokolwiek pracy drukarskiej na terenie ich okupacji.

Tak się zdarzyło że w tym czasie poznałem niejakiego pana Engelbrechta, właściciela drukarni przemienionej na proszek w czasie jednego z bombardowań, fachowca dużej miary i człowieka handlowo bardzo zręcznego.

Milionowej rzeszy Polaków w Niemczech, unieruchomionej po obozach i czekającej na repatriację, tak czy inaczej żywność przez okupantów, dysponującej praktycznie biorąc całym swym czasem, potrzebna była książka. Niemal wszystko jedno jaka książka. Po prostu drukowane po polsku słowo. Słowo pisane, którego była ta rzesza pozbawiona przez cztery lata. Trudno sobie dziś wyobrazić do jakiego stopnia głód ten był integralny, nawet u ludzi którzy zazwyczaj nie trudnią się czytaniem. Był to głód niejako już mistyczny, ludzi tak sponiewieranych warunkami, iż wydawało im się że dopiero dotykając kartek polskiej książki odzyskują godność człowieka, staną na poziomie wolnego kontrahenta przez wystąpienie z szeregu niewolników. Tak było na pustyni, na której ułowienie polskiej książki równało się zdobyciu czarodziejskiego kwiatu w noc świętojańską.

Inżynier Rainelt, ja, bodaj ks. Józio Nowak (współtowarzysz mej ucieczki z Celle), zdecydowaliśmy prawem kaduka że Engelbrecht z naszego ramienia obejmie władzę nad drukarnią Hennemanna. Że dotychczasowy kierownik drukarni Deichelbohrer (człowiek jak się okazało dużej uczciwości i jeszcze większej dla mnie życzliwości) poprowadzi tę drukarnię która na całą parę podejmie się druku wyłącznie polskich książek, boć przecież, sądziliśmy, zakaz druku nie mógł stosować się do aliantów (nas) i do języka polskiego. Inżynier Rainelt, ja, Józio Nowak zawieraliśmy umowę na podstawie danego nam przez okupantów prawa drukowania po polsku. Owego zezwolenia nie pokazywaliśmy nikomu, ani Engelbrechtowi ani Deichelbohrerowi, po prostu dla tego że zezwolenie to istniało tylko w naszej wyobraźni. Byliśmy wystarczająco silni naszym przeświadczeniem, że nikt nie będzie miał odwagi przeszkodzić nam w naszej pracy. Prze-

świadczenie co najmniej naiwne, wtedy jednak, w pełni euforii i egzaltacji czasu tuż po zakończeniu wojny, mające charakter czegoś niezmiernie oczywistego i zrozumiałego, zdawałoby się, dla wszystkich rozsądnych i uczciwych ludzi.

I w tym momencie gdy już dwa linotypy, kaszty składu ręcznego, maszyny płaskie i rotacyjne czekały na nasze zamówienie, stanęliśmy przed ślepym murem. Nie mieliśmy ani jednego wzorca by go dać drukarni do zżucia. Szukaliśmy w obozach, szukaliśmy wśród urzędników UNRRA, szukaliśmy w bibliotekach — czegoś takiego jak książka polska nie można było znaleźć. Pełen zwątpienia, niewątpliwie również ukrytego nawet przed samym sobą zadowolenia z pożytku mej niebezpiecznej pracy, rzuciłem na skład ręczny zbiorek mych sonetów pod tytułem „ŁUSKI SYRENY”, sonetów tęsknoty za Warszawą, pisanych w warunkach nieludzkich egzystencji w Buchenwaldzie, gdzie posiadanie ołówka i notatek równało się śmierci. Pisałem te wiersze na bibułkach papierosów, maczkiem którego sam nie potrafiłem później z łatwością odczytać, piśmem ciągłym, bez przerw, by zaoszczędzić papier, przy czym każdy sonet, tryś jego, odbijałem naprzód w pamięci, uderzając oskardem dzień w dzień w skałę kamieniołomu. Budowa sonetu trwała nieraz i miesiąc, ale notowana na bibułce treść była ostateczna, nie mogłem jej już poprawić czy odmienić, właśnie z racji braku papieru. Przyjacieli pracujący w Gustlofie zmontował dla mnie pudełko o dwojcie podwójnym dnie, by przy rewizji nie pozbawiono mnie mego z trudem powiększanego skarbu, oskarżając zarazem o szpiegostwo na rzecz Rosji czy Ameryki. Teraz więc, po prostu oddałem, przepisawszy na maszynie, tworzywo to do drukarni. W tym miejscu mała dygresja. W jednej z nowel Londona człowieka, w ostatnim momencie ocalony od głodowej śmierci przez wielorybników, w ciągu kilku następnych dni w tajemnicy gromadzi w swej kajucie stosunkowo wielkie zapasy żywności, magazynowane „na wszelki wypadek”. Podobną obsesją musiałem i ja być ogarnięty. W ciągu lat wisząc nad przepaścią, chciałem w jednej chwili uczynić możliwie wszystko, zasiać i zebrać plody w czasie jednego dnia, nie wierząc już zbyt w trwałość jutra, w kontynuację życia, które dla mnie, czułem to, zostało przecięte błyskawicą Apokalipsy. Książeczka, trzydziestostronicowa, ukazała się w maju 1945, jako pierwsza książka po-wojnia, nie tylko chyba w Niemczech ale i w Polsce. Nakład tysiąca egzemplarzy rozszedł się w ciągu jednego dnia. Drugie i trzecie wydanie ukazało się w ciągu najbliższych miesięcy. Nigdy przedtem i potem nie miałem jako pisarz i poeta, takiego powodzenia.

W tym czasie udało nam się już zdobyć egzemplarz książki Tadeusza Bornholza — HISTORIA POLSKI. Dziesięć tysięcy nakładu poważnego podręcznika zniknęło jak dym w ciągu dwu tygodni. Ludzie, pozbawieni pracy, czekający na repatriację, nagle ze straszliwego rytmu, znaczonego batem i kulą, przerwani w kompletną bezczynność, ogłuszeni zmianą, jak ślepy szukali z czepienia o coś co mogłoby przywrócić im równowagę ducha.

Książka była tym lekarstwem, tym uchwytem, szukali jej instynktownie.

Niemcy pracowali wytrwale, z tym poczuciem dokładności który jest im właściwy, z gorliwością tym większą że nigdy nie kwestionowaliśmy wysokości ich rachunków. My zaś, z impetem, w którym tkwił niepokój iż jutro, pojutrze może nadejść przeszkoda nie do przebycia, rzucaliśmy na linotypy wszystko cokolwiek jako tako nadawało się do druku. Byliśmy ciągle pozbawieni możliwości wyboru, zataczaliśmy się od przypadku do przypadku, coraz więcej jednak korzystając z famy jaką cieszyły się wypuszczane po kolei książki i broszury.

Szczęśliwie znalezionej elementarz Falskiego (poszyt podarty który musiałem uzupełnić) poszedł pod prasę w ilości 50.000 egzemplarzy. Zdublowany po paru miesiącach, został mimo wszystko w krótkim czasie wyczerpany.

Tutaj miejsce na kilka uwag odnośnie kalkulacji cen. Płacąc tyle ile żądali za pracę Niemcy sprzedawali książki po cenie kosztu własnego. Gwałtowny i nieustanny spadek marki na rynku, istnienie czarnego handlu na którym ludzie dorabiali się... lub mieli iluzję dorabiania się, powodowało, iż właściwie książka nasza szła za bezcen. W kraju pozbawionym zupełnie gazet i papieru, nasza książka służyła zresztą nie tylko do czytania. Szła na opakowanie, do podpałki pieców. Była zbyt tania i zbyt łatwa do zdobycia, zwłaszcza w Hanowerze. Na dalszych terenach cenę jej „poprawiali” pośrednicy.

Po upływie roku mieliśmy 80 pozycji, które, już w powolniejszym tempie, wzrastały w ciągu roku 1947 i 1948, dochodząc jednak, o ile mnie pamięć nie myli (może inż. Rainelt wypowie się na ten temat, gdy przeczyta tę wzmiankę) do 116 tytułów. Pamiętam, że przed moim wyjazdem z Hanoweru do Francji, na początku 1949 roku pozostawiłem za sobą gotowy skład KRZYŻAKÓW — Sienkiewicza. Nie wiem jednak z jakich powodów książka ta nie ukazała się, chociaż papier na nią zamagazynowano. Może z tej racji, że po zmianie w Niemczech pieniądza marka stała się zbyt droga i nie chciano ryzykować straty przy małym popycie na tę powieść gdy repatriacja polskiej ludności do Kraju znajdowała się już w pełnym toku?

By podać w skrócie różnorodność materiału puszczonego na linotypy — oto przykładowo wybrane tytuły książek które w szybkim tempie opuszczały drukarnie:

Samouczek angielski.

Konopnicka — *Nasza Szkapa*.

„ — *Józefowa i Urbanowa*.

Mickiewicz — *Pan Tadeusz* (również w astronomicznym nakładzie 50.000).

Jarossy — *Mein Kampf*, satyra.

ks. Syski — *Katechizm*.

Prus — *Katarynka i Kamizelka*.

Słowacki — *Genezis z Ducha*.

Prus — *Antek, Lokator z Poddasza*.

Gołąbek i Daszyńska — *Nasze Miasto* — czytanką dla 2 kl.
Szober — *Gramatyka*.

„- *Nauka Pisowni*, cz. V.

Korzeniowski-Conrad — *Tajfun*.

Szober — *Nauka Pisowni*, cz. IV.

Pasierbiński — *O pracy inspektora szkolnego*.

Kalendarz 1946 — 100.0000 egz.

Żeromski — *Trzy Nowele*.

Prus — *Janko Muzykant i inne nowele*.

Sulimirski — *Najstarsze Dzieje narodu Polskiego*.

Radmen — *Samouczek angielsko-polski*.

Książka do nabożeństwa — 50.000 egz.

Mickiewicz — *Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego*.

Hartleb — *Kultura Polska*.

Nowakowski Z. — *Pędziwiatr* (który w czymś plecaku przyjechał z Anglii. Na skutek wydania tej książki powstała awantura z N. Żądanie pieniędzy ze strony autora, słuszne w zasadzie, było niemożliwe do wykonania w warunkach istniejących w Niemczech, gdzie marki nie można było ni przekazać ni wymienić na dewizy. Nawet zapłaty w postaci pewnej ilości egzemplarzy nie można było dokonać, poczta bowiem nie przyjmowała paczek za granicę. Taka sama awantura, lecz w wymiarze daleko poważniejszym, powstała z pewnym autorem słownika francusko-polsko-francuskiego, który, gdy znalazłem się później na terenie Francji, przesłał mi swymi nagabywaniami).

Prus — *Placówka*.

Sienkiewicz — *Latarnik*.

Słownik hiszpańsko-polsko-hiszpański.

Dochodzi do tego cała masa pozycji o charakterze wybitnie szkolnym.

Jednym słowem mieszałyśmy podręczniki szkolne z literaturą, książki o charakterze zawodowym z poezją, naukowe z filozofią. Każda zdobycz szła do druku, później szybko (samorzutnie powstawały się po obozach księgarnie, zarabiające na pośrednictwie, sprzedające nasze książki nieraz z dziesięciokrotnym zarobkiem) do ludzi, którzy, gdy zaczęła się wreszcie repatriacja, jako drogą pamiątkę zabierali ze sobą owe skromnie nad wyraz wydawane książeczki.

Co więcej, już w 1946, zwróciła się do hanowerskiego związku tak czy inaczej nazywana „delegatura rządu” warszawskiego. Nie wiem dziś ile razy, wiem jednak że co najmniej kilkakrotnie odeszły w stronę granicy polskiej samochody ciężarowe, załadowane książką polską drukowaną w Hanowerze. Szła literatura polska (między innymi Chrzanowski — *Literatura Polska*, Lewicki — *Historia Polski*, Norwid — *Pierścień Wielkiej Damy*, *Białe i Czarne Kwiaty*, *Krakus*, *Za Kulisami*), szły podręczniki szkolne, szła powieść. Nie uważaliśmy za celowe przeciwstawiać się próbom zrujnowanego, łaknącego słowa Kraju. W 1948 roku zwróci

się do nas żołnierze z wojska polskiego okupującego Niemcy z prośbą o możliwość zakupu dużej ilości książek, bodaj ładunek jednego czy dwu ciężarowych samochodów. Ceny na książki nasze były nadal tak śmiesznie niskie, że zakupujący z miejsca zaproponowali nam opłatę półtora razy wyższą, bylebyśmy sprzedali im większą ilość z posiadanych na składzie tytułów. Nie certując się zbytnio, zgodziliśmy się na transakcję, nadwyżkę pieniężną rozdzielając między pracujących ofiarnie w wydawnictwie ludzi.

W tym czasie powstała również z naszej inicjatywy biblioteka poezji, którą ze względu na moją sympatię dla Jaworskiego z Chełma Lubelskiego nazwałem KAMENA. Tomików tych, często debiutów, wyszło około 10. Poza jej ramami upierałem się wydawać prace młodego ówczesnie Niemojowskiego.

W roku 1946 Deichelbohrer, nad wyraz lojalny, i śmiem wyznać, związany ze mną rodzajem cichej lecz istotnej życzliwości, wyznał mi że w górach Harzu znajduje się większy zapas ukrytego przez Hennemanna papieru i że trzeba go stamtąd zabrać, gdyż inaczej niepowołani do tego ludzie mogą się nim zainteresować. Zorganizowaliśmy wyprawę, na którą poszło kilka samochodów i po dwu dniach cały zapas papieru znalazł się w drukarni, bogacąc nas niezmiernie i ubezpieczając z tej strony naszą działalność.

Oczywiście, mieliśmy wizyty. Do Związku przyjeżdżali Anglicy, przyjeżdżali Amerykanie. Z delikatnymi zapytaniami o zezwolenie na drukowanie książek, głównie z zapytaniami dotyczącymi źródeł pochodzenia papieru, który wtedy stanowił wartość równającą się niemal złotu. Lawirowaliśmy jak mogliśmy, zawsze operując starym argumentem o zezwoleniu amerykańskim przed Anglikami, o zezwoleniu angielskim przed Amerykanami. Szczęście dla nas stosunki między aliantami były pełne przesadnej aż nieraz ostrożności i nikt nie chciał zbytnio wsuwać nosa w sprawy, które już załatwił, lub jakoby miał załatwić, sojusznik. W ten sposób przez pewien czas broniliśmy się, ciągle zresztą pełni złudnego przekonania, iż oczywiście polskie potrzeby kulturalne są wystarczającym argumentem w rozmowach z naszymi aliantami. W czym, rzecz prosta, byliśmy w błędzie.

Nareszcie, gdy okupacja angielska usadowiła się na dobre, nie pomogło wyciąganie gąsiora i jeden z oficerów zdecydowanie zabronił nam bez jego zezwolenia drukować rzeczy obszerniejsze niż 30 stron. Wtedy właśnie zaczęły ukazywać się małe broszury, wypchane po brzegi słowem i błyszczące nazwiskami największych pisarzy polskich — od Mickiewicza i Norwida do współczesnych. Aż przekupiliśmy UNRRA (co było łatwe, gdyż w jej interesie leżało wykazać się działalnością, bez jakiegokolwiek własnego wysiłku), otrzymując od niej zezwolenie na druk dwu tomów MONTERA ELEKTRYKA — Pożaryskiego, kobyły imponującej, dla której nakładu zdobyliśmy „po cichu” papier aż z Hamburga. Anglik wściekł się, lecz w decydującym momencie podsunęliśmy mu pod nos „bumagę” z UNRRA, tam odsyłając go łącznie z jego pretensjami.

Barwna odyseja hanowerskiego wydawnictwa z nieprawdziwego zdarzenia kulała jednak coraz bardziej. Coraz trudniej było lawirować między Anglikami, Amerykanami, bandytyzmem UNRRA no i Niemcami, którzy coraz bardziej unosili głowy. W drukarni Hennemanna zaczęli ukazywać się adwokaci oraz jego rodzina (bodaj wdowa po ex-naziście), coraz bardziej dopytując się o nasze prawa do rządzenia się niczym szare gęsi na terenie tak bliskim ich sercu i kieszeni. Repatriacja postępowała szybko naprzód, ogromne zalewisko polskie w Niemczech płycało, zmniejszało się, nikło. Wiele dynamicznego elementu wyjeżdżało jawnie lub skrycie na Zachód. Odpłynęło wreszcie polskie wojsko do Anglii, wojsko które w pewnym sensie stanowiło dla nas opiekę, chociażby poprzez swe stosunki z Anglikami. Kończył się wreszcie i entuzjazm dla pracy publicznej u ludzi, którym zagadnienie trudnego jutra coraz bardziej zaglądało w oczy. Zmiana niemieckiej marki, drakońska, dokonana z dnia na dzień operacja oczyszczenia ekonomii, zadała duży cios imprezie, której zadaniem przez cały czas było dostarczać książki jedynie po cenie mało odbiegającej od kosztów własnych produkcji. Nadwyżki, jeżeli były, natychmiast wydawano na takie czy inne cele społeczne. Zdaje się że, już po moim wyjeździe, inż. Rainelt oddał pozostałość w kasie przedstawicielowi duchowieństwa, ks. Lubodzieckiemu, który posiadał pewne szanse wymiany starych marek na nowe. Myśmy tej szansy nie mieli, będąc podopiecznymi i gośćmi Jego Królewskiej Mości.

Ale, i tu wracam do początku, do celu mej wzmianki, w czasie lat 1945-1948 wydawnictwo hanowerskie, według mych bardzo skromnych i prowizorycznych obliczeń, wyrzuciło na rynek do 900.000 książek i poszytów wszelkiego rodzaju. Jest to liczba imponująca, choć całkiem nieznaną Polonii emigracyjnej. Myślę że o nią można uzupełnić liczbę półtora miliona książek, podaną w inauguracyjnym przemówieniu Hemara na otwarciu kongresu w Londynie w roku 1970.

Kończąc, mam nadzieję że ktoś ze starych towarzyszy naszej wychodźczej imprezy wydawniczej przypomni to i owo i odezwie się taką czy inną wzmianką, dając przy okazji możliwość skorygowania danych mej zawodnej pamięci, jak również pozwalając na przyjemność dowiedzenia się o dalszych losach członków ekipy, której byłem istotnym i często dość niesfornym członkiem.

Jako post scriptum dodam jeszcze że na wiosnę 1949 roku, obawiając się nędzy uchodźczej w Niemczech, gdzie w związku z ekonomiczną sytuacją obrazy, to znaczy to co miałem do sprzedania, nie szły zupełnie, ruszyłem na wędrowkę. Przedarłem się nielegalnie przez Belgię, dobrnąłem również nielegalnie do Paryża i zacząłem, bez jednego franka w kieszeni, typową egzystencję emigranta. Jak tam było tak było. Fotele parku tiuleryjskiego nieraz gościnniejsze okazywały się od Polaków. Ale gdy zdołałem wreszcie bliżej zetknąć się ze środowiskiem polskim, stwierdziłem że fama o mnie, okazała się szybsza od moich ziemie przemierzających stóp. Ten i ów w zaufaniu zakomunikowa-

wał mi że... znany jestem na terenie Paryża jako ten... który nie umiał wyliczyć się z powierzonego mu w Niemczech zapasu papieru. Ano... A ja myślałem że nasza ekipa dostanie co najmniej po jednym Krzyżu Zasługi za dokonaną pracę.

M. LURCZYŃSKI

Komunikaty

KONGRES NAUKOWCÓW W NOWYM JORKU

POLSKI INSTYTUT NAUKOWY W AMERYCE

zwołuje

DRUGI KONGRES NAUKOWCÓW POCHOZENIA POLSKIEGO W AMERYCE

który odbędzie się w salach Uniwersytetu Columbia w New Yorku w dniach 23, 24 i 25 kwietnia 1971 roku. Protektorat nad Kongresem objęły wspólnie „School of International Affairs” oraz „Institute on East Central Europe” tegoż uniwersytetu.

Program Kongresu obejmuje:

A) *Dwa posiedzenia plenarne*: Otwarcie i Zamknięcie. Głównym mówcą w czasie Otwarcia będzie Stanisław ULAM, profesor Uniwersytetu, Boulder Colorado, który wygłosi prelekcję „Osiągnięcia Polskiej Matematyki poza Krajem”.

W czasie Zamknięcia Stanisław MROZOWSKI, profesor Uniwersytetu, Buffalo, N.Y. i Prezes Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce mówić będzie o „500-ej Rocznicy Urodzin Kopernika”.

B) *Posiedzenia Sekcyjne* (26 sesji) obejmują następujące dyscypliny naukowe:

- | | |
|--------------------------|---|
| 1. Architektura i Sztuka | — Prof. Jerzy Sołtan, Harvard University |
| 2. Ekonomia | — Prof. Andrzej Brzeski, University of California |
| 3. Filozofia | — Prof. Henryk Hiż, University of Pennsylvania |
| 4. Geografia | — Prof. Bogdan Zaborski, Sir George Williams University, Montreal, Canada |
| 5. Historia | — Prof. Piotr Wandycz, Yale University |
| 6. Literatura | — Prof. Wiktor Weintraub, Harvard University |
| 7. Matematyka | — Prof. Stanisław Ulam, University of Colorado |
| 8. Medycyna | — Prof. Tadeusz Danowski, Univ. of Pittsburg |
| 9. Nauki Polityczne | — Prof. Janusz Zawodny, Univ. of Pennsylvania |
| 10. Prawo | — Prof. Wienczyśław Wagner, Indiana University |
| 11. Nauki Przyrodnicze | — Prof. Hilary Koprowski, Wistar Institute |
| 12. Psychologia | — Prof. Zygmunt Piotrowski, Jefferson Medical College |
| 13. Socjologia | — Prof. Feliks Gross, City University of N. York |
| 14. Nauki Techniczne | — Prof. Józef Kestin, Brown University |
| 15. Teologia | — Ks. Dr. Henryk d'Anjou, Scarsdale School of Scripture Studies. |

Główną tematyką obrad sekeyjnych będzie „Polacy w cywilizacji świata w okresie 1918-1970”.

- Dotąd zgłoszono 124 referaty. Językami obrad są: angielski i polski.
- C) W ramach Kongresu odbędą się następujące imprezy:
- Recital fortepianowy Mieczysława Horszowskiego poświęcony muzyce polskiej — dnia 24 kwietnia
 - Pośmiertna wystawa rysunków Zdzisława Czermańskiego (Otwarcie 23 kwietnia)
 - Wspólny obiad, dnia 24 kwietnia.

Wszystkie imprezy odbędą się w Ferris Booth Hall, Columbia University, 2940 Broadway.

Uczestnictwo w Kongresie dostępne jest dla wszystkich interesujących się nauką i kulturą polską.

Opłata rejestracyjna wynosi \$ 5,00 — dla studentów \$ 2,50.

Opłata ta obejmuje szczegółowy program w formie książki, zawierającej skróty wszystkich referatów. Książka będzie doręczana w czasie rejestracji, która rozpocznie się o godz. 9.30 rano, 23 kwietnia, w budynku Casa Italiana, Amsterdam Ave. 117 Street.

Udział w obiedzie i koncercie wynosi \$ 10.00.

Bliższych informacji udziela:

POLSKI INSTYTUT NAUKOWY,
59 E. 66 St., NEW YORK,
Telefon: YUkon 8-4348.

ŚWIATOWY KONKURS MUZYCZNY

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY POLSKIEJ POZA KRAJEM NA WYKONANIE POLSKICH PIEŚNI I INNYCH UTWORÓW MUZYCZNYCH ORAZ KOMPOZYCJI WŁASNYCH

Polska YMCA na Zachodzie Europy w porozumieniu z Polską Macierzą Szkolną, Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów, Zrzeszeniem Nauczycielstwa Polskiego i Związkiem Harcerstwa Polskiego zaprasza dzieci i młodzież polską, mieszkającą poza krajem do udziału w Światowym Konkursie Muzycznym.

Warunki konkursu

- Udział w Konkursie mogą brać pojedynczo lub zbiorowo dzieci i młodzież polska, mieszkająca stale poza krajem, — w wieku do lat 18-tu (ukończonych).
- Przedmiotem Konkursu jest wykonanie solowe, z akompaniamentem lub zbiorowo polskich utworów muzycznych albo własnych kompozycji. Śpiew, muzyka instrumentalna, wykonanie solowe, duety, chór — przy ognisku, w świetlicy lub kościelny, — kapela, orkiestra, zespoły muzyki tanecznej, muzyka elektronowa — piosenki regionalne, tradycyjne, kościelne, — utwory fortepianowe, skrzypcowe lub na inne instrumenty, w wykonaniu solowym lub z towarzyszeniem itp.
- Nagrania wyżej wymienionych produkcji muzycznych powinny być wykonane na taśmie magnetofonowej standartowych rozmiarów tylko jednostronnie, w dowolnej szybkości, na szpulce dowolnej wielkości. Czas trwania nagrania i ilość utworów — dowolna. Również przyjmowane będą nagrania na płytach gramofonowych — warunki jak dla taśm magnetofonowych.
- Oznaczenie: Każda rolka z taśmą lub płyta gramofonowa nadesłana na Konkurs powinna być czytelnie oznaczona imieniem i nazwiskiem wykonawcy

lub nazwą zespołu, wykonawców, chóru, nazwą wykonanego utworu i kompozytora, ew., oraz szybkość przesuwania się taśmy (w I.P.S. lub c/sek.).

5. Taśmy z nagraniami względnie płyty gramofonowe należy przelać na Konkurs tak, aby mogły dojść do Londynu przed 1 listopada 1971 roku. Nagrane materiały należy wysłać wraz z DEKLARACJĄ KONKURSOWĄ (załączoną do niniejszych WARUNKÓW KONKURSU) — na adres:

POLSKA YMCA
46/47, KENSINGTON GARDENS SQUARE,
LONDON, W.2., 4 BQ. — ENGLAND, — U.K.

z dodatkowym napisem na kopercie lub obwolucie:

NON COMMERCIAL VALUE — KULTURAL EXCHANGE — INTERNATIONAL YOUTH COMPETITION.

Należy zwrócić uwagę na właściwe opakowanie nagrań.

6. Wybór najlepszych prac nadesłanych na Konkurs i przyznanie NAGRÓD wykona JURY złożone z muzyków, pedagogów oraz przedstawicieli organizacji społecznych i organizatorów Konkursu.

7. Każdy uczestnik lub zespół biorący udział w Konkursie otrzyma PAMIĄTKOWY DYPLOM. Za najlepsze wykonanie oraz utwory własne jury przyzna nagrody. Nazwiska nagrodzonych i wyróżnionych w tym Światowym Konkursie zostaną ogłoszone w polskiej prasie i rozgłośniach radiowych. Nagrody i dyplomy rozesłane zostaną do uczestników Konkursu.

8. Komitet Organizacyjny zastrzega sobie prawo urządzenia z nadesłanego na Konkurs materiału słuchowisk i nagrań i reprodukowania ich w różnych ośrodkach i rozgłośniach polskich.

9. Opłata za udział w Światowym Konkursie Muzycznym na pokrycie części kosztów organizacyjnych, nagród i opłat pocztowych wynosi 5 międzynarodowych kuponów pocztowych — względnie 15 p (dawniej 3 sh) w Wielkiej Brytanii od uczestnika lub zespołu, bez względu na ilość nadesłanych utworów lub nagrań.

10. Przy wysyłaniu kilku nagrań ze szkół polskich, kursów, klubów młodzieżowych, drużyn harcerskich obowiązuje opłata jak od jednej osoby.

Za Komitet Organizacyjny:

B. T. LESIECKI
J. M. BEHNKE, A. LESIECKA, H. PAULIŃSKI, M. SZCZEPANIAK

STYPENDIA „POLONICA TECHNICA”

Stowarzyszenie Polsko-Amerykańskich Inżynierów w Stanach Zjednoczonych, POLONICA TECHNICA, INC., uchwaliło przyznać na rok akademicki 1971/1972 stypendia studentom Polakom, matrykulowanym na wyższych uczelniach zagranicznych i studiującym nauki techniczne lub im pokrewne, jak matematyka, fizyka, chemia, ekonomia przemysłowa. Wysokość stypendiów zostanie uchwalona przez Komisję Stypendialną Stowarzyszenia.

Zainteresowani studenci winni nadesłać w terminie do dnia 20 czerwca 1971 roku podania pod adresem:

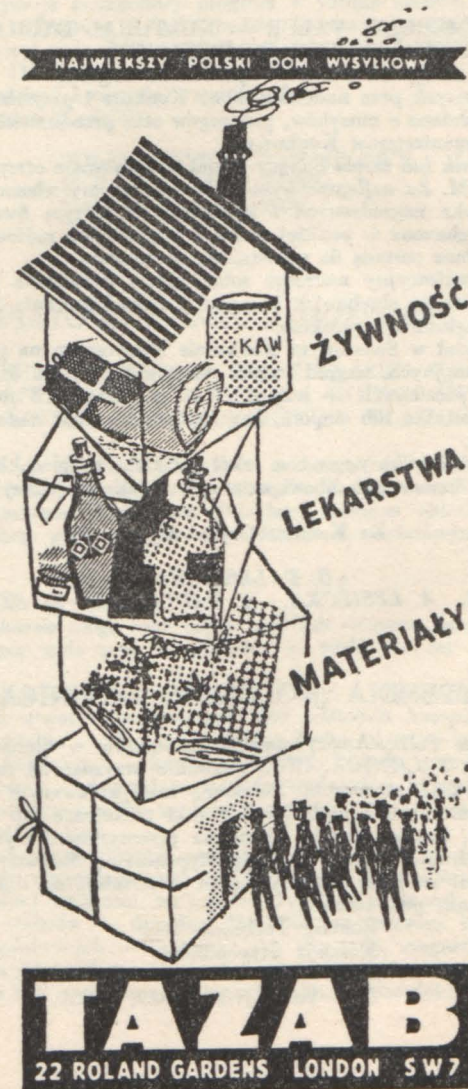
Polonia Technica, Inc.
Komisja Stypendialna
36 West 56 St., Apt. 1 C
New York, N.Y. 10019, U.S.A.

Do podania należy załączyć życiorys, zaświadczenie uczelni o przyjęciu na rok akademicki 1971/1972 (wydział i rok studiów), oraz referencje dwóch osób, znających osobiście kandydata.

Zaświadczenia uczelni dla kandydatów, ubiegających się o stypendia nie po raz pierwszy, winny zawierać wykaz egzaminów, złożonych w 1970/1971 roku. Podania winny być indywidualne; podania grupowe nie będą rozpatrywane.

Zawiadomienia o wynikach podań wysłane zostaną w drugiej połowie lipca br.

ZARZĄD „POLONIA TECHNICA, INC.”
W. J. KLIMKIEWICZ
Przewodniczący Komisji Stypendialnej



Książki

Wizja Andrzeja Bobkowskiego

Mam pisać o Andrzeju Bobkowskim. Poprosił mnie o to Jerzy Giedroyc. Przysnąję — powinienem zapewne wstydzić się tego — że twórczości Bobkowskiego w ogóle nie znałem i teraz, nagle, zanurzyłem się, zatopiłem w świecie siedmuset stron jego „Szkiców Piórkiem” i opowiadań wydanych pod tytułem „Coco de Oro”. Wychodzę z tego oszołomiony. Nie dlatego, że niespodziewanie odżył przed moimi oczami obraz Francji walącej się w 1940 roku, przystosowującej się potem opornie do warunków i okupacji, głodującej, pomstującej i jednocześnie lekko-myślnie beztroskiej, nie dlatego, że odsłonił się przede mną krajobraz tropikalnej Gwatemali, dusznych upałów i ludzi o innych wymiarach bo zżartych prażącym słońcem, ale dlatego, że przez cały czas miałem wrażenie nie tyle zawierania znajomości ile nieustannego zacieśnienia więzów przyjaźni z człowiekiem-autorem, którego nie znałem. W takich warunkach przeczytanie ostatniej strony książki i odłożenie ją na bok jest aktem bezapelacyjnego rozstania. Ktoś obok mnie żył, ruszał się, jeździł na rowerze, rozkoszował się widokiem uśpionego w promieniach słońca stawu, irytował się, mówił — i nagle zamilkł. Cisza. W danym wypadku jest to tym bardziej uderzające, że Bobkowski nie żyje.

Zwykle gdy czytamy „Trylogię” lubimy Kmicica a nie Sienkiewicza, zżywamy się z baronem Charlus a nie z Proustem, z John Forsyte’em a nie z Galsworthy’em. Tutaj, nawet w opowiadaniach, jest od początku do końca Andrzej Bobkowski. I niesposób tego ominąć. Zwykle do autora docieramy mozolnie poprzez analizę jego utworów i stworzonych przez niego bohaterów i zwykle obraz tego autora jest niekompletny. Co wiemy na przykład, na podstawie ich książek, o stosunku Dostojewskiego do homoseksualizmu czy Flauberta do antysemityzmu? Tutaj zaś wszystko jest jasne. Trzeba więc z konieczności — innego wyjścia nie ma — mówić o Bobkowskim, a nie o jego książkach.

Bobkowski ma już ustaloną pozycję literacką, nie będę więc bawił się w dorzucanie przymiotników czy w podważanie faktu przyznania mu tych czy innych wartości. Chciałbym natomiast — ponieważ istnieje Bobkowski-literat i Bobkowski-obszerny-publicysta — zastanowić się nad dwoma zagadnieniami, które wydają mi się interesujące. U literata spróbować rozpatrzyć i zdefiniować jego wizję człowieka, u publicysty sprawdzić trafność jego spostrzeżeń i przewidywań.

Wizja człowieka? Bobkowski uwielbia Conrada i Balzaca, a nienawidzi Tołstoja i Dostojewskiego. Jest to już punkt wyjścia. W Conradzie zachwycą go romantyzm i wyzwolenie się z polskości, w Balzacu realizm i bezkompromisowe spojrzenie na Francuzów, Tołstojowi nie może darować słowiańskiej manii filozofowania, a Dostojewskiemu hysterii. Wydaje się więc, że wizerunek człowieka w ujęciu Bobkowskiego, ten do którego należy dążyć, zostanie zrealizowany gdy uznamy realne właściwości tego człowieka, umożliwimy mu wyzwolenie się z pewnych tradycji, ułatwimy romantyczne wloty i zakażemy poddawania się hysterii. Taką mniej więcej koncepcję idealnego człowieka narzuca Bobkowskiemu obserwacja codziennego życia i wstrząsów wywołanych wojną. Takim ma być ten człowiek by nie baraniał w ustrojach faszystowskich czy komunistycznych, aby nie zamieścił się w niewolnika maszyny w ustrojach kapitalistycznych, aby nie spadał do roli posłusznego popychadła, numeru ewidencyjnego, prostaka o stłamszonych reakcjach, aby żył, cieszył się słońcem, czekoladą i winogronami. Jest to wizja zrozumiała, bo podyktowana widokiem okropności wojennych, ponętna, bo przeciwstawiająca się wszelkiemu przymusowi, terrorowi, systemom wypaczającym naturę ludzką w imię teoretycznych założeń. Jest to wizja radosna, bo roztacza obraz świata, w którym cierpienia zostały zredukowane do minimum, ale jest także kłopotliwa, bo przebywa w sferze marzenia.

Gdy jest się głodnym nie przestaje się myśleć o maśle, mleku, o tłustym kawale mięsa, gdy jest się sterroryzowanym żyjąc w obrębie okupacji narzuconej przez wroga, nie przestaje się myśleć o wolności. Brakujące konfitury i mleko, ustęskniona wolność, wypaczają wtedy ocenę rzeczywistości. I każdy — nawet pisarz tak wytrawny i intelektualnie wszechstronny jak Bobkowski — popełnia nieunikniony błąd. Ten sam co popełniają wszyscy ludzie zakochani w jakimś ideale, wszyscy spragnieni absolutu, wszyscy uczciwi kontestatorzy. Winę za niedomagania, braki, oszustwa, okrucieństwa, niesprawiedliwości i cierpienia zrzucają ochocho na system czy na ustrój, a nie na człowieka. U Bobkowskiego jest to jeszcze bardziej widoczne niż u innych. Bo jeżeli obowiązkiem naszym jest patrzeć realnie na człowieka (vide Balzac), to przecież należy uznać, że w pewnych momentach historii i w pewnych punktach kuli ziemskiej sam człowiek pragnął skucia w kajdany, poddawał się temu z masochistycznym dreszkiem rozkoszy, wierzył w zbawienie, jakie niesie maszerowa-

nie w zwartym szeregu, sam tępił odruchy protestu, pakował do więzienia za refleksy budzącego się indywidualizmu. Faszizm, hitlerizm, komunizm wraz z ich aspektami totalitarnymi, alienacja w tak zwanym społeczeństwie konsumpcyjnym nie powstały za sprawą jakiegoś magicznego zrządzenia siły nadprzyrodzonej, ale na skutek nastawień czy dążeń samego człowieka. Na skutek takich czy innych jego właściwości psychicznych. Można oczywiście utrzymywać, że wierzono w szczęście jakie przyniesie faszyzm czy komunizm, dlatego że jedni byli cyniczni a drudzy łatwowierni i naiwni oraz że jednych i drugich popychali do akcji niepoprawni idealisci. Ale cynizm, łatwowierność i idealizm należą do realiów tej ziemi.

U Bobkowskiego proces uciekania w sferę marzenia — mimo imperatywu realnego oceniania człowieka — jest dotykalny w tym samym stopniu co dotykalny jest befsztyk czy kraty więzienia. Im okrutniejsze są represje niemieckie, im ostrzejsza ich kontrola nad ludnością, im groźba wylania się komunizmu poza granice Związku Sowieckiego staje się bardziej wyraźna, im w Gwatemali Republika Demokratyczna zagłębia się coraz bardziej w obłudzie i zakłamaniu, tym mocniej rośnie jego nienawiść do systemów, do abstrakcyjnych ideałów, które popychają do stosowania metody, jak mówi, zawieszania kiełbaski na sznurku i zmuszania ludzi do skakania, by ją złapać. Ludzie skaczą coraz wyżej, lecz w miarę zbliżania się ich do kiełbaski podciąga się ją także coraz wyżej. Pod wpływem nienawiści i rozgoryczenia Bobkowski zaczyna patrzeć na człowieka równie teoretycznie jak to czynią zniechęceni systemy abstrakcyjne, lub też, zniechęcony, zamyka się w lekturze, w radości jakiej dostarcza widok beztronskiego tłumu, wypita szklanka wina na tarasie kawiarni, spowite w błękitnie niebo, pochłaniająca praca przy budowie modeli samolotów. Marzenie o lepszej rzeczywistości, którą nie rządziłaby abstrakcja i rzeczywistość konkretna, zamknięta w chwili gdy odrywamy się od problematyki ogólnej, są owymi dwiema krainami umożliwiającymi mu ucieczkę. Lecz zarówno Bobkowski-teoretyk zrucający gromy na to co skuwa człowieka w pęta niewoli, jak i Bobkowski znakomity pływak, modelista czy artysta, czuły na uroki przyrody, są mi bliscy.

Co powiedzieć o Bobkowskim-publicyście? Chyba to, że jest zdumiewająco bystrym i wnikliwym obserwatorem. „Szkice Piorkiem”, poświęcone latom 1940-44 spędzonym we Francji, czyta się z pasją, z niesłabnącym zainteresowaniem mimo, że wiemy z góry jaki będzie bieg wypadków i jakie ich zakończenie. Dzieje się tak dlatego, że z jednej strony sam autor śledzi rozwój wydarzeń z żywiołową wprost ciekawością i nastawienie jego udziela się czytelnikowi, a z drugiej, odczuwa on jego sens tak trafnie, że ma się wrażenie, iż posuwa się drogą, której zakręty i rozgałęzienia zna z góry. To podprowadzanie do zakrętu, o którym wiemy a który on tylko odgadł, jest doprawdy fascynujące. Takimi zakrętami jest polityka Vichy, która nieubłaganie schodzi

na tory coraz ściślejszej kolaboracji, jest bierność społeczeństwa francuskiego, zbliżanie się do rozprawy ze Związkiem Sowieckim, zwiększająca się bezwzględność okupacji, zahamowanie rozpędu wojsk niemieckich w Rosji, rosnący z dnia na dzień udział państw anglosaskich w wysiłku wojennym, groza wywołana zwycięstwami sowieckimi, dramat i bezowocność walk prowadzonych przez Polaków. Logika Bobkowskiego, która pozwala mu wybiegać na przód, jest tutaj zaskakująca.

W jednym tylko zagadnieniu przewidywania jego sprawdzają się jedynie częściowo. Chodzi tu o samą Francję. Na „Szkice Piórkiem” można patrzeć także jak na dziennik miłosny pisany ręką zakochanego młodzieńca, który w porywie swej miłości nie może przebaczyć ukochanej jej wad, ułomności, słabości ludzkich i, zawiedziony, robi jej wymówki, unosi się gniewem, lecz jednocześnie nie może się z nią rozstać. Kochanką Bobkowskiego jest Francja. Wie, że jest piękna, intelektualnie pociągająca, a chciałby, by była dzielna, romantyczna, bezkompromisowa, czysta jak łąka. A tymczasem kolaboruje, myśli o robieniu pieniędzy, zapomina o patriotyzmie, czeka by inni ją oswobodzili, zadawała się gadulstwem, boi się akcji. Postępowaniem swym zaprzecza idealnemu wyobrażeniu o niej, bezwstydnie zawodzi. Uczucie rozczarowania i zawodu popycha Bobkowskiego do wysuwania pesymistycznych wniosków na temat jej przyszłości. Francja jest u brzegu dekadencji, rozkładu wewnętrznego, jej przywiązanie do czystej formy a nie do treści nie może nie doprowadzić jej do upadku. Zepchnięta do roli trzeciorzędnego państwa, przestanie również być wielkim ośrodkiem kultury i myśli.

Wiele z tych przewidywań sprawdziło się. Ale po dwudziestu pięciu latach Francja nie rozpadła się jeszcze zżarta wewnętrznym rozkładem, nie przestała należeć do czołówki państw współdziałających przy rozwoju wiedzy, kultury i cywilizacji. Co więcej, od pewnego czasu zaczyna dźwigać się samodzielnie i stawiać czoła wewnętrznym sprzecznościom, dostosowywać swe zaśnieżone struktury do wymogów ery elektronicznej. Bobkowski pomylił się tu częściowo, ale pomylił się tylko dlatego, że zbyt dużo żądając, czuł się z konieczności rozgorzyczony.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Lektura „Szkiców Piórkiem” jest nie tylko pociągająca bo pochłania całkowicie, ale także pożyteczna. Przyczynia się bowiem do burzenia pewnych legend. I tak na przykład okazuje się dzięki niej, że Polak mógł przeżyć cztery lata pod okupacją niemiecką we Francji bez tego by go aresztowano i bez tego by należeć do ruchu oporu. Druga wojna światowa nie była jednak totalna.

Paweł ZDZIECHOWSKI

Rewolucjoniści, policja, represja

Nie dawno wpadły mi w ręce trzy artykuły, trzy opracowania na ten sam temat z tą tylko różnicą, że jedno z nich było napisane w 1921 roku, a pozostałe współcześnie — w roku 1970.

Podobne i niepodobne są losy tych artykułów.

Pierwszy, napisany w 1921 roku w Moskwie po francusku, pod tytułem „Co każdy rewolucjonista powinien wiedzieć o represjach” — był rozpowszechniany w Zachodniej Europie wśród członków partii komunistycznych, przygotowujących światową rewolucję. Autor — anarchista, a potem bolszewik — Victor Serge, pół-Rosjanin, pół-Francuz, aktywny działacz Kominternu w pierwszych latach jego istnienia, już w 1925 roku znalazł się w opozycji do Stalina i związał się z trockistami. Był aresztowany, zesłany i dopiero na skutek masowych protestów opinii zachodniej, dzięki swemu francuskiemu obywatelstwu, został zwolniony w 1936 roku i uzyskał pozwolenie opuszczenia ojczyzny światowego proletariatu. Victor Serge, autor szeregu powieści i dużej ilości książek publicystycznych, nie wznawiał druku swego artykułu, gdyż zbyt dużo musiałby w nim zmienić.

Nagle, zupełnie nie dawno, ukazał się on w Paryżu, w skrajnie lewicowym wydawnictwie Maspero¹. Na okładce, czy to na skutek pomyłki, czy też świadomie, podano że artykuł był napisany „w 1931 roku przez współpracownika Lenina i Trockiego”.

Drugi artykuł został opublikowany w zbiorze materiałów, wydanych przez Instytut Literacki². Nazwiska autora nie podano, lecz zatytułowany jest on prawie identycznie jak artykuł Serge'a „Abecadło dla opozycjonisty”.

Autorem trzeciego eseju, rozpowszechnianego w Związku Sowieckim w „samizdacie”, jest poeta i uczonek Aleksandr Jesienin-Wolpin. Tytuł jest również podobny „Jurideczeskaja pamiatka” (Prawnicza notatka).

Artykuł Victora Serge'a jest przede wszystkim historycznym zarysem działalności rosyjskiej tajnej policji — „Ochrany”, której tajemnice zostały ujawnione po rewolucji 1917 roku. Rosyjscy rewolucjoniści pierwsi poznali tajniki policji i Victor Serge uważa, że może to być pożyteczne dla rewolucjonistów na całym świecie. Autor „Abecadła”, najciekawszego z rozpatrywanych tu artykułów, analizuje sytuację w Polsce po wydarzeniach marcowych 1968 roku i udziela rad „nonkonformistom”, Aleksandr Je-

1. Victor Serge — *Ce que tout révolutionnaire doit savoir de la répression*, François Maspero, Paris 1970.

2. *Głosy stamtąd*. „Dokumenty”. Biblioteka „Kultury”, Instytut Literacki, Paryż, 1970.

sienin-Wolpin ogranicza się jedynie do porad prawnych, dla tych którzy mogą być aresztowani przez KGB.

Artykuły te rozpatrywane jednocześnie — jak reflektorem oświetlają niektóre charakterystyczne cechy sytuacji w Związku Sowieckim i w Polsce. Przy czym artykuł Serge'a daje niezbędną historyczną perspektywę.

Przed wszystkim możemy stwierdzić, że w tych artykułach adresaci są różni. Serge zwraca się do rewolucjonistów, członków partii komunistycznych, prowadzących walkę z legalnymi władzami. Adresatem „Abecadła” jest ten, kto myśli inaczej niż tego wymaga reżym: „Władze w sposób typowy dla reakcyjnej dyktatury, w celu dławienia najmniejszych prób oporu i krytyki, uciekają się do różnych form represji”.

„Prawnicza notatka” zaczyna się od słów jeszcze bardziej przerażających: „Każdego mogą nagle wezwać na śledztwo, a więc trzeba być na to przygotowanym”.

Z jednej strony rewolucjoniści, z drugiej — ludzie myślący inaczej, wyrażający wątpliwości w mądrość Breżniewa czy Gomułki, próbujący ich krytykować. Serge uczy jak walczyć z demokratycznymi rządami burżuazji, autorzy „Abecadła” i „Prawniczej notatki” radzą jak ukryć się przed wszechwidzącą i wszechsłyszającą policją, próbującą przeniknąć w mózg człowieka. Wybitny pisarz rosyjski Andriej Płatonow pisał: „Wódz porównał kiedyś myśl i słowo z małżeństwem — jeśli myśl jest wierna tylko wodzowi, tak jak swemu mężowi — jest pożyteczna, jeśli zaś błądzi po mrokach nocy, szukając satysfakcji w rozpustnych wątpliwościach i błędach — wtedy myśl jest bezmyślna i zorganizowany umysł powinien ją zniszczyć”. Płatonow pisał o wodzu faszystowskim, ale autorzy recenzowanych esejów nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości, że zarówno w Związku Sowieckim, jak i w Polsce trwa nieustające polowanie za myślą, która odmawia „być wierną wodzowi”, polowanie, którego celem jest: „niewierną” myśl zniszczyć.

Znaczną część swego eseju Victor Serge poświęca analizie ulubionej metody carskiej „Ochrany”, tj. metody prowokacji rozpracowanej tak, jak w żadnej policji świata. Victor Serge zastanawia się nad techniką prowokacji, nad psychologią prowokatorów, wykorzystując jako materiał *dossiers* policji, które znalazły się w rękach sowieckich. (Zauważa on, że *dossiers* dwóch prowokatorów, którzy wydają mu się najbardziej typowymi — jeden wybitny intelektualista, a drugi trybun — nie zostały znalezione. Victor Serge ma na myśli Stanisława Brzozowskiego i popa Gaponą).

Rozdziały poświęcone prowokacji Serge kończy słowami: „Prowokacja policyjna to broń, lepiej powiedzieć ułomność — rozkładających się reżymów. Czując swoją bezsilność policja takich reżymów pobudza inicjatywę, którą później niszczy. Prowokacja to także żywiołowy, spontaniczny fakt, będący rezultatem demoralizacji policji, stojącej nad brzegiem przepaści, zdys-

tansowanej przez wydarzenia, gdy nie może ona wypełnić swego zadania, które przekracza jej siły, ale pragnie usprawiedliwić zaufanie i wydatki swych panów”.

Można się zgodzić, czy nie zgodzić z tym określeniem Serge'a, ale fakt pozostaje faktem. Zarówno w „Abecadle”, jak w „Prawniczej notatce” prowokacji poświęcono dużo miejsca. Prowokacja staje się najważniejszą bronią KGB, bezpośredniego następcy carskiej „Ochrany” i UB — wiernego ucznia KGB.

Cień „Ochrany” kładzie się na całą centralną Europę. I gdy w Pradze organizują proces 19-tu młodych ludzi, oskarżonych o rozpowszechnianie druku zatytułowanego słowami Lenina: „Biurokracja — nie, socjalizm — tak”, to i tu działają metody „Ochrany”, gdyż głównym świadkiem oskarżenia jest prowokator.

Artykuł Victora Serge'a pozwala zorientować się jak zdegenerowało się państwo, które w pierwszych dniach swego istnienia uważało, że prowokacja jest grzechem.

„Prawnicza notatka” ukazuje nam to państwo w dniu dzisiejszym, państwo, w którym każdy obywatel jest potencjalnym przestępcą, w którym każdy obywatel musi posiadać niemałą wiedzę prawniczą, by mieć choćby minimalne szanse zachowania wolności.

„Abecadło” ukazuje nam jak funkcjonują metody „Ochrany” w Polsce, która coraz bardziej i bardziej staje się podobna pod każdym względem do ojczyzny „Ochrany”.

Victor Serge kończy swój artykuł słowami: „Represja jest skuteczna jedynie w tym wypadku, jeśli odpowiada kierunkowi historycznego rozwoju. Staje się bezsilna, jeśli przeciwstawia się historycznemu rozwojowi”. W 1921 roku Victor Serge tymi słowami usprawiedliwiał represje dokonywane przez czerezwycząjkę. W 1925 roku, gdy następczyni CZEKA — OGPU rzuciła go do więzienia — przestał tak myśleć.

Mamy jednak nadzieję, że grudniowe wydarzenia w Polsce potwierdzą słuszność słów Victora Serge'a o „bezsilności represji, przeciwstawiającej się rozwojowi historycznemu”.

Adam KRUCZEK

Dział wód

Miłosz pisząc o Gombrowiczu, słusznie zwrócił uwagę na to jak trudno wybrnąć z sytuacji panicza czy panienki z polskiego dworu „w okresie historycznym obracającym 'normalność' tej

* Maria Czapska, *Europa w rodzinie*. (Wyd. „Libella”, Paryż, cena F. 25,00.

instytucji we wstyd i śmieszność". Bo przecież nie chodzi tu tylko o wyzysk ludzkiej pracy: rentier był w większym stopniu od ziemianina pasażerem, przemysłowiec zagarniał większą porcję nadwartości. Ale rentier nie widział na oczy ludzi którzy na niego pracowali, przemysłowiec mógł się łudzić że służy „postępowi”. Dwór — to codziennie przeżywany kontrast pomiędzy dobrocią, ciepłem, delikatnością w salonie i praniem po pysku chłopca, którego krowa weszła w szkodę w polu. Jak można czytać Maeterlincka i grać na fortepianie Debussy'ego, zachowując konieczną w tych warunkach postawę bezwzględnej brutalności? Więcej — jak można płakać nad „Jankiem Muzykantem”, a pozostać obojętnym na los skrofulicznych, przyszczatych, zasmarkanych dzieci, które zmykają przyłapanie na kąpieli w dworskim stawie? W sukurs szedł tu podział ról. W skromnym dworku „wrażliwe” kobiety i „realistyczni” mężczyźni. Na dwustu włókach dziedzic przerywa co srodę lekturę *Revue des Deux Mondes* na przykrą rozmowę z rządcą. Na szczycie — seria plenipotentów, administratorów, rządców, praktykantów, ekonomów, odcina właściciele od rzeczywistości równie skutecznie jak hierarchia biurokratyczna odcina prezydenta demokratycznego państwa od policjanta, który w jego imieniu korzysta z przyznanych mu konstytucyjnie 24 czy 48 godzin, aby wymusić na oskarżonym zeznania.

Polska kultura nie umiała sobie dać rady z tą drażliwą sytuacją ze względu na swój szlachecki pierwowzór. Istnieją u nas właściwie tylko trzy warianty spojrzenia na dwór: idealizujący („Rodzina Połanieckich”, „Soból i Panna”), nostalgia połączona z wyrzutem sumienia (Nawłoc z „Przedwiośnia”) i bunt wyrażony poprzez karykaturę („Ferdydurke”). Nowość „Europy w Rodzinie” Marii Czapskiej polega chyba na tym że jest to książka równie świadoma krzywd klasowych, jak indywidualnych zalet „krzywdzicieli”. Tak się składa, że jest to druga książka wydana na emigracji o życiu ziemiańskim na kresach na początku naszego wieku w której coraz to odnajduję krewnych, o których od dziecka słyszałem od mojego ojca. A słyszałem zwykle jak najgorzej. Ojciec był buntownikiem, który nie chciał zapłacić ceny swego buntu — to co mi mówił o swojej rodzinie było bliskie wizji Gombrowicza, ale były to złośliwości „prywatne”. Kiedy kuzynka ojca, Janina Żółtowska, wydała swą książkę „Inne Czasy, Inni Ludzie”, napisałem o niej w *Kulturze* bardzo pozytywną recenzję. Ciocia Jania była rzadką dziś, prawdziwą reakcjonistką, za grzech pierworodny ludzkości uważała Rewolucję Francuską, teoretycznie była więc bliska Sienkiewiczowi i Weyssenhoffowi. Cóż, kiedy była dobrym obserwatorem, rzetelnym pisarzem. Solidarna ze swą klasą, w której widziała obrońców „Okopów Świętej Trójcy”, opisała ją tak bezlitośnie, że ta wizja — rzekomo życzliwa — potwierdzała wszystkie ojcowskie rewelacje. Dlatego porównałem ją w tym zakresie do Balzaca: reakcyjne przekonania nie osłabiły jej realistycznej relacji. Przyłuki, dom rodzinny Marii Czapskiej, postawił mój pra-pradziad Horwatt. Łęscy, Kieniewiczowie, Niezabytowscy, jej sąsiedzi i znajomi, to moi bliscy krew-

ni, „Inni Ludzie z Innych Czasów”. Miło mi było odnaleźć ukochaną przez mego ojca „Ciocię Isię” Lubańską, biedną kresową pół-Oriane de Guermantes, pół-Madame Bovary, którą nawet Janina Żółtowska opisała z równą wyrozumiałością. Ale obie książki są symetrycznie przeciwstawne. Janina Żółtowska broniąc pojęć reakcyjnych pograżała poprzez swój realizm swoje środowisko. Maria Czapska, przeciwna pojęciom i przesądom które opisuje, jest niemal marksistowska w swym przekonaniu że „byt określa świadomość” i że nie można wymagać od ludzi aby przeciwstawiali się duchowi czasu. Przykładem tej mądrości historycznej i psychologicznej jest opis jej babki, Emerykowej Czapskiej z domu Meyendorff. Kiedy czyta się o tej „Babci”, która czeka z napięciem (po 1905 roku), aby przejeżdżający drogą, obcy chłopci, zdejmowali przed nią czapkę, a kiedy to nie następuje, „stwierdza że zgrozą, *vous êtes entourés d'un peuple affreux*”, ma się wrażenie że to postać z „Operetki” Gombrowicza. A przecież Maria Czapska przekazuje nam jej niesłychaną dyskrecję, poświęcenie, elegancję najgłębszą ducha. „Trudniej dzień dobrze przeżyć niż napisać księgę” — trudniej w każdym razie być „demokratą” i „liberałem” w życiu codziennym, rodzinnym, niż w przekonaniach, które niewiele kosztują. Jeśli więc tyle miejsca poświęciłem temu aspektowi książki Marii Czapskiej, to dlatego że zawdzięczam jej nowe spojrzenie na te czasy — a to dają tylko książki wyjątkowe.

„Europa w Rodzinie” — to zapewne aluzja do miłoszowej „Rodzinnej Europy”. Słowa służą tu jednak nie tylko grze. Dla Miłosza, dla wielu z nas, Europa rodzinną się stała, Czapscy mają ją we krwi i w wywodzie. Austriacy są tu patriotami czeskimi, niemieccy protestanci wiernie służą Rosji, polscy Czapscy są lojalnymi poddanymi caratu, dopóki nie nawróci ich na patriotyzm córka udzielnego książątka cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego. Co wuj, to przyjaciel Mickiewicza i Tocqueville'a, jeśli nie wróg Bismarcka; co ciotka, to uczennica Chopina, co kuzynka, to właścicielka Duino z Elegii Rilkego, co dziadek, to protektor Marii Duplessis — „Damy Kameliowej”. Wydaje się że historia obchodzi się z pewnymi rodzinami, jak przyroda z kryształami — grają tu podobne prawa symetrii i refleksji. U szczytu osiemnastowiecznych *quartiers* patronują Marii Czapskiej dwaj przeciwstawni przodkowie — wykonawca rozbiorów Polski z rozkazu Katarzyny, ambasador Otto-Magnus Stackelberg i Konfederat Barski Franciszek-Stanisław Kostka Czapski. W jej własnym pokoleniu mamy na jednym krańcu jej wuja Jerzego Cziczera, pierwszego komisarza spraw zagranicznych ZSSR, na drugim chyba Emeryka Czapskiego, baliwa maltańskiego, którego zbiory, od nowa w Rzymie zaczęte, raz jeszcze nawiązują do napisu nad muzeum Hutten-Czapskich w Krakowie: *Monumentis Patriae — Naufragio Ereptis*.

Jednym z wielu pięknych ustępów „Europy w Rodzinie” jest opis działu wód między dwoma rodzinnymi majątkami — Przyłukami i Stańkowem, dzięki któremu na przestrzeni zaledwie

20 km. rosną po obu stronach odmienne zioła i kwiaty. Takim historycznym działem wód jest dla tej części Europy rok 1905. To jest bodaj data która zniweczyła „niewinność” czy „normalność” polskiego dworu. Po naszej stronie tego działu książka Marii Czapskiej jest ważkim świadectwem wciąż wzrastającego patriotyzmu i radykalizacji rodzeństwa wychowanego w najbardziej konserwatywnych tradycjach. Myślę że pomoże ona zrewidować uproszczone pojęcia o prądzie idącym wyłącznie od zrujnowanej szlachty poprzez inteligencję do ruchów rewolucyjnych.

Dla mnie jednak jest Maria Czapska najciekawsza i najbardziej wzruszająca kiedy opisuje swe własne dzieciństwo. Dzieci bywają nieraz przejrzyste. Ale rzadko się zdarza aby osoba dojrzała potrafiła przekazać równie bezpośrednio i bez cienia jakiegokolwiek stylizacji istotę swych dzieciennych przeżyć. Maria Czapska tego dokonuje — gdyż mądrość i przejrzystość idą u niej w parze.

K. A. JELEŃSKI

Polonica Americana (III)

Bez wielkiego rozgłosu i reklamy literatura polska powoli zaczyna docierać na rynek amerykański szeregiem powieści, opowiadań i poezji ukazujących się w tłumaczeniach. I choć chłonność tutejszego rynku na książki nie wprowadzone kampanią reklamową pozostawia jeszcze wiele do życzenia, zniechęcając wielu wydawców obawą finansowego ryzyka, przenikanie to wydawać poczyna owoce trwalsze niż przemijający bądź co bądź rozgłos tej czy innej tłumaczonej i nie wznawianej książki. Stworzona bowiem zostaje podstawowa baza tekstów, które z czasem pozwalają na pierwsze próby całościowych opracowań poszczególnych pisarzy czy nawet okresów bez obawy pozostawienia w próżni czytelnika nie znającego języka oryginałów.

Do najambitniejszych projektów z tej dziedziny zaliczyć wypadnie bez wątplenia wprowadzenie literatury polskiej do rozpoczętej przed paru laty serii małych monografii naukowych wydawnictwa Twayne (Twayne World Authors Series). Dzięki wysiłkom i energii redaktorów działu polskiego, profesorów Adama Gillona i Ludwika Krzyżanowskiego prace te do końca roku 1970 przyniosły pięć tomików omawiających kolejno Mickiewicza i Krasickiego (D. Welsh), Sienkiewicza (M. Giergielewicz), Dąbrowską (Z. Folejewski) i Parandowskiego (G. Harjan). Jakkolwiek forma wydawnicza wszystkich pozycji jest jednolita, ujęciem i poziomem opracowania różnią się od siebie dość znacznie zarówno ze względu na charakter omawianych pisarzy jak

i temperament krytyczno-naukowy autorów opracowań. Jedne mają ambicje istotnie monograficzne, podczas gdy inne koncentrują się na uwypukleniu pewnych specyficznych zagadnień w twórczości danego pisarza, w sumie jednak każdy z tomów stanowi ważny wkład do całości kształtu wiedzy o literaturze polskiej, dla czytelnika zaś amerykańskiego jest w wielu wypadkach niezastąpionym kompendium naukowym. Gdy dalsze prace edytorskie, zapowiedziane na lata najbliższe, zostaną pomyślnie zrealizowane, literatura polska, od Kochanowskiego po Hłaskę, przestanie być wreszcie białą plamą na coraz dokładniej zarysowującej się mapie kultury amerykańskiej.



Niestrudzona szperaczka wśród poloników zapomnianych, Marion M. Coleman, znów zasłużyła się odgrzebaniem z niepamięci i udostępnieniem czytelnikom amerykańskim książeczki na odkrycie takie ze wszech miar zasługującej. Wydana w jej tłumaczeniu i starannym opracowaniu broszura znakomitego anglisty Romana Dyboskiego *Seven Years in Russia and Siberia* pochodzi z 1922 roku, nie traci jednak aktualności po prawie półwieczu. Dyboski, internowany w Rosji jako poddany austriacki w 1914 roku spędził siedem lat w chaosie rewolucji rosyjskiej, a po powrocie do kraju uznał za obywatelski obowiązek spisanie swych uwag i wspomnień. Istniała jednak zasadnicza różnica między publikacją uczonego filologa a setkami wydawnictw tegoż typu masowo ukazujących się zarówno w Polsce jak i za granicą. Siedem lat tułaczki wśród wojennego, rewolucyjnego i powojennego zamętu ówczesnej Rosji Dyboski spędził nie tylko pracowicie i z pożytkiem dla wielu Polaków napotykanym na syberyjskim szlaku, ale co ważniejsze lata te przeżył z szeroko otwartymi oczyma i czujnie wyostrzonym słuchem. Nic więc dziwnego, że spisywane zaraz po powrocie do Polski wspomnienia nie tracą nic ze świeżości niedawno przeżytych wrażeń szeroko wykraczają poza ramy wspomnień czy pamiętnika i urastają do rozmiarów socjopolitycznej rozprawki o powstawaniu i specyfice sowieckiego systemu w jego wczesnym okresie.

Marion Coleman wyposażyła pracę Dyboskiego w pełny aparat naukowy, przypisy, noty wyjaśniające i indeksy umożliwiające dzisiejszemu czytelnikowi pełne zrozumienie fragmentów, które inaczej przeszłyby niezauważone lub mogłyby być błędnie odczytane. Co więcej, wydała książkę tę w momencie, gdy fala amerykańskich publikacji spowodowanych pięćdziesiątą rocznicą sowieckiej rewolucji płynie ciągle jeszcze szeroko, toteż polski głos sprzed pół wieku powinien zabrzmieć na niej świeżo i donośnie.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Epopcja Beskidu Śląskiego

Kiedy w lecie byłem na rodzinnym Śląsku, dwa razy droga moja prowadziła przez Brzezie koło Raciborza i dwa razy pokłoniłem się wsi, bo z niej wyszedł poeta Jan Darowski. Wyprawiłem się także za Wisłę Głębcę do Istebnej, Jaworzynki i Koniakowa. Jadąc najpierw jasną doliną a potem wysokim, podniebnym gościńcem wspominałem Pawła Łyska, literackiego dziedzica i udzielnego księcia tych włości oraz pilnego bacę tamtejszych pieśnierek. Nie wiedziałem, że zaraz po powrocie za Atlantyki wypadnie mi myślać powrócić w te piękne strony wertując książkę o „Twardym żywobyciu Jury Odcestry”.

Jest to opowieść o rodzinnej wsi autora osnuta wokół życia Jury, mało-rolnego górala. Poznajemy go w czasie, gdy wróciwszy z wojska szykuje się do ożenku. Inteligentny choć nieuczony ciężko pracuje, aby zapewnić byt żonie i rosnącej gromadce dzieci. Nie próżnuje i ima się różnych zajęć ale nie wiecie mu się najlepiej. Bo nie jest on obrotny czy, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, życiowy na tyle, by zysk przekładać nad wszystko inne. Wykarczowanie ukochanego lasu przeżywa jak ciężką dolegliwość. Jeżeli coś w ten sposób zdobędzie, to przeznaczy na naukę jednego z dzieci, aby ono, jak Jura, nie musiało poprzestać na marzeniu, ale mogło ruszyć w szeroki świat. Kiedy zakłada karcznię, nie umie zapomnieć, że rozpijanie górali nie powinno być ceną lepszej doli jego rodziny. Żona Jadwiga, z ukosa patrzy na mało budujące sceny rozgrywające się pod jej własnym dachem a które widzą dzieci. Zamknawszy karcznię Jura na spółkę z Hadamem bierze się do skupu bydła ale nieuczciwy współnik oszukuje go a sprawa sądowa niczego nie załatwia. Pod koniec życia zostaje owczarzem dla całej gromady i dwa lata żyje samotnie w górach. Kiedy postrada zmysły, ucieka z zakładu, żeby umrzeć w swoim domu i mieć godny, gazdowski pogrzeb.

Mówiąc o życiu jednego górala, Łyszek umiejętnie sięga w przeszłość wsi i wprowadza wiadomości o pierwszych osadnikach w Beskidzie. Wśród starych gratów odkrywa sprzęty pochodzące z powojennych niepokoїв i rabunków mienia poaustriackiego. Wplata ludowe podania i gadki a przy lada okazji prezentuje nam rozśpiewanych ziomków, mających pieśniarki na każdą okazję. Posługuje się przy tym autentycznymi tekstami ludowego poety-samouka Probosza.

W wielkiej dbałości o kompozycję Łyszek osiągnął równowagę między elementami tworzywa. Na zewnątrz mogą o tym poświadczyć trafne przysłówia służące za tytuł każdego rozdziału. W żadnym wypadku nie odbieramy jego książki, jakby była ona pretekstem do opublikowania zgromadzonych haseł folklorystycznych. Jeżeli jest moc śpiewek a gwara, którą straszy pisarz już w tytule, onieśmiela trochę czytelnika polskiego znającego kresy wschodnie a niezwyčajnego ziem rdzennie polskich, to tym bardziej jest to książka na czasie.

Autor panuje nad proporcją między językiem a opisywanym przedmiotem wystrzegając się zdobnicztwa. Jego obrazowanie jest w rezultacie naturalne, proste, najbliższe rzeczy. Robota jest tak szczerą i prawdą tak przekonywującą (choćby pyszne świnobicie), że nie powstaje banał ale chleb powszedni, który koniec z końcem jest pożywniejszy od najwyższukaných frykasów.

Upartym góralem jest Łyszek. Przez szereg lat byłem życzliwym świadkiem

* Paweł Łyszek: *Twarde żywobycie Jury Odcestry*. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970, str. 160.

jego literackiego trudu. Nie używam tego ostatniego słowa pochopnie. Autor „Twardego żywobycia Jury Odcestry” musiał walczyć twardo o swoje pisarstwo. Z sobą — z miękkością spojrzenia i tendencją do popadania w łatwą ludowość; z językiem — z pewną obcością literackiej polszczyzny podważanej ustawicznie przez bliską jego sercu gwarę nie kiełznaną rygorami mowy pisanej; z wydawcą i czytelnikiem — żeby przekonać ich do tematyki, stylu i języka. Łyszek wprawiał się pisząc pamiętniki wojenne, korzystał z oświadczenia notując zwyczajnie beskidzkiego ludu. Pilnie nad swoim talentem pracował. I obecnie dał z siebie dzieło ambitne, piękne i trwałe. Wszedł w końcu na szczyt góry, może nie wierchu tatrzańskiego, góry bardziej łagodnej, bliższej sobie, beskidzkiej, ale góry o osobliwym uroku, z której roztacza się rozległy widok na górskiego człowieka i jego krainę.

Można by dowoli wymieniać szczególnie pamiętne fragmenty jego ostatniej powieści: opis lasu, czałas w nietkniętym ustroniu czy odpustową niedzielę przed wiejskim kościółkiem. Głębokie wrażenie robi elegijne potraktowanie ostatniej zabawy „jakby to była ich ostatnia muzyka — nie tylko ostatnia w Jurowej karczynie i na trzech dziedzinach lecz i na całym świecie”. Piszący te słowa zdaje się chwycić tę nutę żalu w całej książce, czuje, że jest ona lamentem i to lamentem podwójnym: trenem na przemian i odmianę życia beskidzkich górali, a także serdeczną tęsknotą człowieka, który rzucony w świat osiąść musiał aż u stoków Manhattanu, masywu nie stworzonego, jak Beskidy, przez Boga.

Ale duchem Łyszek nigdy ze swoich gór nie wyszedł. Co więcej, za Wielką Wodą przechował ich obraz tak wyrazisty i odmalował go z tak udaną miłośnością, że powinien się znaleźć w literackiej galerii ziem polskich.

Florian SMIEJA

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie.

Metodyka badań literackich

1. DOKUMENTACJA W BADANIACH LITERACKICH I TEATRALNYCH. Wybrane problemy. Książka zbiorowa pod red. Jadwigi CZACHOWSKIEJ. Wrocław, 1970, Zakł. Nar. im. Ossolińskich, Wydawnictwo P.A.N., str. 334 (2), 6 pl. (Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk).

Zbiór bardzo pożytecznych rozpraw z dziedziny techniki przygotowywania bibliografij, słowników biograficznych itp. ze szczególnym uwzględnieniem specyficznych potrzeb teatrologii. Podstawą tomu są teksty referatów ogłoszonych na konferencji poznańskiej p.n. „Zakres i metody dokumentacji historycznoliterackiej”. Na szczególne wyróżnienie zasługują opracowania: Jadwigi Czachowskiej o „Słownikach pisarzy współczesnych” i niejako uzupełniające je wskazówki Kseni Kostenicz o „Kalendarzach życia i twórczości pisarzy” oraz Janusza Stradeckiego o problemach związanych z opracowywaniem zarysów działalności grup literackich (oparte na przykładzie Skaman-

dra). Szkic Edmunda Jankowskiego o „Słowniku pseudonimów” jest wymownym przykładem, że nawet o temacie tak pozornie niewdzięcznym pisać można porywająco: kto np. pamięta, że Roman Dmowski, wydawszy pod pseudonimem Kazimierza Wybranowskiego powieść pt. „Dziedzictwo”¹⁰⁰ „sam pod prawdziwym nazwiskiem wystąpił z wielką autorecenzją w *Gazecie Warszawskiej*, gdzie — jak przystało na wytrawnego polityka — zdobył się na lekką krytykę artystycznych wartości własnej powieści, a o autorze wyraził się pobłażliwie: „p. Wybranowski, czy jak się tam on nazywa” (*Gazeta Warszawska*, nr 329, 1931).

Historia nauki polskiej

2. HISTORIA NAUKI POLSKIEJ. Tom I. Bogdan Suchodolski — wstęp i redakcja, Paweł Czartoryski: Średniowiecze, Paweł Rybicki: Odrodzenie. Wrocław, 1970, Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo PAN, str. 447 (1), ilustr., diagr., bibliogr. (Zakład Historii Nauki i Techniki Polskiej Akademii Nauk).

Tom pierwszy szeroko zakrojonego opracowania naukowego, omawiający m.in. historię powstania Uniwersytetu Jagiellońskiego, Arystotelizm „krakowski”, początki humanizmu w Polsce, dzieje astronomii w Polsce (z obszernym omówieniem roli Kopernika) itd. W najbliższym czasie ukazuje się tom drugi w którym Henryk Barycz omawia okres baroku a Kazimierz Opałek Oświecenie. Książka winna znaleźć się w księgozbiorach podręcznych wielkich bibliotek światowych.

Literatura piękna (poezja)

3. SŁONIMSKI, Antoni: *Poezje zebrane*. Warszawa, 1970, Państwowy Instytut Wydawniczy, 8^o, str. 610 (2).

Najpełniejszy z opublikowanych dotychczas zbiorów wierszy Słonimskiego, opatrzone starannymi notami bibliograficznymi opracowanymi przez A. Kowalezykową, autorkę studium o „Liryce Słonimskiego”. W stosunku do „poezji zebranych” w wyd. pierwszym z 1964 zauważyć się dają istotne zmiany, polegające przede wszystkim na włączeniu „Dwu poematów” (tytułem tym objął Słonimski mistrzowski przekład monologu Hamleta: „Być albo nie być” i wiersz pt. „Odszczepieniec”).

4. CZECHOWICZ, Józef: *Wybór poezji*. Opracował Tadeusz Kłak. Wrocław, 1970, Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo, 8^o, str. CVI, 164, portr., bibliogr. (Biblioteka Narodowa, Seria I, nr 199).

Starannie przygotowany wybór wierszy, oparty na autoryzowanych wydaniach książkowych i pierwodrukach. Wydawca poprzedził go niemal monografią Czechowicza, na którą składa się: życiorys, zarys działalności twórczej Czechowicza jako poety, dziennikarza, dramaturga, autora książek dla dzieci, współpracownika radia i tłumacza. W drugiej części wstępu Kłak analizuje utwory poetyckie Czechowicza („poezja śmierci i zagłady”, „wpływ historii na poezję Czechowicza”, „mitotwórcze skłonności poety”, „profetyka”, „słownictwo”, „muzyczność”), oceny twórczości za życia i po śmierci poety. Włączenie Czechowicza do serii klasyków polskich „Biblioteki Narodowej” jest słusznym, jak się zdaje, wyłomem od stosowanej dawniej zasady zamykania się w ramach tradycyjnego zestawu pisarzy dawno zmarłych.

Literatura piękna (proza powieściowa)

5. RÓŻEWICZ, Tadeusz: *Śmierć w starych dekoracjach*. Ilustrowała Maria Schier. Warszawa, 1970, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 148 (2).

Ważna pozycja w pismach prozą Różewicza. Osobliwy produkt epoki, półinteligent-erudyta, umiera w termach Caracalli, w toku pielgrzymki w której zderzenia z rzeczywistością XX-wieczną sąsiadują z łapczywym, swoiście komentowanym odkrywaniem zabytków. Różewicz nadał wyznaniom bohatera formę naiwnej opowieści o podtekście równającym się bezlitosnemu osądowi naszej współczesnej cywilizacji. Tekstowi towarzyszą zaskakująco dobre ilustracje Marii Schier, której nazwisko warto zapamiętać.

Listy wybitnych pisarzy (wydania krytyczne)

6. KRASIŃSKI, Zygmunt: *Listy do Adama Sołtana*. Opracował i wstępem poprzedził Zbigniew Sudolski. (Warszawa, 1970), Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 849, front, kolorowy portret Sołtana. (Biblioteka Poezji i Prozy).

Trzeci tom korespondencji Krasińskiego, przynoszący podobnie jak wydane poprzednio zbiory listów do ojca i do Jerzego Lubomirskiego pełne, niecenzurowane przez rodzinę oryginalne teksty poety. Ten właśnie moment, którego wagi nie podobna nie docenić sprawia, iż coraz wyraźniej zarysowuje się potrzeba drastycznej rewizji życiorysu i portretu duchowego autora „Nie-Boskiej”. Wydane ostatnio listy, znane częściowo w wersji ogłoszonej przez prof. Stan. Tarnowskiego, pozwalają na wnikięcie w pryncypia, kierujące wyborem skreśleń (Sudolski wlicza na siedmiu stronach petitu akapity pominięte!) i budzą smutne refleksje na temat praw spadkobierców do fałszowania tekstów literackich.

Przewidziane jest wydanie dalszych tomów, w tym niezmiernie ważnych listów do Henry Reeve’a.

7. BRZozowski, Stanisław: *Listy*. Opracował, przedmową, komentarzem i aneksami opatrzył Mieczysław Sroka. Kraków, 1970, Wydawnictwo Literackie, t. I: str. LXXX, 781; t. II: str. 968 (6), — 93 ilustr. (portrety i podobizny autografów i dokumentów).

Irzykowski przyrównał oddziaływanie Brzozowskiego na kolejne generacje czytelników do „obcowania z wiecznie rozżarzonym węglem”. Wydanie *Listów* podsyca niewątpliwie ów symboliczny żar przez ujawnienie nowych a ważnych wypowiedzi i sumienną dokumentację życiorysu. *Listy* ukazują wielokierunkowość ideologii Brzozowskiego z okresu, gdy kształtowała się jego słynna „filozofia czynu” i gdy uwaga jego skupiała się na docieraniu do istoty marksizmu, swoistej interpretacji stanowisk nacjonalistycznych — a wreszcie, pod wpływem lektury kard. Newmana — prób sojuszu z myślą katolicką. Brzozowski określił listy Krasińskiego jako *lamento doloroso* — ale i własne jego wypowiedzi są (i to bardziej uzasadnionym) lamentem nad sobą, chorem, w niedostatku, zaszczytym. Mniej więcej jedna trzecia listów dotyczy „sprawy Brzozowskiego”. Ani listy, ani komentarz Sroki nie stawiają jednak kropki nad i. W tym kontekście nabiera szczególnej wymowy wiadomość podana skromnie w przypisku na str. 276 tomu pierwszego a głosząca, iż „cały materiał śledztwa zachował się w komplecie w Centralnym Państwowym Archiwum Historycznym w Moskwie (CGIAM, Dep. Pol., VII Delopr., nr 335/1898). Wydawca *Listów*, na ogół wzorowo sumienny, nie tłumaczy dlaczego do tych materiałów nie dotarł; jest to niewątpliwie jeszcze jeden przykład osobliwych zawiłości stosunków polsko-sowieckich.

W dwudziestolecie planowano wydanie *Listów*. Prace przygotowawcze pro-

wadziła Maria Stokowska, która zgromadzić zdołała odpisy 700 listów z lat 1900-11. Znaczna ich część przepadła w czasie II wojny światowej (w tym część listów do Ostapa Ortwina, listy do Daszyńskiego, Moraczewskiego i Józefa Piłsudskiego). Miecz. Sroka ogłosił obecnie 514 listów, w tym większe zespoły do W. i Edm. Szalitów, Rafała i Wuli Buberów, Salomei Perlmutter, Witolda Klingera, Dawidów i in. Listy ogłoszone są w układzie chronologicznym, co sprzyja układaniu się ich w dziennik myśli pisarza i pozwala na śledzenie ewolucji jego poglądów. Jest to także przewodnik po lekturze Brzozowskiego i informator o pracach pisarskich podejmowanych w niepokojąco szybkim tempie, na tematy o rozpiętości przekraczającej możliwości nawet tak wybitnego umysłu. Ta ostatnia uwaga dotyczy w szczególności sądów o literaturze angielskiej i planów esejów o pisarzach znanych Brzozowskiemu, w najlepszym razie, z wstępnymi kontaktów.

Relacje pamiętnikarskie

8. SPOTKANIA NAD ARNEM. *Konopnicka o Lenartowiczu*. Wstęp i przypisy: Jan Nowakowski. Połowie: Stanisław Szwalbe. (Warszawa, 1970), Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, str. 161 (3), ilustr.

Interesujące świadectwo sztucznie podsycanej przyjaźni literackiej, wyrosłej na podłożu pretensjonalnie formułowanych zachwyty, wymienianych między sędziwym poetą a zawsze gotową do wzniosłych wzruszeń poetką. Ze spisanej przez nią na gorąco relacji (prozą) wyłania się jednak niewątpliwie godna pamięci postać „lirnika mazowieckiego”, poety i snycerza, współtwórcy Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu. Warto przypomnieć, iż słynny jego wiersz „Złoty kubek” („Złotniczenku, zrób mi kubek...”) odezwał się pięknym echem w „Lenartowiczu” Pawlikowskiej a ostatnio w głębokim, bezbłędnie dźwięcznym — po prostu pięknym — wierszu Bolesława Kobrzyńskiego „Złoty kubek” (w nrze 1-2 *Kultury* z br.).

E s e j e

9. ORTWIN, Ostap: *Żywe fikcje*. Studia o prozie, poezji i krytyce. Opracowała Jadwiga Czachowska. Wstępem poprzedził Michał Głowiński. Warszawa, 1970, Państwowy Instytut Wydawniczy, 8°, str. 426. (Pisma krytyczne Ostapa Ortwina, t. 2 — w serii „Biblioteka Studiów Literackich pod red. Henryka Markiewicza”).

Podobnie jak t. I („O Wyspiańskim i dramacie”) tak i wydany obecnie przynosi rozproszone po czasopiśmie i trudno dostępne szkice krytyczne Ortwina (m.in. negatywną ocenę „Oziminy” Berenta, pisma polemiczne w obronie Stanisława Brzozowskiego, szkic o Żeromskim („Maurycy Zych”), wybór recenzji tomów wierszy ukazujących się w dwudziestolecu (Staffa, Leśmiana, Wierzyńskiego, Tuwima, Pawlikowskiej, Stonimskiego i in.). Oba tomy w starannym opracowaniu edytorskim Jadwigi Czachowskiej. W tomie pierwszym — życiorys Ortwina, w drugim — bibliografia jego prac.

10. MICIŃSKI, Bolesław: *Pisma*, Eseje, artykuły, listy. (Wybór i opracowanie: Anna Micińska). Kraków, 1970, Znak, str. 616, front, portr., ilustr., nota biograficzna, bibliografia.

Jeszcze jedna ekshumacja zapomnianego młodego pisarza, dyktująca korektury w dotychczasowej niepisanej hierarchii literackiej ostatniego pięćdziesięciolecia. Bobkowski, Baczyński — teraz Miciński, kiedyż Trzebiński? I gdzieś — ponad — Jerzy Stempowski. Tom otrzymany obecnie w starannym opracowaniu Anny Micińskiej ujawnia rozmiary straty i rozliczne uroki fajerwerkowej, kapryśnej indywidualności znakomitego eseisty, niedosłego filozofa i — jak Brzozowski — zabijanego przez gruźlicę jeszcze jednego

pisarza z prawdziwego zdarzenia, którego dzisiejsza medycyna już nie dałaby tak wcześniej pochować. Tom obejmuje: „Podróże do piekieł”, „Portret Kanta”, „Dylizans filozoficzny”, esej „O nienawiści, okrucieństwie i abstrakcji”, „Myśli o wojnie”, „Uwagi o polityce”, szkic o Freudzie, fragmenty notatnika, listy przedwojenne do Iwaszkiewicza, Sebyły, dra Kaz. Golonki i in. i listy z okresu wojny do Jerzego Stempowskiego, Pawła Zdziechowskiego, Leona Kosteckiego, Kaz. Kranców, Wandy de Andreis (której synek był adresatem „Odpowiedzi na list Francesca obywatela rzymskiego”), Wacl. Grzybowski i in.

D z i e n n i k i

11. NAŁKOWSKA, Zofia: *Dzienniki czasu wojny*. Wstęp, opracowanie i przypisy: Hanna Kirchner. Warszawa, 1970, Czytelnik, 8°, str. 505 (1), portr.

W papierach Nałkowskiej dochowało się 67 zeszytów dziennika osobistego prowadzonego systematycznie przez 55 lat, od roku 1899 do przede dnia zgonu. Część ogłoszona obecnie, a układająca się w niemal powieściową całość, obejmuje okres okupacji. Nałkowska opuściła stolicę w początku września z Bogusławem Kuczyńskim, powróciła do zniszczonego mieszkania po miesiącu i do końca wojny przebywała w Warszawie i Adamowiznie pod Grodziskiem. Utrzymywała się wraz z siostrą ze sprzedaży papierosów w sklepiku w okolicy Belwederu. Chłodny, rzeczowy opis okupacyjnej egzystencji łączy się z klinicznym obrazem starzejącej się kobiety, walczącej o zachowanie pozorów młodości — i to właśnie decyduje o swoistej wartości dziennika, urastającego jako dokument i utwór literacki do rangi najważniejszej pozycji w dorobku pisarskim Nałkowskiej. Strach przed ujawnieniem nazwisk i udziału w życiu literackiego podziemia sprawił, iż dziennik zawiera stosunkowo niewiele rzeczowych informacji na ten temat, i, co gorzej, przynosi bałamutne i nie sprostowane w dobrych skądinąd komentarzach dane o pomocy otrzymywanej w latach wojny przez Nałkowską w ramach organizowanej przy pomocy Londynu akcji.

H I S T O R I A

W i e k X V I I I

12. ZAHORSKI, Andrzej: *Warszawa za Sasów i Stanisława Augusta*. Warszawa, 1970, Państwowy Instytut Wydawniczy, 8°, str. 248 (2), ilustr. (Przedmowa śp. prof. Janusza Wolińskiego).

Tom inauguracyjny Bibliotekę Wiedzy o Warszawie firmowaną przez Tow. Miłośników Historii w Warszawie. Autor starał się o „przedstawienie węzłowych problemów politycznych, społeczno-gospodarczych i kulturalnych Warszawy w ciągu XVIII wieku”.

I I. W o j n a Ś w i a t o w a

13. OSMAŃCZYK, Edmund: *Był rok 1945...* (Warszawa, 1970), Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 570 (2).

Autor „Spraw Polaków” podejmuje tematykę końca Drugiej Wojny Światowej w oparciu o „gruby plik swoich rękopisów, maszynopisów i druków, opatrzonych napisem „Był rok 1945...”, zbieranych „na żywo” i odłożonych na bok. Dotyczą one Ziemi Odzyskanych, procesu norymberskiego, działalności Hansa Franka itd.

Tandeta literacka

14. PUTRAMENT, Jerzy: *Pół wieku*. (IV): *Literaci*. Warszawa, 1970, Czytelnik, str. 319 (5).

Tom obejmuje okres od końca niefortunnego paryskiego epizodu ambasadorskiego (1950) do roku 1955. Jest to niemal podręcznik dla reżymowych karierowiczów, ilustrujący przykładami z praktyki autora, jak należy przystosować się do wahań koniunktury, by utrzymać się na górze. Niepozabawiony pikanterii jest rozdział pt. „Szatybełko”. Dotyczy on preliminariów wyjazdu do PRL Stanisława Mackiewicza (Cata), występującego w „Rzeczywistości” Putramenta pod nazwiskiem Szatybełki.

Nadesłane nowości wydawnicze

BUTLER (Christopher). *Teologia soboru watykańskiego drugiego*. Przeł. z ang. dr Olga Scherer. Str. 213 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, zeszyt 17 kolekcji „Znaki czasu”, Paryż, 1971).

GELIN (Albert). *Pismo Święte o człowieku*. Przeł. z francuskiego Danuta Szumska. Str. 166 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, zeszyt 18 kolekcji „Znaki czasu”, Paryż, 1971).

BUTLER (Christopher). *Dlaczego Chrystus?* Przeł. z ang. Jerzy Fijaś. Str. 144 i 8 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, zeszyt 19 kolekcji „Znaki czasu”, Paryż, 1971).

GĘBIK (Władysław). *Chłopcy z rzeczypospolitej kwidzyńskiej*. Str. 135. (Wyd. „Pojezierze”, Olsztyn, 1970).

CIOŁKOSZ (Adam). *Polska wciąż na wulkanie*. Str. 15. (Wyd. Democratic Press and Liberty Publications, Londyn, 1971, cena 1 sh).

Gombrowicz. Opracowanie Konstantego Jeleńskiego i Dominique de Roux. Str. 479 + ilustracje. (Wyd. Editions de l'Herne, Paryż, 1971).

MADEY (Jean). *Le Patriarcat Ukrainien vers la perfection de l'état juridique actuel*. Str. 265 i 3 nlb. (Opera Theologicae Societatis Scientifica Ucrainorum, Tom XIX, Rzym, 1971).

KLUGMAN (Alexander). *Le Judaïsme de Pologne — Dernière page*. (Opracowanie w kwartalniku „Dispersion et Unité”, str. 228-260, Jeruzolima, 1970 (nr 10)).

IRANEK-OSMECKI (Kazimierz). *He who saves one Life*. Przedmowa dr. Josepha L. Lichtena. Str. 336 i 2 nlb. (Wyd. Crown Publishers, Inc., New York, 1971, cena dol. 6,95).

GIERGIELEWICZ (Mieczysław). *Introduction to Polish Versification*. Str. 209 i 5 nlb. (Wyd. University of Pennsylvania Press, Philadelphia, 1970, cena dol. 10).

ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *The Distortion of Literature in Polish People's Republic*. Str. 10. (Odbitka z Federalist Nr 1/2, July/December, Brooklyn, N.Y., 1970).

KUBIJOWYCZ (Wołodymyr). *Me ni 70*. Str. 134 i 2 nlb. (Wyd. Naukowe Towarzystwo im. Szewczenka, Paryż-Monachium, 1970).

USCHAKOW (Alexander). *Friedens- und Sicherheitsvorstellungen der Volksrepublik Polen*. Str. 128-147. Nadbitka z „Jahrbuch der Albertus-Universität zu Königsberg / Preussen” 1971 — Band XXI. (Wyd. Duncker und Humboldt, Berlin-Monachium).

Humor krajowy

Reminiscencje grudniowe

Nie było VII Plenum, a tylko VI z przerwą na palenie...

Bajeczka o kawusi: — KA WU si spaliło!

W związku z ostatnimi zmianami jakie zaszły w kraju, Polacy mają nadzieję, że Polska zostanie przyłączona do Śląska.

Testament Gomułki

W Biurze Politycznym, po odejściu Gomułki, znaleziono jego testament: „Pogrzeb mój ma się odbyć najskromniej, tylko najbliższa rodzina, żadnych delegacji, żadnych orkiestr, żadnych nabożeństw. Moim nazwiskiem nie nazywać miast ani miasteczek, ulic ani placów. Chcę spocząć na wiejskim cmentarzu w moim rodzinnym Krośnie. Pragnę aby na moim grobie położono kamień polny z tym skromnym napisem: WŁADYSŁAW GOMUŁKA — EKONOMISTA.

Pamiętnik Moczara

5 lutego wyrzuciliśmy Niemców z lasu. — 10 lutego Niemcy wyrzucili nas. — 15 lutego wyrzuciliśmy z lasu Niemców. 20 lutego przyszedł leśniczy i wyrzucił i nas i Niemców.

— Jaka jest różnica między Gomułką a Gierkiem?

— Nie ma żadnej różnicy, tylko Gierek jeszcze o tym nie wie.

Koncert Życzeń

Sympatycznemu Panu Edwardowi od sympatycznej klasy robotniczej ludowa piosenka: „Picu-picu”...

Z ZSSR:

Plac chłopca na Czerwonym Placu

— Towarzyszu Lenin, lepiej byś ty żył, a twoje dzieło umarło!

Gruzini opowiada o zwiedzaniu Moskwy

— W Mauzoleum? Owszem, byłem. — Kolejka? Ależ skąd! — Dałem pięćset rubli i zaraz mi go wynieśli!

Cierpliwość rosyjska — na zebraniu:

— Od jutra normy wzrosną o połowę! (milczenie)

— Od jutra płace zostaną zmniejszone o połowę! (milczenie)

— Jutro będzie się was wieszać! — A sznurek dacie, czy przynieść własny?

Zebrała Zofia HERTZ

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-2-71

Zmarł wczoraj w Warszawie, w wieku 55 lat, Mieczysław Pręgowski, aktor (b. żołnierz 2 Korpusu we Włoszech).

16-2-71

W więzieniu kieleckim przebywa od czterech miesięcy obywatel amerykański pochodzenia polskiego, inż. Adam Mueller. Mueller przyjechał do Polski celem odwiedzenia 81-letniego ojca. Został aresztowany w przeddzień odjazdu — 31. 10. 1970. Do tej pory przebywa w więzieniu, gdzie zapadł na zapalenie płuc. Został on oskarżony o przekazanie wiadomości, które podlegają tajemnicy państwowej (Kodeks Karny art. 124 § 1 — artykuł ten przewiduje karę od 5 lat więzienia do kary śmierci łącznie). Adam Mueller opuścił Polskę przed 8 laty. Ani w Polsce, ani w USA nie pracował w żadnej dziedzinie, która mogłaby grozić ujawnieniem tajemnic państwowych. ■ Pismo Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, *Prasa Polska*, podaje, że warszawski zarząd oddziału Stowarzyszenia skreślił dotychczas z listy SDP 90-ciu członków oddziału, którzy zrzekli się obywatelstwa polskiego i wyjechał z Polski. ■ Istniejące w PRL kółka rolnicze zmehanizowały dotychczas w rolnictwie zaledwie 10 % prac w polu. *Trybuna Ludu* apeluje o udostępnienie nabywania ciągników przodującym gospodarstwom, dla których posiadanie własnego traktora jest opłacalne. Mimo tych apelów zakłady „Ursus” nie otrzymały dotąd decyzji w sprawie produkcji odpowiednich ciągników.

19-2-71

W związku z 25-leciem istnienia ORMO komendant główny MO, gen. Tadeusz Pietrzak, udzielił wywiadu Radio Warszawa. W wywiadzie tym stwierdził m.in., że organizacja ORMOWska liczy obecnie 380 tys. członków, w tym 205 tys. robotników, 120 tys. chłopów oraz 55 tys. przedstawicieli inteligencji. Ilość bezpartyjnych ORMOWców przekracza 123 tys. członków. Ostatnio zwiększa się napływ młodzieży do ORMO, szczególnie zrzeszonej w Związku Młodzieży Socjalistycznej, w Związku Młodzieży Wiejskiej i w Zrzeszeniu Studentów Polskich. ■ Polskie Linie Oceaniczne uruchamiają w najbliższym czasie stałe połączenia portów polskich z portami Wielkich Jezior amerykańsko-kanadyjskich. Odjazdy z Gdyni będą miały miejsce co 30 dni. Rejsy okrężny wyniesie około 70 dni. Statki będą zawijały do Hamburga, Antwerpii, Montrealu, Hamiltonu, Detroit, Milwaukee i Chicago. ■ Radio Liberty podaje, że w 14-tu republikach związkowych dziesięciu Rosjan zajmuje stanowiska drugich sekretarzy KC partii.

20-2-71

Znany pisarz czeski Jan Prohaska zmarł w Pradze, w wieku lat 42, na skutek długotrwałej choroby. Był on jednym z czołowych przywódców „Wiosny Praskiej”, najbardziej gwałtownie atakowanym w ostatnich czasach.

21-2-71

Z okazji 25-lecia Stowarzyszenia PAX, w Ojrzanowie pod Warszawą odbyło się spotkanie 150-ciu naukowców z całego kraju. Przedmiotem obrad była sprawa rozwoju nauki polskiej w myśl uchwał VIII Plenum KC partii. Występowali m.in. prof. Klafkowski z Poznania, oraz Bolesław Piasecki. W spotkaniu wzięli udział członkowie prezydium sowieckiej Akademii Nauk

prof. Igor Bełza. ■ Redakcja dwutygodnika *Wychowanie* przyznała nagrody za publikacje o szczególnym znaczeniu dla ideowego wychowania młodzieży. Pierwszą nagrodę otrzymał Marian Dobrosielski, obecny ambasador PRL w Londynie, drugą Tadeusz Walichnowski za „Status quo w Europie”, trzecią nagrodę przyznano J. Janickiemu za „Oblicze studenckiego buntu — Francja 1968”. Bez komentarzy.

27-2-71

Rada Ministrów PRL przygotowała projekt ustawy tworzącej obozy pracy dla elementów asocjalnych. Według statystyk policyjnych w Polsce jest ponad 50 tys. „chuliganów”. Pobyt w obozie pracy ma trwać trzy lata i może być przedłużony we wszystkich wypadkach złej woli skazanego. ■ Stowarzyszenie autorów „ZAIKS” powołało do życia fundusz popierania twórczości. Podstawę nowego utworzonego funduszu stanowią kwoty deponowane na koncie dawnego, nie wykorzystywanego dotąd funduszu kulturalno-oświatowego „ZAIKS-u”, nie odebrane i przedawnione już należności z tytułu wykonywania różnego rodzaju utworów itp. Pozwoli on obecnie na finansowanie ważnych i istotnych dla rozwoju kultury polskiej inicjatyw, m.in. krajowych i międzynarodowych sympozjów poświęconych określonym problemom twórczości artystycznej, upowszechnianiu i ekspansji kultury i sztuki polskiej w świecie, organizacji konkursów, fundowaniu nagród dla twórców zagranicznych, którzy mają szczególne zasługi dla popularyzacji polskiej literatury, muzyki i teatru. Intencją „ZAIKS-u” jest także tworzenie stypendiów, które mogłyby być pomocne w realizacji zamierzeń twórczych. Istnieje również możliwość roztoczenia opieki ze strony „ZAIKS-u” nad młodymi, dobrze zapowiadającymi się literatami, muzykami itp. ■ Obywatel francuski, Jean Girardot, został skazany w Warszawie na 4 lata więzienia i grzywnę w wysokości 1.240.000 zł. za uprawianie handlu na czarnym rynku. 5-ciu współoskarżonych Polaków zostało skazanych na kary od 2 do 8 lat więzienia. ■ Doradca naukowy prezydenta Stanów Zjednoczonych i dyrektor Biura Nauki i Techniki — dr E. E. David jr. zaprosił prof. J. Kaczmarka, przewodniczącego Komitetu Nauki i Techniki do złożenia wizyty w Stanach Zjednoczonych w celu wymiany poglądów na temat polsko-amerykańskiej współpracy naukowej i technicznej. ■ W PRL podniesiono o 5 % emerytury z tytułu 10-letniego stażu pracy w Polsce Ludowej. Dotyczy to około 470.000 emerytów.

28-2-71

Związek Kompozytorów Polskich ustanowił dwie odznaki honorowe za usługi w popularyzacji muzyki polskiej za granicą. Pierwszymi laureatami są: Z. Latoszewski, A. Łuczak, Z. Szczepański, A. Szwalbe, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Nadia Boulanger (Francja) i Otto Temmek (NRF). ■ Francuskie stowarzyszenie Loisirs-Jeunes przyznało dyplom za najlepiej wydaną w 1970 roku książkę — książkę Heleny Bechlerowej „Dom pod kasztanami” z ilustracjami J. M. Szancera, wydaną po francusku przez „Naszą Księgarnię”. ■ W Warszawie odbył się zjazd przedstawicieli 260-osobowej grupy młodzieży polonijnej, studiującej w Polsce. Zjazd był zorganizowany przez towarzystwo „Polonia”. W zjeździe wzięli udział wiceminister Spraw Zagranicznych Willmann. ■ Zmarł w Warszawie, w wieku 72 lat, płk Tadeusz Szumowski. Specjalizował się on w tendencyjnym naświetlaniu działalności polskiej na Zachodzie w czasie ostatniej wojny.

1-3-71

Na sesji Komekonu w Moskwie uchwalono, że 7 krajów, członków Komekonu (Polska, Niemiecka Republika Demokratyczna, Czechosłowacja, Rumunia, Bułgaria i Mongolia) rozpocznie wspólną budowę zakładów przemysłowych.

słowych na terytorium ZSSR. ■ Prezydium sowieckich związków zawodowych dymisjonowało kierowników syndykatów w rejonie Archangielska, odpowiedzialnych za specjalnie ciężkie warunki pracy robotników przedsiębiorstw leśnych na tym obszarze. Przykładem tych złych warunków jest fakt, że w ciągu 9 miesięcy 1970 roku 16 tys. robotników, a więc około 33 %, porzuciło pracę i z tego powodu plan nie został wykonany. ■ Zmarł, w wieku 86 lat, Adam Uziembło, wybitny działacz niepodległościowy, publicysta i literaturoznawca.

3-3-71

Kardynał Wyszyński został przyjęty przez premiera PRL, Piotra Jaroszewicza. Jest to pierwsze oficjalne spotkanie od szeregu lat. Spotkanie trwało około trzech godzin. Opinia światowa podkreśla, że poparcie przez Kościół nowego kierownictwa partii lub nawet jego neutralność jest dla reżymu rzeczą nieocenioną.

4-3-71

Kardynał Wyszyński 7 godzin referował episkopatowi polskiemu przebieg o swej konferencji z premierem Jaroszewiczem. Komunikat episkopatu wydany później stwierdza, że „zarysowują się perspektywy stopniowej normalizacji stosunków między Kościołem państwem”. ■ Ambasador sowiecki w Warszawie, A. Aristow, po dziesięcioletnim pobycie w Polsce został odwołany. Aristow uchodził za związanego z Gomułką i jego grupą i jeszcze w ostatniej chwili próbował ratować jego pozycję. ■ W PRL pracuje zarobkowo (poza rolnictwem) 4 miliony kobiet. Tempo wzrostu zatrudnienia kobiet w okresie 1958-68 było dwukrotnie wyższe niż mężczyzn. ■ W obecnym pięcioleciu, w tzw. wieku zdolności do pracy wejdzie 3,5 miliona młodych — będzie to najwyższy przyrost od 1950 do... 2000 roku. ■ *Dziennik Ludowy* informuje, że z każdym rokiem zwiększa się tempo ubytku gruntów rolnych. W samej tylko Rzeszowszczyźnie powierzchnia użytków rolnych zmniejszyła się o ponad 174.000 ha. ■ 61 sportowców czeskich zostało zdymisjonowanych. Według urzędowej agencji czeskiej powodem było „popętnienie ciężkich błędów politycznych i niewykazanie wystarczającego poziomu uświadomienia politycznego”. ■ Zebranie ministrów spraw wojskowych państw Paktu Warszawskiego uchwaliło modernizację infrastruktury sił zbrojnych paktu. ■ Wojsko ChRL otrzymało nowe uzbrojenie, od karabinów i czołgów, po nowoczesne radiostacje polowe — konstrukcji i produkcji chińskiej. Lotnictwo chińskie nadal opiera się na krajowej produkcji myśliwców naddźwiękowych „Mig-19”. Obecnie chiński przemysł lotniczy przygotowuje się do podjęcia produkcji bombowca średniego zasięgu — wersji sowieckiego „Tu-16” o napędzie odrzutowym. Stocznie chińskie budują nowe okręty podwodne klasy pośredniej między niszczycielami a krążownikami. ■ Od 9 lat — pisze „Zhenminzhipao” — Chiny osiągają dobre urodzaje. Zbiory w 1970 r. były jednak najlepsze od czasu utworzenia ChRL. ■ W Chinach Ludowych wystrzelono drugie satelity.

6-3-71

Chemicy z Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie wynaleźli dwa ciekawe rozwiązania w budownictwie, a mianowicie futryny okienne z plastyku, bardzo tanie i wytrzymałe, oraz specjalny gatunek betonu, który dzięki żywicom epoksydowym jest trzykrotnie wstrzymalszy niż beton normalny. ■ „Argos” w PRL zakontraktował w br. import artykułów spożywczych za 350 mil. złotych dewizowych. Są to przede wszystkim: owoce cytrusowe, kawa, ziarno kakaowe. ■ W Rumunii mieszka 376.750 Rumunów pochodzenia niemieckiego. Niemcy Zachodnie już przed trzema laty zaproponowały ich repatriację do Republiki Federalnej. Ostatnio Ceaucescu oświadczył, że

Rumunia nie zgodzi się na wyjazd obywateli narodowości niemieckiej, czy innych mniejszości.

7-3-71

Prasa polska donosi, że „rolnicy indywidualni i gospodarstwa uspołecznione podejmują zobowiązania o zwiększeniu pogłowia trzody chlewnej i bydła”. Np. producenci z woj. wrocławskiego odchowają w tym roku dodatkowo 34 tys. tuczników i ponad 13 tys. sztuk bydła”. Jak oni to zrobią? ■ Liczba katolików w świecie wzrasta, zmniejsza się natomiast liczba kapłanów. W roku ubiegłym liczba katolików wzrosła o 11 mln i jest ich obecnie około 527 mln., natomiast liczba księży zmniejszyła się w tym czasie o 1.190. ■ Czterech księży parafialnych parafii Matki Boskiej na przedmieściu przemysłowym Bilbao w Hiszpanii postanowiło zrezygnować z uposażenia państwowego. Od kilku miesięcy zmieniają się oni w duszpasterstwie i pracują na zmianę w świeckim zawodzie, by zarobić na swoje utrzymanie. W okólniku rozesłanym do parafian zapowiedzieli, że otrzymywana pensja państwa pójdzie na pomoc dla biednych rodzin albo na stypendia dla studentów. ■ Ks. Prymas Wyszyński wygłosił, w ciągu 1970 r., 185 przemówień publicznych (kazania, konferencje, referaty itp). ■ Na Węgrzech istnieją trzy arcybiskupstwa i osiem diecezji, obejmujące 1.903 parafie. W parafiach tych jest zazwyczaj więcej niż jeden kościół. Katolików na Węgrzech jest ok. 6,5 miliona. Liczbę księży podaje się na 4.014, w tym 198 należy do Kościoła unickiego. Katolicy mają na Węgrzech tygodnik *Uj Ember* o nakładzie 48 tys. egzemplarzy, miesięcznik kulturalny *Vigilia* i biuletyn informacyjny *Magyar Kurier*. Klerycy studiują teologię na Akademii Teologicznej w Budapeszcie i w pięciu seminariach duchownych. Benedyktyni prowadzą dwie szkoły średnie, pijarzy i franciszkanie również po dwie, zakon ubogich siostr szkolnych prowadzi dwie szkoły średnie dla dziewcząt.

10-3-71

Włodzimierz Janiurek został mianowany rzecznikiem prasowym rządu PRL w randze podsekretarza stanu. ■ W Warszawie odbyła się z udziałem radia i telewizji konferencja prasowa kpt. służby bezpieczeństwa Andrzeja Czechowicza, który od 1965 roku był współpracownikiem radia Wolna Europa w Monachium. Czechowicz po odpowiednim przeszkoleniu w 1962 roku i po pobycie w Anglii, „wybrał wolność” w Niemczech. W 1963 roku, przebywał szereg miesięcy w obozach uchodźców, służył później w brytyjskich kompaniach wartowniczych Armii Renu starając się równocześnie o przyjęcie do Radia Wolna Europa. ■ Około 130 obywateli sowieckich pochodzenia żydowskiego zorganizowało milczącą demonstrację w biurze przyjęć Najwyższej Rady w Moskwie. Manifestanci składali się z Żydów litewskich, łotewskich i moskiewskich. Domagali się oni możliwości wyjazdu ze Związku sowieckiego do Izraela. Podobna manifestacja odbyła się dnia następnego. ■ Sowiecki reżyser filmowy Andriej Tarkowski, twórca głośnego filmu *Andriej Rublew*, pracuje obecnie nad filmem, którego scenariusz jest oparty na książce „Solaris” Stanisława Lema. ■ Stanisław Piłotowicz, sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Białorusi został mianowany ambasadorem ZSSR w Polsce na miejsce Aristowa. ■ Zmarł w Warszawie, w wieku 71 lat, biskup Edmund Nowicki, ordynariusz diecezji gdańskiej. ■ W plebiscycie *Kuriera Polskiego* w Warszawie tytuł książki roku 1970 zdobył „Pamiętnik powstania warszawskiego” Mirona Białoszewskiego.

12-3-71

Gen. Grzegorz Korczyński, wiceminister Obrony Narodowej PRL, został usunięty z tego stanowiska. Był on osobiście zamieszany w krwawe represje strajków na Wybrzeżu.

14-3-71

W *Tygodniku Powszechnym*, po paroletnim zakazie druku, ukazał się felieton Stefana Kisielewskiego.

15-3-71

Grób Pawła Jasienicy został po cichu przeniesiony do Alei Zasłużonych. Wstydliva rehabilitacja. ■ Biografie przywódców komunistycznych otoczone są ścisłą tajemnicą. Stosunkowo późno Polacy dowiedzieli się że prawdziwe nazwisko M. Moczara jest Detko. Tak samo były różne wersje co do panińskiego nazwiska p. Gomułkowej. Dziś możemy podać, że nazywała się ona Liwa Szoken. ■ List Gomułka do Plenum KC zawierał trzy punkty. W pierwszym b. sekretarz generalny, zgodnie ze swoją mentalnością, kwestionował „uchybień statutowe” w procedurze usunięcia go z zajmowanego stanowiska. W drugim podkreślał, że decyzja użycia siły w stłumieniu ruchów na Wybrzeżu zapadła za zgodą wszystkich członków i zastępców członków Biura Politycznego; w tym punkcie Gomułka, nie bez kozery oczywiście, dodał: „w obecności tow. Moczara”. W trzecim wreszcie punkcie Gomułka przyznał się do błędów podwyżki cen, zaznaczając tytułem usprawiedliwienia, że był uprzednio zapewniany o „zrozumieniu z jakim ta decyzja zostanie przyjęta przez klasę robotniczą”. ■ Przed wyjazdem do Szczecina na rozmowy z robotnikami (nawiasem mówiąc wbrew radom towarzyszy z Biura Politycznego, którzy uważali ten krok za wielkie ryzyko) Gierek napisał przemówienie telewizyjne, uzasadniające konieczność użycia siły wobec strajkujących robotników szczecińskich. Miało ono być nadane niezwłocznie w razie gdyby rozmowy z robotnikami nie dały oczekiwanego przez Gierka rezultatu, oczywiście po rozkazie wydanym wojsku i policji w Szczecinie. ■ Podczas wydarzeń grudniowych odbywała się w Warszawie sesja PAN pod przewodnictwem prof. Groszkowskiego. Prof. Jan Szczepański zaproponował zredagowanie krótkiej deklaracji, wyrażającej stosunek uczonych polskich do rewolty robotniczej na Wybrzeżu. Prof. Groszkowskiemu udało się, po długich perswazjach i naleganiach, skłonić prof. Szczepańskiego do wycofania tego wniosku. ■ B. ambasador Kazimierz Sidor, twórca teorii pochodzenia Żydów od trędowatych, otrzymał ofertę powrotu do czynnej służby w MSZ.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-2-71

W dn. 4 lutego zmarł w Chicago, w wieku 70 lat, redaktor Mieczysław Niedźwiedzki, jeden z czołowych pisarzy i dziennikarzy polonijnych. ■ Wczoraj odbył się w New Yorku pierwszy Światowy Kongres Słowaków w Wolnym Świecie. Kongres powołał do życia Światową Organizację Słowaków, której przewodniczącym został Stefan Roman. ■ Zmarł w Rzymie, w wieku lat 54, ks. Eugeniusz Reczek, S.J. W Rzymie przebywał od roku 1958 i założył tam Instytut Studiów Kościelnych.

20-2-71

Zmarła w Nowym Jorku p. Milena Jurzykowska. P. Jurzykowska była ostatnio Chairman of the Board of Trustes Fundacji Jurzykowskich, a poprzednio jej prezesem.

21-2-71

Towarzystwo Przyjaciół paryskiej *Kultury* w Toronto zorganizowało loterię fantową połączoną z „podwieczorkiem przy mikrofonie”.

22-2-71

Papież Paweł VI mianował tytularnym biskupem prałata Iwana Stacha ze Stanford (USA), mianując go zastępcą Metropolity ukraińskiego w Filadelfii.

25-2-71

Kongres Polonii Amerykańskiej zabiega by poczta US wydała w 1973 roku znaczek dla uczczenia Kopernika. Sprawa ta jest na dobrej drodze.

26-2-71

W Paryżu odbył się wernisaż prac Zofii Kurowskiej-Abrahamik, zorganizowany przez YMCA i L'Association des Ingénieurs et Techniciens Polonais en France”. ■ W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się zebranie sekcji historycznej Towarzystwa Historyczno-Literackiego polskiego, na którym gen. Józef Jaklicz wygłosił odczyt pt. „Zwycięstwo 1920 roku”, a red. Tadeusz Świąciecki — odczyt pt. „50 lat temu...”.

27-2-71

Na miejsce zlikwidowanego ostatnio nowojorskiego pisma *Nowy Świat* powstał *Nowy Dziennik*, który będzie wychodził w Jersey City. ■ Zarząd Fundacji Nagrody im. Anny Godlewskiej, na posiedzeniu odbytym w Zurychu, przyznał jednogłośnie nagrodę na rok 1971 *Towarzystwu Historyczno-Literackiemu* w Paryżu z przeznaczeniem dla *Biblioteki Polskiej* w Paryżu. Ze względu na znaczenie Biblioteki nagrodę, wynoszącą 10 tysięcy Fr. szw. fundator, Juliusz Godlewski, podwoił, podnosząc ją do wysokości 20 tys. Fr. szw.

1-3-71

W NRF powstało towarzystwo chopinowskie „Chopin — Gesellschaft”, którego prezesem został Maciej Łukaszczyk, wychowanek warszawskiej Wyższej Szkoły Muzycznej. Towarzystwo ma na celu propagowanie muzyki chopinowskiej na terenie NRF. ■ Poseł do parlamentu kanadyjskiego, dr Hajdasz, złożył interpelację w sprawie łączenia rodzin. Idzie tu o osoby zamieszkałe w Kanadzie i posiadające członków rodziny w państwach układu warszawskiego. Państwa te, nie tolerując emigracji, nie udzielają paszportów, często nawet najbliższym członkom rodziny. Poseł Hajdasz zaznaczył, że w tej sprawie już wielokrotnie interweniował bez rezultatów. Rzecznik kanadyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych zapewnił, że sprawa ta będzie w najbliższym czasie zbadana. ■ Zmarł w Londynie, w wieku 75 lat, Stanisław Zarzewski-Lauterbach, wybitny publicysta i ekonomista. W okresie międzywojennym był naczelnym redaktorem miesięcznika *Polityka gospodarcza*, w czasie wojny był członkiem redakcji *Tygodnika Polskiego* na Bliskim Wschodzie, ostatnio zaś redaktorem kwartalnika *Polish Affairs* w Londynie.

2-3-71

Zmarł w Londynie, w wieku lat 83, gen. Kazimierz Sawicki, członek organizacji bojowej w 1905 i oficer I Brygady J. Piłsudskiego. W czasie wojny pracował w Sztacie Komeny Głównej AK w Warszawie.

3-3-71

W Galerie Arcanes w Paryżu odbył się wernisaż M. Lurczyńskiego. Wystawa p. Lurczyńskiego trwała do 17. 3. rb. ■ Na terenie Rzymu toczy się od 1953 roku proces s. B. ks. Bronisława Markiewicza, ojca sierot i młodzieży opuszczonej i założyciela męskiego i żeńskiego zgromadzenia św.

Michała Archaniota w Polsce. ■ Zmarł w Grenadzie (Indie Zachodnie) płk chirurg Adam Sołtyś.

4-3-71

Honorową nagrodę Prezydenta Republiki Francuskiej dla współczesnego kompozytora otrzymał Witold Lutosławski za „*Livre pour orchestre*”. ■ Zmarł w Londynie, w wieku lat 67, Ludomir Danilewicz, kpt. polskich sił powietrznych w czasie wojny, elektronik.

5-3-71

Międzynarodowy Pen-Club wysłał list otwarty do Sądu Najwyższego Sowieckiej Republiki Ukrainskiej domagając się ponownego rozpatrzenia, i to na rozprawie jawnej, sprawy ukraińskiego historyka Walentina Moroza, skazanego ostatnio na 14 lat więzienia. ■ Na komisji praw człowieka UNO, która odbyła się w Genewie, delegatka amerykańska, Rita Hauser, oskarżyła Związek Sowiecki o potajemny handel z Republiką Południowo-Afrykańską. Związek Sowiecki wyeksportował do Afryki Południowej w 1968 roku na sumę \$ 700.000, a przez pierwsze 6 miesięcy 1969 — na sumę \$ 500.000. ■ W Dreux (Francja) zmarł, w wieku 73 lat, wybitny pisarz i filozof Jean Grenier. Był on przyjacielem Albert Camus'a. ■ W Wielkiej Brytanii jest 160 polskich szkół sobotnich.

6-3-71

W Londynie odbyły się dwie wielkie manifestacje polskie, a mianowicie położenie kamienia węgielnego pod gmach Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego, oraz 25-lecie Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii. Nowym prezesem Zjednoczenia został p. Stefan Kolańczyk, prezes Związku Polskich Ziemi Zachodnich na miejsce red. Pawła Hęciaka.

7-3-71

Na zaproszenie wydziałów slawistycznych uniwersytetów kanadyjskich bawił w Kanadzie przez trzy tygodnie wybitny poeta rosyjski Andriej Wozniesiński. ■ W Londynie rozpoczęły się polsko-brytyjskie rozmowy gospodarcze w sprawie nowego długoletniego układu handlowego między obu państwami. ■ W Bateias koło Kurytyby (Brazylia) księża chrystusowcy zorganizowali obóz dla młodzieży polskobrazylijskiej. Kierownikiem obozu był ks. Stefan Bucharski TChr. Wśród 12-osobowego zespołu instruktorskiego znajdował się prof. Edward Żydowicz z Kurytyby i dr Anna Maria Sanchez z Rio de Janeiro, która sprawowała opiekę lekarską nad uczestnikami i prowadziła wykłady z zakresu higieny i niesienia pierwszej pomocy medycznej. Odbyły się też wykłady z liturgiki, historii Polski i języka polskiego. ■ Rząd kanadyjski zapowiedział rewizję ustawy imigracyjnej celem nielegalnej emigracji. Przepuszczalnie poprawki zniosą prawo odwoływania się do Trybunału Imigracyjnego osób, które przybyły do Kanady w charakterze turystów. W myśl dotychczas obowiązujących przepisów każdy otrzymujący nakaz deportacyjny — po wygaśnięciu wizy turystycznej — może odwołać się do Apelacyjnego Trybunału Imigracyjnego, a że ten ma olbrzymie zaległości — załatwienie sprawy może trwać nawet 3 lata. Polonia Kanadyjska jest zaniepokojona tą zapowiedzią, gdyż jeszcze bardziej pogarsza ona szanse Polaków osiedlenia się w tym kraju. ■ Krystyna Sadowska, znana artystka polska w Kanadzie, której prace zdobią wiele gmachów publicznych, ukończyła olbrzymi (wysokości trzech pięter) panel w gmachu Kuratorium (*Board of Education*) gminy Etobicoke, wchodzącej w skład Metropolii Toronto. Praca nad tym dziełem trwała kilka lat. Artystka używała różnych materiałów: włókna, sztucznych tworzyw itp. Panel ten stanowi ozdobę we-

wnętrzną gmachu. Rzeźba abstrakcyjna Sadowskiej znajduje się w gmachu Wysokiego Komisarjatu Kanady w Londynie.

8-3-71

Klub Przyjaciół Kultury Paryskiej w Sztokholmie zorganizował wieczór dyskusyjny na temat „Roli emigracji w życiu politycznym i kulturalnym społeczeństwa polskiego”. Dyskusję zagał i podsumował Gustaw Herling-Grudziński. ■ W Schauspielhaus w Bochum wystawiono z wielkim powodzeniem „Operetkę” Witolda Gombrowicza w reżyserii znanego francuskiego reżysera Jorge Lavelli.

9-3-71

W Centre d'Etudes Slaves, Institut Catholique w Paryżu, Zygmunt Markiewicz, profesor na Uniwersytecie w Nancy, wygłosił odczyt pt. „La part polonaise dans le romantisme européen”. ■ Hiszpańska partia komunistyczna potępiła represje wobec robotników w Polsce w ostatnich miesiącach, oraz rząd Polski Ludowej i innych demokracji ludowych, które nawiązały współpracę dyplomatyczną i handlową z reżymem gen. Franco.

10-3-71

Turecki Trybunał Kasacyjny uchylił wyrok Sądu w Trebizondzie, wydany w sprawie dwóch Litwinów — sprawców porwania samolotu sowieckiego; stwierdzono, że było to przestępstwo polityczne. Trybunał Kasacyjny stwierdził, że ludzie, którzy zabili hostesę w czasie porwania, są zwykłymi przestępcami. Ten wyrok może spowodować ekstradycję Litwinów do Związku Sowieckiego. ■ W Paryżu wystawiono dwa filmy polskie Wajdy: „Wszystko na sprzedaż” (Studio „Alpha”) oraz „Krajobraz po bitwie” (Studio République i Panthéon). ■ Na szefa korespondentów polskich w Bonn (i nie tylko korespondentów) ma być mianowany I. Krasicki. Ten pan jest tak znany, że w swoim czasie rząd francuski odmówił jego akredytywy. P. Krasicki wstawił się ostatnio artykułami w krakowskim *Życiu Literackim*, podpisanymi pseudonimem W. Szafranski, pt. „Emigranci polscy w siatce Wiesenthala” (nr 42 z 18. 10. 70), „Jeszcze o siatce Wiesenthala” (nr 43 z 25. 10. 70) i „Kiedy Wiesenthal opuści Wiedeń?” (nr 48 z 29. 11. 70). Rząd niemiecki w ramach obecnej polityki uśmiechów zapewne i to zaakceptuje, ale ciekawa będzie reakcja prasy i dziennikarzy niemieckich na tę nominację. ■ Polski Klub Artystyczny w Ameryce ufundował nagrody w łącznej wysokości dol. 1.000 dla zwycięzców tegorocznego Konkursu Literackiego, zorganizowanego dla młodzieży polonijnej za prace związane z historią Polski lub z Polakami w Ameryce.

12-3-71

Została otwarta w Haus der Begegnung w Monachium wystawa książek i czasopism obrazująca wydawnictwa dziewięciu grup narodowościowych uchodźców, przebywających w Niemczech Zachodnich od roku 1945. Polskie stoisko zostało zorganizowane przez Polski Komitet Kościelny w Monachium przy pomocy Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Niemczech i Funduszu Społecznego pracowników Radia Wolna Europa. ■ Czterech polskich alpinistów, wśród nich znany we Francji Andrzej Mróz, dokonało dużego wyczynu docierając na Mont Blanc przez Grand Pilier d'Angle. Polscy alpinści dotarli na szczyt po pięciu dniach wspinaczki. Dwóch z nich, Dworaka i Kurczaba, musiano ewakuować helikopterem z powodu poważnych odmrożeń.

13-3-71

W Lozannie w Galerie d'Art Pottera odbył się wernisaż prac Lidii Giedroye.

15-3-71

Konsulat PRL w Sydney wydał wszystkim polskim firmom wysyłkowym w Australii zakaz reklamowania paczek i przekazów PKO w *Tygodniku Polskim* w Melbourne. Jednocześnie redaktor *Tygodnika*, Bolesław Korpowski, otrzymuje anonimowe telefony, grożące zdemolowaniem redakcji, jeśli pismo nie ogłosi zbiórki na odbudowę Zamku w Warszawie i nie zmieni swego nastawienia politycznego do Polski Ludowej. ■ Ostatnio ukazały się następujące przekłady autorów polskich: *we Francji*: Janczarski (Czesław). *Les aventures de Peluchon*. (Images de Zbigniew Rychlicki) et *Peluchon a des idées*. Traduits et adaptés par Camilla Mondral. Paris, Hatier, 1970; J. K. Zawodny. *Katyn: massacre dans la forêt*. Traduit de l'américain. 240 pages, illustré, Paris, Stock; w *Niemczech Zachodnich*: W. S. Kuniczak. *Die Sem-pinski Affäre*. Roman; Witold Gombrowicz. *Operette*. Schauspielhaus Bochum; w *Wenezueli*: Jerzy Andrzejewski. *Apelacion*. Editorial „Tiempo Nuevo”; w *Stanach Zjednoczonych*: przekład książki Kazimierza Iranek-Osmeckiego „Kto ratuje jedno życie” pt. *He who saves one Life*. Crown Publishers, Inc., New York. ■ Do Izraela zaczynają przybywać transporty Żydów, obywateli Związku Sowieckiego, którym władze sowieckie udzieliły zgody na emigrację. ■ Prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, adw. A. Mazewski, został przyjęty przez papieża na specjalnej audiencji, w czasie której przedstawił papieżowi potrzeby polskich szkółek parafialnych i polskiego duszpasterstwa w Stanach Zjednoczonych.

NA ANTENIE

PRZYNOŚI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDY-CJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSIŃĘ POLSKĄ RWE ZE SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRA-JOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn. MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamó-wienia. Prenumerata roczna z przesyłką £ 2.2.0 lub \$ 5,00, F. 25,00.

Listy do Redakcji

Paris, 22 février 1971.

Monsieur le Redacteur,

Comme suite à l'article intitulé „Emigracja polska we Francji”, paru dans votre Revue Mensuelle *Kultura*, page 158, N° 1/280-2/281, — 1971, où vous avez indiqué que le *Tygodnik Polski* (La Semaine Polonaise), est édité par l'Ambassade de Pologne, j'ai l'honneur de vous faire savoir que ledit hebdomadaire est édité par la *Maison d'Édition et de Diffusion de la Culture et de l'Art Polonais* (M.E.D.C.A.P.), Société Anonyme française.

Je procède à la présente rectification à toutes fins utiles conformément à la loi sur la presse du 29 juillet 1881.

Veillez agréer, Monsieur le Redacteur, mes salutations distinguées.

Danuta JACOSZEWSKA
Le Président Directeur Général

Nowy Jork, 19 lutego 1971.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Nie licząc na to, że kto inny mnie w tym wyręczy, muszę przewyciężyć niechęć do pisania publicznych Listów do Redakcji i wystąpić we własnej obronie. W numerze 1/280-2/281 *Kultury* ukazał się list Stałych Czytelników, uchodźców w Göteborgu. Ku memu wielkiemu i niemiłemu zdziwieniu znalazłem w tym liście moje nazwisko — w niepoehlebnym zgoła kontekście. Zostało wymienione obok nazwisk paru „alibistów”, którzy mimo haniebnego stosunku komunistycznego reżymu do Żydów, „firmują” obecność w Polsce „na palcach liczonej garsteczki” Żydów.

Dlaczego czuję się dotknięty umieszczeniem mnie obok „ludzi w rodzaju Szyra, Gerharda, Lewina”? Po prostu dlatego, że przed nazwiskiem „Wittlin” koresponderci z Göteborgu nie podali imienia. Z wrodzoną mi od blisko siedemdziesięciu pięciu lat i, jak wiadomo, zdobiącą starca, skromnością, ośmielam się mniemać, że po mojej półwiekowej z górą działalności pisarskiej, po dwudziestu latach stałej, choć niezbyt obfitej współpracy z paryską *Kulturą*, oraz po tyleż lat trwającej stałej współpracy w dziale kulturalno-literackim Radia Wolnej Europy w Nowym Jorku, — nazwisko Wittlin podane bez imienia wciąż jeszcze odnosi się do niżej podpisanego. Sądzę, że ten przywilej należy mi się, jeśli nie „z urzędu”, to przynajmniej „z wieku”. Wittlinów na obu półkulach, bez obrazy znacznych czworonogów, jest jak psów. Różnego pochodzenia, narodowości lub wyznania. Najczęściej spotyka się to nazwisko w niemiecko-języcznej Szwajcarii, skąd, o ile wiem — z końcem XVIII w. przywędrowali do Polski moi przodkowie. Niedawno zdarzyło mi się w Genewie poznać pewnego pana, nazwiskiem Alois Wittlin. Rodowity Szwajcar, pochodzący z Berna. W Genewie mieszkał w tym samym hotelu co ja. Dowiedziawszy się o tym, wybiegł do mnie, gdy siedziałem już w taksówce, mającej zawieźć mnie na lotnisko i oświadczył, że szuka mnie od 30 lat i cieszy się, iż nareszcie mnie znalazł. Załował, że tego spotkania

nie może uczyć odpowiednią biesiadą. Pan Alois Wittlin był moim czytelnikiem. Istnieje na emigracji inny, młodszy ode mnie pisarz polski tego samego nazwiska, nie spokrewniony ze mną, a pochodzący z Warszawy. Wiadomo mi, że w Warszawie pisuje i działa jako dyrektor jednego z państwowych wydawnictw niejaki Jerzy Wittlin. Nigdy nie zetknąłem się z nim przed wojną, z czego wnioskuję, że jest to człowiek o wiele ode mnie młodszy. Nie umiem też powiedzieć, czy należy on, czy nie należy do mojej, tak szeroko rozgałęzionej i po całym świecie rozproszonej rodziny, iż o niektórych dalszych krewnych w ogóle nie słyszałem. Czyżby to o niego chodziło słusznie rozgoryczonym uchodźcom w Göteborgu? Jeśli tak, to nawet pierwsza litera przed nazwiskiem nie wyjaśni nieporozumienia i nie naprawi — chyba mimowolnie — wyrządzonej mi krzywdy.

Od blisko trzydziestu dwu lat nie byłem w Polsce, od trzydziestu lat mieszkam w Stanach Zjednoczonych. Oczywiście Stali Czytelnicy — uchodźcy z Göteborgu mogli o mnie nie słyszeć, skoro w dzisiejszej Polsce jestem tabu. Pomija się mnie nawet w publikacjach, przeznaczonych dla nielicznych czytelników. Nic dziwnego więc, że zwłaszcza młodzi czytelnicy w Polsce, niewiele, albo nic o mnie nie wiedzą. Z wyjątkiem tych, co znają mój głos i moje teksty z audycji literackich Radia Wolnej Europy w Nowym Jorku. Ci zaś czytelnicy *Kultury*, którzy wiedzą, iż od tak dawna przebywam, pracuję i prace swe ogłaszam na emigracji, znalazłszy moje nazwisko w liście Stałych Czytelników z Göteborgu obok nazwisk „alibistów”, mogliby pomyśleć, iż jestem kimś w rodzaju Doktora Jekylla i Mr. Hyde'a, skoro jednocześnie przebywam w Nowym Jorku jako emigrant, oraz w komunistycznej Polsce, gdzie razem z panami Szyrem, Gerhardem i Lewinem, spełniam jakieś ważne publiczne funkcje.

Spodziewam się, że autorowie göteborgskiego listu, z którego intencją szczerze się solidaryzuję, zechcą naprawić, powtarzam: mimowolnie wyrządzony mi despekt i wyraźnie powiedzą o jakimś Wittlina im chodziło. Zresztą w tym samym zeszytach *Kultury*, gdzie ukazał się ich list, znajdują moje nazwisko (co prawda poprzedzone tylko literą J.) w dziale „Wydarzenia Miesiąca”.

Łączę serdeczne pozdrowienia,

Józef WITTLIN

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.1. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Waclaw IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTYTUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 2^e Trimestre 1971.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	R. 1,—	R. 5,85	R. 10,65
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000	\$ A. 1,50	\$ A. 8,00	\$ A. 15,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 200,00	Sch.A. 380,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23	F.B. 75,00	F. B. 400,00	F. B. 750,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 7,50	F. 40,00	F. 75,00
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel. 40-73, Postgiro 1379176	Fl. h. 5,00	Fl. h. 28,00	F. h. 54,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, « Polish Voice », 1089 Queen St., W. Toronto, Ont.; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301. Ottawa 2, Tel. 233-7212; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 1,50	\$ Can. 8,00	\$ Can. 15,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	DM. 5,50	DM. 30,00	DM. 55,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. S. 6,00	F. S. 35,00	F. S. 65,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm	K. S. 7,50	K. S. 40,00	K. S. 75,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood, Cal. 90028; Ada Dziewanowska, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W. Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, Tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave., Jamesburg, N.J. 08531. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5436 Chopin, Detroit, Mich 48210, Tel. 899-5165	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	12 sh.	£ 3.10.00	£ 6.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 900	L. It. 4600	L. It. 9000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F.82; półroczna F.45.
Przesyłka pojedynczego numeru: 0,70 F.

Należności można wpłacać przekazem pocztowym na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-58 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

(Ukażą się w ciągu kwietnia 1971)

TOM 201 - BOGDAN CZAYKOWSKI

POINT-NO-POINT

(Poezje)

Str. 96.

Cena F. 10 (dol. 2,25; sh. 18/6)



TOM 202 - SERIA « DOKUMENTY »

POZNAŃ 1956 GRUDZIEŃ 1970

m.in.

Tom zawiera następujące opracowania:

KRONIKA WYDARZEŃ: GRUDZIEŃ 1970 - LUTY 1971 —
BIUROKRATYCZNYCH RZĄDÓW CIĄG DALSZY — SYLWETKI
NOWEJ EKIPY — POZYCJA KOŚCIOŁA — POZNAŃ 1956.



TOM 203 - WITOLD GOMBROWICZ

TEATR

TOM V „DZIEŁ ZEBRANYCH”
(IWONA KSIĘŻNICZKA BURGUNDA —
ŚLUB — OPERETKA)



TOM 204 - ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ODDZIAŁ CHORYCH NA RAKA

Przekład Józefa Łobodowskiego

Cena 7,50 F